

Ty ch..., w du.. je...

Oferta teatru, którego
budowa kosztowała
200 milionów,
Strach się bać co
pokaże ten za
400 milionów

Szczeciński (współczesny) jarmark próżności

Wymagania wobec
kandydatów:
przeciętniactwo,
brak inicjatywy,
zachowawczość,
powolność,
brak cywilnej odwagi,
asekuranctwo
i niekompetencja

Matka Putina

Do czego prawdziwemu
aktorowi jest potrzebny
teatr? Do niczego.

Kolekcjonerzy (do wzięcia)

Bez dotacji i funduszy,
pieczętek i sekretarek - za
własne pieniądze budują
kulturalny sezam
Szczecina

Rękopis z odbudowy

Ukryte pośród zasobów
rękopiśmiennych
Książnicy Pomorskiej
- wspomnienia
inż. arch.
Jerzego Kędzierskiego,
który w 1947 roku
„włączył”
kulturalne światło
w Szczecinie

Marek Koszur

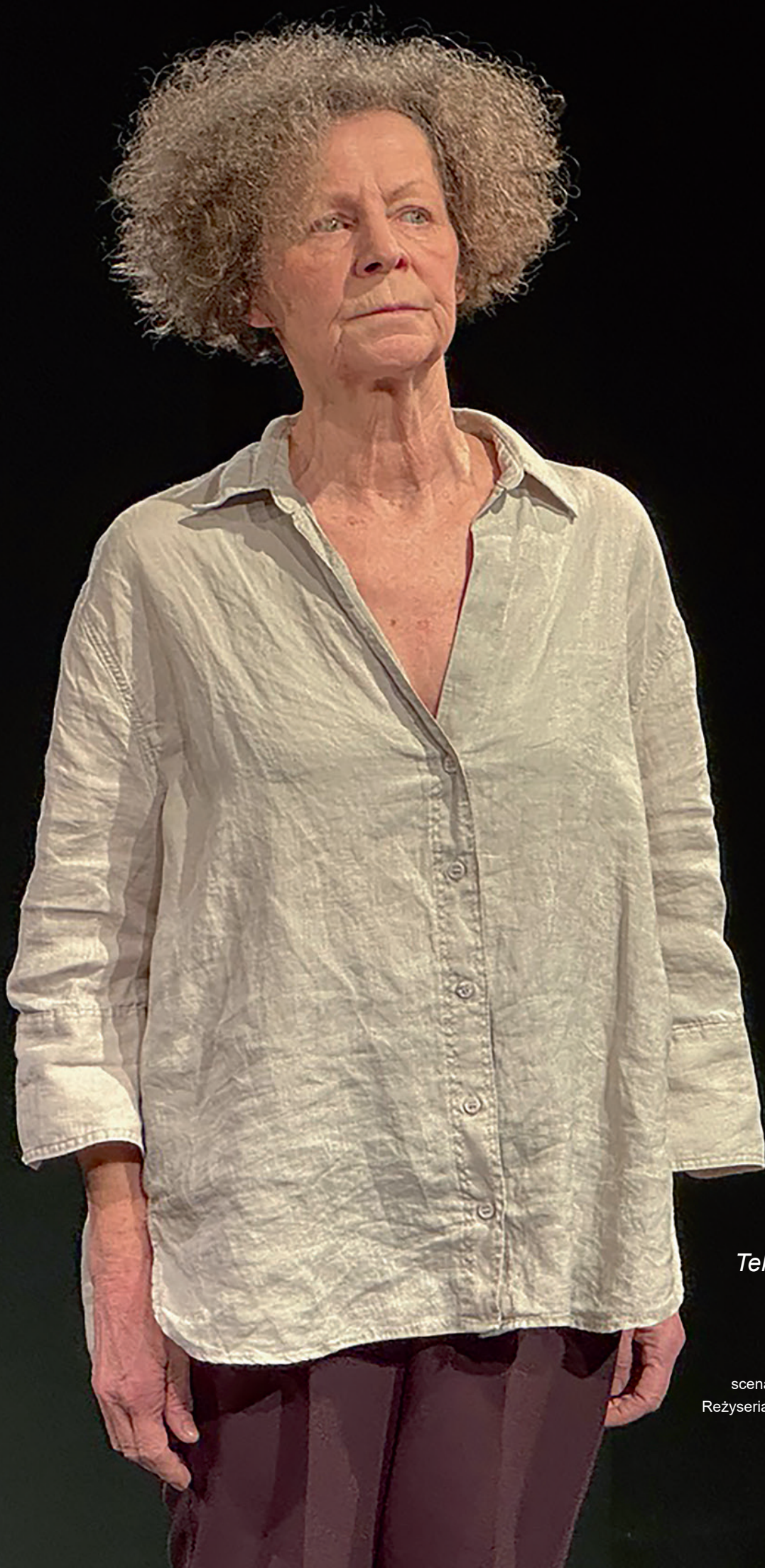
TVSiódemka

internetowy miesięcznik
niesformatowany

02/2025 (002) Luty 2025

Szczecin i **Żwir** (& Mars)

ISBN: 978-83-374443-1-7



*Teksty są tylko pretekstem
- partyturą do wzlotów*
(Mieczysław Limanowski)

Matka Putina

scenariusz: Anna Chudek-Niczewska
Reżyseria i wykonanie: Anna Januszewska
Premiera 16 lutego 2024
Fot. Marek Koszur

Wyborco, obudź się!

„Telewizdu, obudź się!”. Przypomniał mi się ten jakże popularny w latach 70. slogan, wykreowany przez telewizyjny program satyryczny „Wielokropek”.

Wtedy, w obliczu **cenzury**, taki kamuflaż był powszechnie stosowaną metodą opisywania rzeczywistości. Dziś – powodowani koniunkturalizmem i sprzeniewierzeniem się elementarnej uczciwości – **nie mamy odwagi mówić prawdy**. Bo... - słyszę tłumaczenia – podpadnę, nie dostanę zlecenia, a przecież z czegoś żyć muszę! Nie ugryzę ręki, która mi mamonę do miski sypie. Ale ty, starty, wal równo, nie przejmuj się, mocniej, bo masz rację, popieramy cię, tylko wiesz, tacy w tej chwili zarobieni jesteśmy... Ale dzwoniemy się... A ty przyłóż im! Zasłużyli!

Zdjęcia na okładkach tego numeru łączy... **KRZYK**. Bezgłosny. Nieunikniony. Jak odgłos domykających się wrót Czasu.

Pierwsze zdjęcie – znalazłem na jednej z ocalałych rolek, które w 1956 roku mój Ojciec przywiózł ze Związku Radzieckiego. Nie udało mu się uzyskać zgody na repatriację swojego Ojca. Ten zresztą nie kwapił się do wyjazdu. Dokąd? Szczecin? Pod niemiecką granicę? Nie! Tu mam kawałek ziemi... (Może pięć metrów kwadratowych. I chatę bez podłogi). Był starym człowiekiem. Przed Rewolucją Październikową pracował w Bibliotece Miejskiej w Sankt Petersburgu - nie mógł więc liczyć na przychylność władzy radzieckiej.

Ojciec wracał przez Poznań. W czerwcu 1956 roku. Zrobił wtedy dużo zdjęć na ulicach miasta. Te (prawie) wszystkie negatywy też mu odebrano. Bo do komitetu partii zaniósł zdjęcia rozjeżdżanych buldożerami polskich cmentarzy w okolicach Nowogródka, Lwowa, Wilna i Kijowa. Poszedł tam ze skargą. Służba Bezpieczeństwa natychmiast sprawą się zajęła. Przeszukali, zdjęcia zabrali i ostrzegli.

Kobieta z okładki może być moją krewniaczką. O niej samej i jej życiu wiem tyle, ile widzę na zdjęciu. W 1984 roku razem z Ojcem pojechałem w tamte strony. Ludzie (cienie), domy (chaty), drogi (bezdroża), twarze (ich odbicia) jakby nie podlegały wpływowi Czasu.

Dziś budzę się w nocy i nasłuchuję,
czy ten Czas nie stoi już
u moich drzwi?

Tamci ludzie żyli (trwali) w marazmie nie z własnego wyboru. Jeden człowiek zgotował im ten los. Swojej matce przede wszystkim. W jej dramat wprowadziła nas pani Anna Januszewska jako matka Putina, w monodramie z 2024 roku, według tekstu Anny Chudek-Niczewskiej.

Oba ujęcia ułożyły mi się w pointę rozważań o... teatrze. **To w tych zdjęciach jest Teatr. W losie obu kobiet.** Przejmujący, wstrząsający, oparty o niemy dramat (pierwsze zdjęcie) i wykrzyczany bez łez, dzięki sile aktorstwa Anny Januszewskiej (druga fotografia). Taki teatr nie potrzebuje murów i sali bankietowej, jak ta, która w planowanym nowym gmachu dla Teatru Współczesnego ma mieć charakter reprezentacyjny.

Dla jakiegoś aktora?



W skomplikowanie twórczej imaginacji pana Olgerda Geblewicza wyrósł nowy teatr w Szczecinie. Już jeden zbudował. Czemu ten służy? **Wymowny przykład znajdują Państwo na następnej stronie.** W ostatnich dniach załoga tego... teatru (szukam słowa, które lepiej opisze twór, zwany niegdyś Teatrem Polskim) dyskutowała o niepodpisanym raporcie, kolportowanym wśród załogi, wskazującym dziesięć etatów dla... duchów. Duch w teatrze, niby normalna rzecz, ale za pieniądze? O dwóch etatach rozmawiałem z dyrektorem dokładnie przed rokiem. A tu - dziesięć!

Pierwsza propozycja lokalizacji dla Teatru Współczesnego spotkała się z krytyką. No to wystujmy kolejne miejsce. Do skutku. Bo choćby Odra wyschła, teatr powstanie. A wystarczy kilka minut, by sprawdzić, jak od stuleci te kwestie rozwiązuje się na świecie. Tam zasadą nadrzędną jest **funkcja celu**.

Jaki teatr? Dla kogo? Z jakim programem? Z jakim zespołem?

Wizję może stworzyć artysta. Doświadczony i wykształcony, charyzmatyczny. Taki przyciągnie aktorów i realizatorów. Musi dysponować tekstami, mieć rozeznanie w świecie, służyć jakiejś idei społecznej, obywatelskiej, nadając jej artystyczny wymiar.

- Budynek dla takiego teatru proszę mi zbudować! – zdecyduje.

Teatr, który otworzy Szczecin na teatralny świat. Nie są nam potrzebne kolejne „dechy” o lokalnym tylko wymiarze. Nam nie, ale dla firm budowlanych, to niezwykle atrakcyjne zlecenie.

W tym samym czasie, jakby z boku, zamiast na pierwszych stronach mediów – kolejne sukcesy morskich przedsiębiorców. W Stoczni Wulkan wykonano dwa wyposażone bloki statku wycieczkowego, które – załadowano na barki i wysłano do zagranicznego kontrahenta. 500 tonowe segmenty, jak te, o których 30-40 lat temu opowiadał mi inż. Wojciech Chądzyński i prof. Eugeniusz Skrzymowski. Pływające miasta, zakłady przemysłowe, kompleksy energetyczne... Wtedy Biuro Konstrukcyjne Warszawskiego i Okrętownictwo Politechniki Szczecińskiej kreśliło plany, przygotowywało produkcję. Dziś marzenie się spełniło. Dzięki prywatnym przedsiębiorcom z firmy JPP Marine, której prezesem jest Zbigniewa Jagniatkowski, od kilku dni konsul honorowy Filipin.

A szczecińskie salony polityczne uprawiają pięknoślowie, którym maskując pozorne działania i miernie osiągnięcia. **Jest świetnie!** A jak ciężko pracujemy! Tyramy dzień i noc. Nie ma nic piękniejszego nad pracę na rzecz kultury – wołają. Nowy szef opery mianowany na pięć lat ujawnił właśnie rewelacje repertuarowe - marginalną sztukę Brittena (od dwóch lat wystawianą w Poznaniu), coś dla dzieci i jakiś balet. Dla takiego planu, naprzeciwko elewatora Ewa wybudowałbym replikę opery z Sydney. A co! Należy nam się, jak mawia klasyk.

Żenująca i kompromitująca nas sytuacja z obsadą kierownictwa Muzeum Narodowego – może rozwinąć się w niekontrolowaną reakcję łańcuchową. Rzecznik Urzędu Marszałkowskiego, w mailu do naszej redakcji, zapytany o powody odwołania konkursu, mówi o zwykłym urzędniczym błędzie. **Pomyłono załączniki** – bajdurzy – stąd całe zamieszanie. Pani minister inaczej opisuje tę kwestię. Kto ma rację?

Przy drodze ku...

Wieczorem, Szczecin oglądany od niemieckiej strony maluje się jak rozświetlona przestrzeń, od lewa do prawa. Przy niższym pułapie chmur, luna światła miasta odbija się w nich na kształt wielkich spodków kosmicznych. Ale po tej niemieckiej stronie ludziom nie jest do śmiechu.

- Wie pan – powiedziała mi Marzena Mazińska z Urzędu Gminy w Gartz – struktura społeczna tego regionu jest bardzo złożona. To ludzie starsi, o bardzo ustabilizowanym trybie życia. Ich wyjazdy np. na imprezy kulturalne do Szczecina przygotowuję z długim wyprzedzeniem. Poza tym około 40% naszych mieszkańców to... Polacy.

27 stycznia 2025. Przed wjazdem do Löcknitz, jadąc od strony Szczecina – zobaczyłem pierwsze i jedyne banery przed wyborami do Bundestagu. Poza AfD żadna partia nie wystawiła swoich reklam. Dopiero 31 stycznia zauważyłem kolejne miniaturowe portrety kandydatów... wieszanych na słupach oświetlenia ulicznego.



Popełniono błąd czy świadomie zmieniono uzgodnione warunki konkursu?

Postaram się rzecz szczegółowo omówić w marcowym numerze TVSiódemki.

Kto jest typowany na nowego szefa? Ha! Mówią Państwo, że tego wyłoni konkurs? Parafrazując Pawlaka z filmu „Sami swoi”: „konkurs konkursem, a kandydat musi być naszym człowiekiem”. Ci co znają kandydata, za głowę się łapią. Płyną też nowe wieści o planach wobec bohatera afery marszałkowskiej z roku 2010.

Pan Olgierd Geblewicz wielokrotnie powtarzał, że lubi kulturę. Ale jakoś z ludźmi kultury idzie mu już gorzej. Dlaczego? **Bo oni mają własne zdanie.** Stanowisko dyrektora Wydziału Kultury w Urzędzie Marszałkowskim od dawna nie jest obsadzone. Rzeczniczka w ostatnim mailu do naszej redakcji, na pytanie kto jest kandydatem odpowiedziała krótko: „**Nikt. Pracodawca nie podjął w tej kwestii żadnej decyzji**”.

Nie umie? Nie chce? Nie ma odwagi?

A to można tak? Czyżbyśmy zmieniali strukturę i funkcję organu administracji państwowej? W tak znakomitym mieście nie ma odpowiedniego kandydata? Może inaczej trzeba postawić pytanie: dostatecznie pokornego?

Czy my, czy Szczecin jest jeszcze w Polsce? W poprzednim wszak numerze naszego miesięcznika rozważaliśmy kwestię wywołaną przez jednego z Internautów: **Szczecina przecież nie ma.** Hm... I jak tu odmówić trafności temu bzdurnemu twierdzeniu?

I komu to wszystko zawdzięczamy? Sobie samym, drodzy wyborcy!

Zapraszam do lektury.

Zagaduję znajome małżeństwo

– AfD wygra?

- Scheise... – odburknął emerytowany mistrz budowlany.

- Hm... - wzruszyła ramionami pracownica zakładu opiekuńczego dla osób schorowanych.

Patrzmy sobie w oczy.

Elon Musk nazywa Alice Weidel z AfD – „kanclerką serc”. Zachęca Niemców, by **powstali z kolan. Przeszłość trzeba odrzucić!**

W publicystyce coraz częściej pojawia się termin „remigracja”. Wyrzucić wszystkich, którzy nie są natywnymi Niemcami, Holendrami lub Francuzami.

Szczecińska prasa i władze...milczą. Kilka kilometrów od granicy! To tak, jak nie reagować na hałasy, wrzaski, płacz i strzały za ścianą naszego mieszkania. Brawo, bawmy się, budujemy teatry, z medalu Gryfa Pomorskiego zrobiliśmy odznaczenie na miarę Virtuti Militari. My, my, my...

Te niemieckie wybory mogą zmienić całą europejską i światową politykę. Jeśli jej jeszcze nie wyrwocą – osłabią fundamenty pokoju.



3 lutego reklamy AfD „zniknęły” z pola widzenia, a 7 - znów się pojawiły



Ty ch... pie..., w d... je..., twoja pie... ma...

Do katalogu metod Świętej Inkwizycji, takich jak palenie na stosie, łamanie kołem, rack – czyli rozciąganie na ławie tortur, symulowanie topienia, krzesło z kolcami, żelazna dziewica (metalowa skrzynia w kształcie ciała kobiety, od wewnątrz pełna kolców; ofiarę zamykano w skrzyni i dociskano wielko), duszenie garotą (metalowa obręcz zakładana na szyję, powoli zaciskana, powodująca długie podduszenie ofiary), piła dwustronna ... dodaję jeszcze jedną, najokrutniejszą – obejrzenie (do końca) występu zatyłowanego „**Melancholia hrabiego Michała Janickiego, herbu Puszcza Wkrzańska**”. Swoją drogą... czy Puszcza Wkrzańska wyraziła zgodę, aby umieścić jej wspaniałości w tytule takiej szmiry?

Szczerze? Jak mężczyzna mężczyźnie?

Kabaret ma swoje prawa, ma tradycję, poetykę, ma styl, klasę i przede wszystkim to coś, ten „pieprzyk”, przymkniętą powiekę, posmak artystycznej dezynwoltury, lekkości, nawet podkaszania pani Melpomeny. Ta, porzuciwszy koturny i rampy, po opadnięciu kurtyny, z rozmażanym makijażem schodzi do piwnic lub teatralnych zakamarków i tam daje upust swojej melancholii i tęsknocie za flirtem z poetą, za miną zakochanego w niej tapera. Delektuje się smakiem oliwki, przekładanej z jednego, pustego już kieliszka do następnego, ze schodzonym martini.

Kabaret narodził się we Francji, a za jego pierwsze wcielenie uznaje się „Le Chat Noir” (Czarny Kot), założony w Paryżu w 1881 roku przez Rodolphe’a Salisa. Było to miejsce, gdzie artyści, poeci i muzycy występowali w kameralnej atmosferze. Kolebka przestrzeni dla niezależnej twórczości artystycznej, swobodnie wyrażanej krytyki społecznej, politycznej i obyczajowej. Kabaret uwalniał się od teatru przewidywalnego, opartego na schematach melodramatu i konwencjach realizmu. Pozostawał jednak w pełni profesjonalnym, zaangażowanym i zawodowym pod względem aktorskim środkiem scenicznej ekspresji.

- A znasz pana Machała Janickiego? – zagadnął mnie dawno niewidziany znajomy. – Mam bilety na jego spektakl, zapraszam.

Hm... Zawirowały wspomnienia. Kalendarz, na wyścigi z zegarem cofnął się do początku lat 90. XX wieku. Zaprosiłem wtedy do Kanału 7 Telewizji Szczecin grupę szczecińskich aktorów. - Mają państwo codziennie, każdy – dwadzieścia minut na antenie naszego kanału. Cała telewizja do państwa dyspozycji. Mogą państwo w tym czasie robić, co zechcą. Każdy aktorski eksperyment, każdą prezentację, solo lub z gośćmi – wszystko! Z dźwiękiem i w kolorze.

Arnold Pujsza i Michał Janicki wytrwali w eksperymencie chyba najdłużej. Rzeczywiście, mieli – jako młodzi aktorzy – coś do powiedzenia. Chcieli się zanurzyć w nowe doświadczenie, w mechanikę telewizyjnego młyna, bezwzględne.

Z widowni, podczas spektaklu – trudno wyjść, jakoś tak głupio. A w telewizorze można zmienić kanał lub wyłączyć odbiornik. Aby zatrzymać widza przed ekranem, trzeba być osobowością, mówić interesująco, być kawałkiem krwistego, świeżego, medialnego mięsiva. Pan Michał Janicki podbił widownię swoim wyrażeniem zdefiniowanym *emploi*. Mechaniką ciała, mimiką, operowaniem głosem, frazą, rytmem, budowaniem nastroju. Do tego wokół, taniec à la Benny Hill, także pointy. Świetnie milczał. Stroił fochy, był niedościgniony w scenicznym paradoksie. Kiedy na scenie spotykał się z Adamem Dzieciniakiem – mieliśmy do czynienia z dwuskładnikowym materiałem pirotechnicznym: **dyna i mitem**.

W ostatni styczniowy wieczór, ugrzęzłem na dwie godziny w ścisku jakbym wpadł między wnętrza felgi, a okładzinę tarczy hamulcowej pojazdu mknącego na pobicie rekordu szmiry. Kto, a warto, aby sprawę zbadały odpowiednie czynniki – tak zagęszcza widownię? Ta sala, imitująca kawiarenkę, ale z pustymi i zabierającymi mnóstwo miejsca stolikami gwarantuje widzom hardcorowe warunki oglądania szczególnie miłego programu. Siedziałem na końcu widowni, z nogami splecionymi z kończynami kilku innych osób, które w odruchu kury moszczącej sobie gniazdko, przygotowywały się do teatralnego survivalu.

Kurtyna!

Na scenie dwa filary szczecińskiego Teatru Polskiego, dwóch dyrektorów. Jeden w kostiumie Michała Janickiego, a ten drugi, ważniejszy, bo listy płac podpisujący – w stroju żywo z Piotra Skrzyneckiego zdjętego. **Najgorszy oryginał lepszy od najlepszej kopii** – mówią fałszerze obrazów. W świecie teatru jest chyba odwrotnie.

No i ten trzeci. Reżyser, który dwie godziny stał w drzwiach do sali kabaretowej. Obawiał się, że musiałby ewentualnie salwować się ucieczką przed wiwatującą publicznością?

Cep

Konstrukcja przedstawienia była prosta jak budowa cepa. A właściwie – była cepem. Miałem wrażenie, że celowo, przy samej scenie usadzono cztery, może pięć dam, które doniosłym, perlistym śmiechem kwitowały każdą żenadę płynącą z pana opatowiczowych ust. Ten, przyszyronym barytonem odczytywał teksty z pamiętnika tytułowego hrabiego. Wszystkie kręciły się wokół jednego tematu.

*„4 czerwca, myślałem, że to orgazm, a to astma była”,
„A ja? Jak dostanę dziwnej manii, to chcę tylko od Stefani,
jak dostanę schizofrenii, to chcę tylko od Eugenii,
jak dostanę zachciewajki, to chcę tylko już od Majki,
jak dostanę ja paniki, to chcę wciąż od Weroniki”,
„Jak powiada poeta – miłość to tylko słowa, ale 69 to więcej niż liczba”.*

Więcej przykładów? Nie. Proszę zapłacić sto złotych i w najbliższym zakamarku teatru wybudowanego za marne dwieście milionów złotych, w którym nie ujrzymy klasyki dramatu polskiego, bo wszystko zostało już nagrane na DVD – (cytat z A. Opatowicza) – podobnych „pereł” poezji będzie o wiele więcej.

Ten sam aksamit i nadobnie wielebna (cokolwiek to znaczy) mina dała się kilka dni później dostrzec na ekumenicznym nabożeństwie. Wcześniej – w Tygodniu Bonhoefferowskim – przenosiła nas do poziomu Absolutu.

Podły jest los i rola aktora. Rację – zdaje mi się niekiedy z przykrością to potwierdzić – mają ci, którzy mówią, że aktor jest maszynką do grania. Ale ja twierdę, że tylko ten, który się na takie traktownie godzi. Tylko co ma chłopina zrobić, skoro łatwy grosz sam mu się u stóp ściele?

Kasa

Ponad dwadzieścia stolików, po cztery osoby przy każdym, po sto złotych za krzesło daje około 10 tysięcy za wieczór. **Po honoraria sięga sam dyrekcyjny kwiat!** Jakiż tu talent, kunszt i wybitne uzdolnienia są potrzebne, żeby – mówiąc językiem ze sceny – „trzepać kasę”, odczytując z notesu rymy żalosne? Urozmaiceniem i dopełnieniem rymów były rozneglizowane piosenki, równie rozmemlane (Śmierdzące onuce) lub nawiązujące do dwuznaczności sytuacji jednoznacznych... Litości!

Jedna tylko, pod koniec programu, ale w interpretacji szukającej zawzięcie pomysłu na siebie samą, przywołała niezapomniany repertuar z płyty „Żółty anioł” Mateusza Świąćckiego.

Aktorstwo – żadne, albo – genialne.

Bo utrzymać rehot przez dwie godziny to jednak trzeba mieć talent. Albo wręcz odwrotnie. Bo z kogo/czego się śmialiśmy?

Ostatni, najdłuższy akt tego prawdziwego dramatu wypełnił autorski, autobiograficzny fresk hrabiego z okresu jego służby wojskowej.

Znana i od lat ceniona jest literatura przedmiotu: zajęcia z Przysposobienia Wojskowego na wszystkich kierunkach studiów i we wszystkich szkołach oficerów rezerwy. Co tam za głupoty oficerowie Ludowego Wojska Polskiego opowiadali... To znaczy – mówili o sprawach ważnych, ale językiem, który



Adam Opatowicz

słuchaczy do skrętu kiszek doprowadzał. To była największa w Polsce beczka śmiechu. Pan, panie Michale poszedł w swoim występie w stronę awangardy tego nurtu. Wszystkie szkoły i teorie aktorstwa błędną wobec inwencji Pańskiego bluzgania. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego zażenowania.

W czerwcu 2024 roku byłem w Nowej Dekadencji (niegdyś Klub Kolejarza) na one-men show Daniela Olbrychskiego. Wszyscy spodziewali się, że będzie trzynasta księga Pana Tadeusza, że będzie Fredro... Przeżyjemy. Otóż - nic z tego! Był porywający, fenomenalny występ zawodowca formuły pierwszej. Cały program oparty został na polskiej poezji patriotycznej. Tak, tej szkolnej, kanonicznej. Kiedy jednak pan Daniel Olbrychski wrzucił te strofy w maszynę swojego talentu – otrzymaliśmy popis aktorstwa i polszczyzny. Aktor dowiódł, że te szkolne strofy, te ograne wersy, ta ich melodia, w czasie występu uzupełniona o najcelniejsze kompozycje Chopina (fortepian ledwie zniósł dynamikę pasaży akompaniatora) dla wielu z widzów okazały się wręcz odkryciem! I dojmującym przeżyciem. Norwida trzeba dobrze rozumieć, aby Norwidem mówić. A bardziej jeszcze – odczuwać. Połączyć Gałczyńskiego z księdzem Twardowskim - proste? Ale tylko dla Daniela Olbrychskiego. Całość uzupełniona anegdotami z życia aktorskiego, rosyjsko-polsko-francuskiego. O, nienajgorszy format do naśladowania.

Aktor i my.

Idzie mi o to, aby podobny program przygotowali aktorzy naszego teatru. O sobie i ze sobą w roli tytułowej. **A dlaczego nie?** Teatr ma taką publiczność, jaką sobie wychowa. A Pan swoim występem kogo uwznioślił? Na ubiegłorocznym spotkaniu z kierownictwem naszego oddziału Związku Artystów Scen Polskich zaproponowałem utworzenie Teatru Starego Aktora. **Starego.** Tak, dobrze Państwo odczytali. **Doświadczonego. Profesjonalnego.** Bazującego na aktorskim dorobku i doświadczeniu.

Ze szminką lub bez, z fragmentami tekstów, z piosenką, gestem, z osobowością tak przez lata różnicowaną rolami, budowaniem postaci, magią wcielania się w inne osobowości.

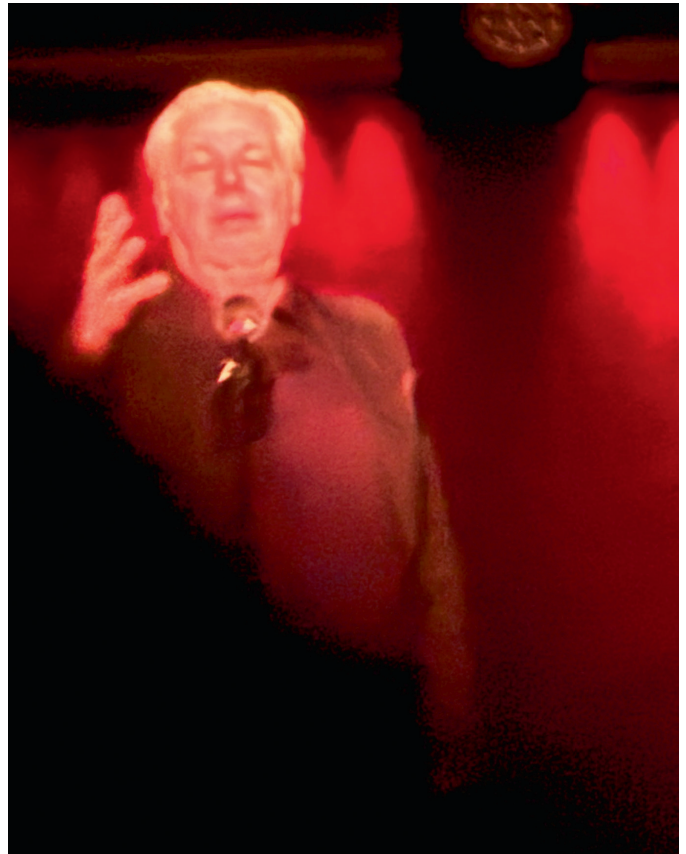
Zróbmy teatr bez sceny, ale z aktorstwem *sauté*.

Najważniejsze będzie to spotkanie z aktorem, który powie nam: dzień dobry nie jako hrabia czy mnich, tragiczka lub księżna pani tylko jako XY, człowiek opisany na plakacie nieco pogrubioną czcionką, którego na codzień spotykamy w kolejce, na poczcie, stacji benzynowej.

Teatr Starego, Doskonałego, Wszechstronnego Aktora. W klubie, w kawiarni, w bibliotece osiedlowej w gronie czytelników.

Powie ktoś w szekspirowskim stylu – **bo teatr jest w aktorze.** Prawda. Ja chcę takich spotkań. Poznamy tych, którzy są ciągle po tamtej stronie rampy. I z przyjemnością pójdziemy na kolejny ich spektakl mówiąc wszem i wobec, że występuje dziś **nasz znajomy**, poznany niedawno aktor. Pozwólmy teatrowi przyjść do nas. Wtedy z tym większą radością będziemy składać mi rewizytę.

Ja tu w takie dywagacje się wdaję, a na kabaretowej scenie w Teatrze Polskim trwa bój...



Michał Janicki

„Miło, że państwo tu przyszlście, miło, że jesteście, lepiej siedzieć tutaj niż w jakimś areszcie w Budapeszcie.” (brawa)

Można? Można.

I poszły kuplety, rymowanki i składanki.

„Z listów do mnie.

Szanowny panie hrabio,

Proszę o zajęcie stanowiska: czy po akcie miłosnym dziękuje się partnerce, czy partnerka dziękuje partnerowi? Czy nie dziękuję się wcale.

Pyta twój dawny znajomy z Goleniowa”.

„Niejeden flirtu by nie zaczynał

Gdyby mógł przewidzieć finał”

Gdybym i ja mógł przewidzieć ten finał, to nie poszedłbym do teatru na pana hrabiego kompromitację. Ale nie napisałbym wtedy słów, które jednak swoją wartość mają. Całe 100 PLN.



Bilet wstępu

Imię:
Nazwisko:

Wydarzenie: Melancholie hrabiego Michała Janickiego herbu Puszcza Wkrzańska
Dnia: 10.01.2025 godzina: 22:00

Sala: Klub Świętokradców Parafii Czarnego Kota Rudego
Adres: ul. Swarozycza 5

Stolik: 18
Jedno miejsce siedzące

Bilet: Normalny (100.00 zł)



#82881
260464106



Szczeciński

(współczesny)

jarmark

próżności

W poprzednim numerze TVSiódemki podzieliłem się z Państwem zachwytem nad obrazem „Wielki kiernasz”, namalowanym przez twórcę z kręgu Davida Vinckboonsa, z pierwszych lat XVII wieku. *Artysta utrwalił atmosferę jarmarku* – cytuję fragment wpisu z katalogu wystawy – dostępnego nieodpłatnie na stronie muzeum:

Mieszczanie w modnie skrojonych strojach odwiedzają kiernasz, oglądają wystawione w kramach towary, chłopci biesiadują przed karczmami, inni uczują w ich wnętrzach. W głębi obrazu, z prawej strony publiczność tłoczy się przed ustawioną na świeżym powietrzu sceną teatralną, oglądając plenerowe widowisko. Z lewej strony kompozycji liczne grupy postaci odpoczywają nad brzegiem rzeki, po której odbywają się też przejażdżki łódkami. Na wzgórzu za miastem trwają zmagania łuczników. Przedstawienie obejmuje więc serię anegdotycznych epizodów, które w wymiarze symbolicznym składają się na syntezę życia miejskiego i wiejskiego w Kraju Nizin na przełomie XVI/XVII w. Podobnie jak w obrazie również w rzeczywistości w tego typu ludycznych wydarzeniach tradycyjnie uczestniczyli bogaci patrycjusze, a także burmistrzowie czy książęta.

Obraz ten uznałem za formę metafory codziennej gazety – przykład solidnej, dziennikarskiej roboty.

Dziś wiem o wiele więcej o tym przedstawieniu.

Rzecz opisać z właściwym sobie znanstwem przedmiotu

– malarstwa (znów cytuję, tym razem ze strony Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego w Szczecinie): historyk sztuki, muzealnik i muzeolog, absolwent kierunku Historia Sztuki Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego oraz Podyplomowego Studium Muzealnictwa przy Wydziale Historycznym UW. Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii sztuki (rozprawa: *Kolekcje i zbiory artystyczne łódzkiej burżuazji wielkoprzemysłowej w latach 1880–1939*). Wieloletni kustosz zbiorów dawnej sztuki europejskiej w Muzeum Sztuki w Łodzi, od 2008 roku związany z Muzeum Narodowym w Szczecinie, w którym...

I tu muszę uaktualnić powyższy wpis stwierdzeniem: **pełnił** do jesieni 2024 obowiązki zastępcy dyrektora ds. naukowych.

Willa Lentza wydała pracę **Dariusza Kacprzaka** - bo o nim mowa „Kolekcja Doeringów”. To pierwszy katalog obejmujący dzieła zgromadzone przez Wilhelma i Fridę Doeringów w ich willi. Istotny głos w kreśleniu panoramy Stettina, miasta kolekcjonerów i znawców sztuki.

„Nikt nie wie tyle o sztuce i życiu artystycznym Szczecina XIX/XX co Darek. Jego pozostanie w mieście powinno być troską ludzi, którzy mają tu coś do powiedzenia. Ale prawda jest taka, że właśnie przez tych, którzy ponoszą największą odpowiedzialność za przyszłość naszego regionu, Darek jest jeszcze mniej akceptowany (by nie powiedzieć gorzej) niż ja” – napisał kończący pracę dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie i odchodzący na emeryturę, Lech Karwowski.

I co? Tej klasy specjalista, człowiek poważany w europejskich kręgach muzealnych, bez wątpienia najwyższy w Szczecinie autorytet naukowy w zakresie muzealnictwa, praktyk - został przez Olgierda Geblewicza - skreślony!? Nie nadaje się!? A wszyscy - poza Lechem Karwowskim oraz grupą sygnatariuszy listu do marszałka - położyli na panu Kasprzaku krzyżyk? Z podwiniętym ogonem uciekli? A Towarzystwo Przyjaciół MN w Szczecinie?

-Nie nasza sprawa - słyszę. Stanisław Horoszko, w mailu do naszej redakcji napisał:

Zachodniopomorski Oddział SMP (Stowarzyszenie Muzeum Polskich) w żaden sposób nie jest zaangażowany w proces wyłaniania nowego dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie.

Nawet emocjonalnie? Ten list ma ciąg dalszy. Wprost kuriozalny, ale to temat do następnego materiału na ten temat.

Zarząd Krajowy tej organizacji, również w mailu do TVSiódemka twierdzi, że **bardzo przeżywa tę sytuację, a oddział szczeciński zostanie zobowiązany do zajęcia się sprawą.** Czekamy na „wejście smoka”. O wynikach napiszemy w kolejnym numerze miesięcznika.

Niestety, pan Olgierd Geblewicz nie zaprosił nas na rozmowę. Rzecznik prasowy nie odniósł się do mojej propozycji spotkania. **W końcu - albo ktoś tu rządzi, albo nie. A jak rządzi - to nie po to, aby o swoich decyzjach dyskutować. Ma głos wyborców? Ma. I nie zawaha się go użyć.**

Niemniej powtórzę, a zwracam się do całego Zarządu: Szanowni Państwo - czy zechcą Państwo wyjawiać, dlaczego, w jakim celu, z jakim zamiarem doprowadzili Państwo do kryzysu w Muzeum Narodowym?

Za portalem wszczecinie.pl przytaczam słowa, które muszą wyrzucić duże wrażenie na każdym uczciwym i inteligentnym, a zarazem – cechującym się pokorą wobec ludzi dalece bardziej kompetentnych w swojej dziedzinie:

«Źle się dzieje w państwie...» ta decyzja wpisuje się w jakiś niezwykle niebezpieczny trend toczący kulturą w Szczecinie. Wielokrotnie powtarzałem w rozmowach z decydentami, że ludzie są najważniejsi, nie budynki. Można mieć tylko nadzieję, że zostanie zorganizowany uczciwy i transparentny konkurs na dyrektora/kę Muzeum Narodowego w Szczecinie i o tym, kto nim zostanie będą decydować kompetencje kandydatów i kandydatek, a nie polityczne uwarunkowania – skomentował Kamil Kuskowski, prorektor ds. rozwoju i promocji Akademii Sztuki w Szczecinie.

Z muzeum odszedł także dr Szymon Kubiak, kierownik Działu Sztuki Europejskiej 1800-1945. W mailu do naszej redakcji napisał m.in.:

Wypowiedzenie złożyłem jeszcze na ręce dyrektora Karwowskiego. Jako powód rezygnacji podałem chęć skupienia się na badaniach akademickich i dydaktyce.

Przygotowane do druku w tym numerze materiały dalece głębiej analizujące sytuację w Muzeum, **na prośbę zainteresowanych**, a nie wymienionych tutaj z nazwiska osób – wstrzymałem. One same są przerażone m.in. kompetencjami kandydata, forsowanego na nowego dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie.

A Państwo myśleli, że co? Że odbędzie normalny konkurs, że zjadą sławy światowego i krajowego muzealnictwa, historycy sztuki, autorytety, które naszej palcówce nadadzą blask, a nie blichtr jeno? O naiwności.

Komuś się marzyło, że finansujący tę placówkę Urząd Marszałkowski wyśle posłów do ludzi, którzy wiedzą, jak zarządzać muzeum, jak je profilować, czynić placówką twórczą, kompetentną, rozpoznawalną i uznaną w świecie? Na

poziomie nie niższym niż dotychczas? Urząd może i wysłać karawanę, ale osłów, bo nawet dyrektora Wydziału Kultury tam nie ma. Właściwie to i po co taki? Jeszcze mógłby na kulturze znać się lepiej niż ktokolwiek inny? A swoją drogą – warto prześledzić – **kim byli wszyscy dyrektorzy tego wydziału w historii urzędu?** Życzą sobie Państwo, abyśmy tę kwestię zbadali?

Przeciętniactwo, brak inicjatywy, zachowawczość, powolność i niekompetencja, to wystarczający powód, by zyskać uznanie i stać się nominatem.

Kolejny miesiąc wykorzystamy więc na dokumentowanie metody obniżania poziomu i prestiżu miasta oraz regionu poprzez decyzje personalne, preferujące głupszych od niemądrych.

A kto jest mądry? Ten kto nominuje. Przecież to jasne i oczywiste. Na jakiej podstawie tak uważamy? Bo tacy ludzie są skuteczni. Nominują, a resztę społeczności, którą ubłagali, by ta powierzyła im urząd mądrego - mają - po wyborach - w serdecznej wdzięczności.

W uzupełnieniu – kilka ujęć z „Wielkiego kiermaszu”, podczas którego – jak wspomniałem, władza brata się z ludem, artyści z plebejuszami, mężatki z kochankami, duchowni z grzesznikami, bankierzy ze złodziejami, a artyści z parweniuszami. Ot, cała nasza, szczecińska rzeczywistość.



Porannik codzienny

Dwóch rzeczy nie toleruję: wyrzucania chleba i niezapisanych fragmentów papieru. Chleb schrupię, poskubię, pocmokam. A na tych marginesach białych kartek to choć stalówkę pióra przecwiczę, kolor nowego atramentu sprawdzę. Tak „dopisane” kartki gdziekolwiek wkładam, nimi strony książek dzielę, między pudełka płyt CD wsuwam. A ostatnio – wrzucam do kopert czarnych winyli. Potem – o! cóż za nieoczekiwane znalezisko... Czytam, dopisuję i... w innym miejscu ukrywam.



Grawitacja moralna

(notatka: 14.07.2022)

Znów wszystkie miejsca po lewej stronie parkingu są zajęte. Skręcam na ten stary, w prawo. Dlaczego nikt nie lubi tego boxu? Już niemal całkowicie zarósł od dawna nieprzycinanymi krzewami. Wsiadam. Sięgam po torbę, która leży na tylnym siedzeniu. Zamykam drzwi, wsuwam telefon do tylnej kieszeni. Ten wypada mi z ręki i ląduje na kostce brukowej. Schylam się. Chwytam aparat. Wolno się prostuję. Podnoszę wzrok... Dostrzegam jakiś kształt za krzakami. Szmer. Przez dwie sekundy nasłuchuję. Robię krok do przodu. Widzę czarną mierzwę. Taki kołtun. Nieco niżej, rozerwany kawałek kurtki puchowej, brudnej, zatłuszczonej, oblepionej piaskiem i jakimiś smarami. Człowiek? Siedzi na krawężniku. Wyczuł moje spojrzenie. Odwraca się. Jego wzrok, jak dwa zderzaki wagonu kolejowego wbijają się w moje oczy. Twarz czarna jak noc. Z natury, z charakteru, z brudu. Ja siwy z bielszym odcieniem najbielszej białości, wyprany z wszelkich złudzeń, poza tym jednym, że będę wiedział, jak się zachować w sytuacji jak ta. I teraz mam sposobność, by to potwierdzić.

Co zrobię? Ile razy z tym pytaniem kładłem się spać? Co zrobię, gdy spotkam się z tymi ludźmi oko w oko? Mijałem ich na przygranicznych drogach. Szli parami, w niewielkich grupkach, wzdłuż jezdni, ale zawsze przez krzaki. Przedzielali się, jak przez ostatni jeden, dwa tysiące kilometrów? Już nie musieli! Byli na terenie normalnego kraju! Jednak kierowała nimi dzikość, strach przed pełnym słońcem, przed spotkaniem kogokolwiek. Bo nie wiedzieli, będzie to przyjaciel czy wróg? Dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziestoletni ludzie. Z bagażem upokorzeń, ale też z myślą, że się uda, bo dlaczego miałyby być inaczej?

Któregoś razu, jeden z nich twarzą ocierał się o przydrożne maki. Jakby chciał tę ich krew w siebie wpuścić. Może nie wie, że te kwiaty, jak żadne inne, żyją najkrócej?

Co powinienem zrobić?

Obok zaparkował znajomy przedsiębiorca.

- Dzień dobry!

- Dzień dobry...

A co miałem odpowiedzieć? Kiwnąłem głową także w stronę człowieka z tamtej strony krzaków. Nie zareagował. Za moimi plecami toczyło się normalne życie parkingowe. Torby, bagażniki, puste butelki, skrzynki pełne piwa... Jakieś dziecko z płaczem żądało ulubionych słodczy. Biały pudel, uwolniony z puszki samochodu podbiegł do krzaków, aby dać upust naturze. We trójkę patrzymy sobie w oczy. Pies co sił wrócił do swojego pana. My dwaj tkwimy, jak zablokowani. Dotknąłem szybki smartfonu. Gdzieś tu miałem numer telefonu do służb... Znów spojrzeliśmy sobie w oczy. On lekko odwrócił głowę, odsłaniając kępę krzaków, oddalonych o jakieś sześć metrów. Zimą, na tych krzewach sporo jest białych kulek.

- To zimowe smakołyki dla sikorek i innych ptaków – tłumaczyłem kiedyś wnukowi, łasuchowi, który nieostrzeżony, pewnie ufnie sięgnąłby rączką po te kuleczki. Teraz, w lipcowym słońcu zobaczyłem między tamtymi krzakami kilka par kuleczek... wyschniętych oczu.

Znów uniosłem telefon, w geście pytania, czy mam zadzwonić, wezwać pomoc?

Oczy nie odpowiedziały.

Co zrobić?

Z lewej strony zbliżała się grupa emerytów. Ich autokar zatrzymał się w strefie dla większych aut. Człapiący, wspierający się nawzajem, rozdyskutowani ludzie, zadowoleni z życia, zdążają do jakichś atrakcyjnych miejsc. Są tak zajęci sobą, że gdyby szli wzdłuż szpaleru uchodźców, nie zauważyliby ich.

Ponowiłem gest. Mam zatelefonować?

W tej samej chwili na parking wjechały trzy mikrobusy. Wolno, ostrożnie otoczyły krzewy. Dwa zatrzymały się w pewnej odległości. Jeden podjechał do przodu. Kierowca i jego partner byli w białych kombinezonach. Mieli kaski i duże przezroczyste osłony na twarzy.

Kierowca nie wyłączył silnika. Drugi wysiadł, stanął z boku auta, lustrował sytuację. Pewnie miał krótkofalówkę wmontowaną w kombinezon. Jeden z lekko wycofanych busów bezszelestnie podjechał kilka metrów do przodu. Z tylnej części pojazdu wysiadło czterech mężczyzn. Wyjęli duże worki plastikowe, jakieś nesesery. Zaczęli zakładać rękawice, maski na twarz, okulary.

Ten w białym kombinezonie zrobił kilka kroków do przodu. Odezwał się w języku, którego nie rozpoznałem. Powtórzył pewnie to samo zdanie w innym języku. Po trzeciej próbie odebrał potwierdzenie ze strony człowieka, który już nie patrzył mi w oczy.

Poczułem się tak strasznie głupio.

Z oddalonych krzaków wyszło pięć osób, przywołanych przez tego pierwszego. Cała wielopokoleniowa rodzina. Ostatnią była kobieta w zaawansowanej ciąży.

Nie mogłem uwierzyć. W takim stanie, ile przeszła kilometrów? Przecież wiem, jak trudno kobiecie w siódmym, ósmym miesiącu poruszać się po mieszkaniu, zejść po schodach na spacer, a ten bywa nie dłuższy niż kilkaset metrów...

Człowiek zsunął z siebie puchowy barłóg. Na wyraźny znak białego kombinezonu zaczął ściągać sweter z poszarpanym do łokcia rękawem. Teraz zauważyłem, że przedramię miał owiązane jakąś szmatą, nasączoną krwią, stwardniałą od wielu dni. Dłoń była wyraźnie opuchnięta i sina, śliwkowo brunatna.

Biały kombinezon podszedł do człowieka. Coś objaśniał. Zrozumiałem, że pobierze próbkę do testu covidowego. Szpatułkę włożył do probówki, nie odwrócił się, lecz pierwsze trzy, cztery kroki zrobił cofając się, a dopiero po chwili ruszył zdecydowanym krokiem w stronę samochodowego laboratorium. Człowiek stał zgarbiony, zgięty jak złamana gałąź, bez tej kurtki brudu i upokorzenia wyglądał na... pokonanego. Usiadł

na rozgrzane słońcem kostki, którymi wybrukowany był cały parking. W szparach między betonowymi klockami z betonu sporo było mchu. Na nich – rdzawe plamy. Przyroda nie próżnowała. Miejsca uwolnione od aktywności człowieka wracały do prawowitego i jednego właściciela świata – do natury.

W tej samej chwili, na znak białego kombinezonu, czwórka czarnych postaci podeszła wolno do człowieka siedzącego na bruku. Do worków zaczęli wkładać części jego garderoby. Ten czwarty podał człowiekowi butelkę z wodą. Kobieta w białym kombinezonie, ale już z trzeciego busa przyglądała się jego ręce. Ten pierwszy kombinezon pochylił się i coś powiedział do mężczyzny. Pomógł mu stanąć na nogi i ręką wskazał trzeci bus. W tej chwili dostrzegł mnie, stojącego po drugiej stronie krzaków. Skinął głową, jakby chciał powiedzieć – w porządku, załatwione. Zajmujemy się sprawą. Odpowiedziałem skinieniem głowy. To najczęstszy gest, jakim ludzie w tej części świata się ze sobą porozumiewają. Obojętnie gdzie, kiedy, bez znaczenia, czy spotkana osoba jest kimś znajomym czy obcym, ten jeden gest jest wręcz nieodzownym odruchem. Nie wiem już, co znaczy? Ale wiem, że uruchamia jakieś niezbadane mechanizmy osłabiające strach. Nie wyobrażam sobie już, żebym mógł na wąskiej drodze mijać nadjeżdżające z naprzeciwka auto i uniesieniem dłoni nie wymienić pozdrowienia z jego kierowcą.

Gdy wyszedłem ze sklepu, trzy busy szykowały się do odjazdu. Dostrzegłem dwa auta policyjne. Formowali kolumnę. Wszyscy ludzie z krzaków byli ubrani w jakby szpitalne jednorazówki. Czarne kombinezony zebrały ich buty, czapki, jakieś bluzy...

Na parkingu przed krzakami – nieprzerwanie trwał normalny, niczym nie zakłócony od świtu ruch.

Jak co dzień. Mało kto zauważył, co działo się na starym parkingu. Pewnie bombardowanie tego placu nie przerwałoby tym ludziom rutyny porannych zakupów.

Za krzakami – już po chwili nie było nikogo. Otworzyłem drzwi auta, nogę postawiłem na progu i popatrzyłem w miejsce,





w którym, mój wzrok nie spotkał żadnego spojrzenia. Urucho miłem silnik. Nawigacja wyświetliła pytanie: Do domu? Potwierdziłem jednym słowem: tak.

Tamta siódemka ludzi przebyła pół świata. Kiedy ruszali, ich nawigacja zadała to samo pytanie: do domu? Odpowiedzieli: tak.

(szkic 12.11.2021)

To chyba wtedy, definitywnie, przestałem oglądać serwisy telewizyjne. Nie był mi już potrzebny obraz, by zapełniać wyobraźnię oraz świadomość scenami, w obliczu których wyłączało się myślenie. Stchórzyłem? Odwróciłem głowę od ludzkiego nieszczęścia? Nie to co ty, który na relacje patrzysz do ostatniego ujęcia. Wręcz przeskakujesz kanały w nadziei, że spotkasz przekazy bardziej dosadne, drobiazgowo, takie „bez cenzury”, naturalistyczne. A może trafisz na wielogodzinną transmisję live z miejsca tragedii? O, to byłoby coś!

Obraz zwalnia z myślenia

(Notatka na marginesie, bez daty):

Chętnie odwołujemy się do magii liczb, gdy idzie o naszą krzywdę. Ilu nas zginęło w czasie II wojny światowej? Nonsensownie wielu. Inne nacje poniosły nie mniejsze straty. Boli nas ta świadomość, domagamy się odszkodowań i reparacji, bicia się w piersi, a i tak potomkom oprawców – **nigdy nie wybaczymy**. Ot, taka nasza natura. Ludzi skrzywdzonych. To znaczy nie nas – tamtych. Dziadów i pradziadów. O tych ostatnich nie wiesz nic. Tyle tylko, że byli, że cierpieli.

Czy jest gdzieś na świecie takie jedno biurko i taki urzędnik, który codziennie, do listy zatytułowanej: bezsensowne śmierci dodaje nowe ofiary? Ilu w szalupach, ilu w Sudanie, w Korei Północnej, wreszcie – u nas, na wschodniej granicy? **Z naszych niewyciągniętych w gęście pomocy rąk?** Czy

jest gdzieś taka świetlna tablica, wielka jak reklamy w Nowym Jorku, która nieustannie aktualizuje dane o śmierci wyłącznie z naszej winy? To znaczy – z braku pomocy, której udzielić mogliśmy? Nie ma? A, rozumiem, oni sami winni są swojego losu. Mogli tu nie przyjeżdżać. Nie zapraszaliśmy ich.

(ołówkiem, 11.06.2023)

Ukraina. Przy dobrej pogodzie, takiej po dwudniowym wietrze, niemal czuć w wyobraźni zapach frontu, słysząc pomruki wybuchów artyleryjskich. A tu w telewizji show, na stadionie mecz, w polityce grabież i hucpa. Księża się (podobno) jeszcze modlą, lekarze myślą o prywatnych kosmodromach. A co, stać ich. W kinach i w streamingu - 99% filmów to mordy, kryminały, przemoc, horror, oszustwo. W teatrach – przeróbki klasyki, jakby to była stara szuba, warta przeniećowania. I powszechny nasz ukochany tumiwizizm.

Taka wypływająca po całym dniu kroplówka dla tych, którzy w zakamarkach świadomości noszą jeszcze potrzebę normalnego świata. W gazetach – nie inaczej. Od wielu lat nie przeczytałem tekstu o człowieku zwyczajnym, któremu dobrze, normalnie się wiedzie. Bo co to za temat?

Wystarczy się nad rocznikiem jakiegokolwiek gazety codziennej. Przejrzyć go, jakbyś był przybyszem z Marsa i chciał dowiedzieć się, czym żyją Ziemianie? Co ich interesuje? Wniosek? Prawda? Mój podporucznik w wojsku, po poranym przeglądzie kompanii, dochodził do ostanego w szeregu żołnierza i z obrzydzeniem mówił: szambo.

Odnoszę narastające wrażenie, że im więcej wokół nas przemocy, tym chętniej wkładamy t-shirts z napisem: **To nie nasza sprawa!**

(piątek? Październik 2024)

Ostatnio musiałem skorzystać z nagłej pomocy okulisty. Dostałem dobry adres. Przed wjazdem na zamknięte osiedle – rozmowa przez domofon. Szlaban w górę. Po dwustu

metrach – kolejna, tym razem przesuwana brama do jeszcze okazalszego posiołka. Cudne chaty, idealne, jak z filmów Disney’a, w słońcu, na tle błękitnego nieba. Brak tylko kwitnących malw i chochoła w sadzie... Znów guzik, brzęczyk, kolejna brama otworzyła dojazd do gabinetu. Drzwi wejściowe jak do skarbcza centralnego. Wewnątrz – biel, jak w serialowych korytarzach „Przebudzenia”.

Od samego widoku tych oczywistości wzrok mi się sam naprawił. Badanie podstawowe kosztuje tu 500PLN.

(1977, przy śniadaniu)

Ojciec, po całonocnym szukaniu na radiowej skali wiadomości prawdziwych, siadał przy kuchennym stole, brał głowę w dwie ręce i mówił sam do siebie.

- Przecież to niemożliwe! Nie wierzę, żeby nie znalazł się jeden czy drugi w bezpośredniej ochronie tego łobuza i żeby nie puścił mu „wiadomości od świata”, który ten - gnębi i morduje. Ale taką wiadomość w sam środek czoła. W centrum tego łotróstwa. Nie wierzę!
- Może to robota dla ciebie? Rusz się. Jedź, masz medal „Za odwagę”. Z czasu wojny. A ty nic, tylko radia słuchasz! – na bezczelności nigdy mi nie zbywało.
- Znam ich. Znam ich bardzo dobrze. Trzy razy byłem pod ich butem. Oni są jak ta serweta, co ją dziś skończę. Tak spleć, tak jeden drugiego za gardło trzyma, że choćbyś pękł – nie popuszczą. Ale gdyby jednego tylko, tego najpodlejszego wyeliminować, cała ta struktura, ten wzór z piekła rodem rozpadłby się na kawałki. Oni nigdy nie żyli normalnie. Zawsze w strachu...

(2024, w pociągu z Warszawy)

- A na cholerę nam oni tacy jacyś tam? – jegomość sięgał po kolejną kanapkę i rozprawiał, gestykulował, zaplawał się w tym swoim świętym oburzeniu.



- Może pan przestać? Mnie to nie interesuje... - odpowiedziała chyba studentka. Czytała książkę, obłożoną w jakąś kolorową gazetę.
- Właśnie tacy jak pani powinni się dowiedzieć, że obrona ojczyzny jest najważniejsza.
- Przed panem – syknęła młoda.

(jesień 2023, szczepienie przeciw grypie, przychodnia osiedlowa, rozmowy w poczekalni)

Wszystko widać! Łatwo nazwać motywację, jakimi kierują się obrońcy naszych granic, zrzucając z drutów i zasiek zdesperowanych ludzi.

- Przecież bronimy wartości dla nas najświętszych! Powodów i motywacji mamy wiele. Zaraz, zaraz je wszystkie panu wymienię, chwileczkę, bo chciałbym zacząć od najważniejszej, a tyle ich mi się na usta ciśnie. Tak, może ta najważniejsza: nie chcemy was tutaj, idźcie sobie stąd, to nasze miejsce! Po chwili zdania stają się coraz bardziej krągłe.
- Bronimy naszej wolności... Naszych wartości. Chrześcijańskich! A to nasz skarb najcenniejszy. No przecież gdyby nie te armatki wodne i miotacze gazu łzawiącego – cała ta ciżba przesłaby na naszą stronę!

Po słowie: chrześcijańskich – moralnie zaszczepiony - wyszedłem. Nazajutrz w poczekalni byłem tylko ja.

(bez daty):

Zastanawiam się... W jakim stopniu armatki wodne, miotacze gazu, oślepiające reflektory i pałki pogłębiły desperację ludzi nadchodzących z tamtej strony? Nie będę odwoływał się do literatury i relacji obozowych. Bo to przecież było dawno, i to coś zupełnie innego!? W obozie śmierć była skutkiem oczywistym.

Tu ciągle zмага się z nadzieją.

(Innym kolorem również bez daty):

W chwilach takiej próby ujawnia się efekt całego procesu wychowawczego, indoktrynacji, jakiej podlegaliśmy, nauczania religii i wykuwania postawy obywatelskiej. Mundur, broń w rękę. Do tego przysięga i ślubowanie – tak. Ale nad wszystkimi tymi imperatywami istnieje możliwość odmowy wykonania rozkazu. Ba! To dopiero narobiliśmy sobie problemów!

Postawiliśmy mur. Dwa mury. Ten stalowy - ponoć mało skuteczny. Już jest kolejny, oddalony od tamtego o parę metrów. Idzie o to, żeby uchodźcy nie znaleźli się na terytorium Polski. Mur informacyjny także jest coraz bardziej szczelny. Ale prasa już znudziła się tym tematem. Pamiętam, przed 15 października, jedna ze stacji radiowych podawała o piątej rano, jaka jest temperatura przy gruncie w pobliżu muru. Już nie podają. Została tylko kartka z muzycznego kalendarza.

Więc kładź się, gaś światło, śpij spokojnie. Twoje sumienie także. Rano nikt cię niepokojącymi wiadomościami nie obudzi. Państwo czuwa na granicy. A, że tu czy tam przecisnę się jakiś news, po chwili zginie w potoku nowych rewelacji.

**Gołębiczek karmi dzieci
Jutro słońce znów zaświeci
Śpiących strzeże Anioł Stróż
Śpij, dziecińko, już.**

Koncert na Emocje, z towarzyszeniem Przejmującej Ciszy

**Anna Januszewska na wielkiej scenie
Teatru Małego w Szczecinie.**

O scenariuszu nie powiem ani słowa.
Ten mógłby składać się z jednego tylko... nazwiska.
Skupia ono w sobie zło całej naszej historii.

A co mówi spektakl?

Wszystko o tym, że władza w Rosji niczego nie boi się bardziej niż zmian. Nie tam, gdzie kamera telewizyjnego reportera pokazuje protesty na wieść o śmierci Aleksieja Nawalnego, lecz pośród tego mrowia ludzi żyjących, jak się wydaje, zgodnie z odwiecznym rytmem dyktowanym przez Piekło.

Tam nieustannie rodzą się synowie Wiery Putiny. Kobieta, która mówiła, że jest matką dyktatora, zmarła w czerwcu 2023 roku.

Rano 16 lutego 2024 roku cały świat usłyszał o śmierci Nawalnego, a wieczorem tego samego dnia, my, ściśnięci w małej sali teatralnej, jak przed pustym konfesjonalem, wysłuchaliśmy skargi i oskarżenia zarazem. Skargi matek wszystkich putinów, synów zrodzonych w ogromnym bólu, wychowywanych, a właściwie hodowanych w rodzinach zastępczych, przytułkach, w domach dziecka. Bitych, wyśmiewanych, zawziętych i mściwych. Jeśli byli karceni przez zawsze pijanego ojca, to w taki sam sposób, później, traktowali swoich synów.

A one? Matki? Mogły tylko milczeć.
Wyraz twarzy Anny Januszewskiej
w monodramie według tekstu
Anny Chudek-Niczewskiej poraża...
bezsilnością.

Scenariusz sztuki nie wnosi nic nowego do naszej wiedzy o mrokach Piekła. Pełen jest zdań niemal wyjętych z setek reportaży o Wierze Putinie, publikowanych na łamach światowych mediów, interesujących się losem domniemanej matki dyktatora.

Matki rosyjskie?

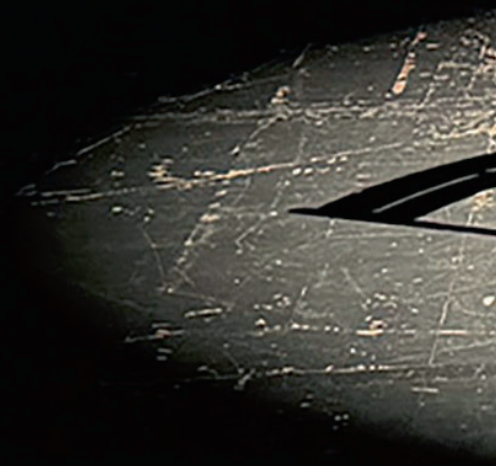
Nie, to nie ich wina... To system odczłowiecza ich synów.

Maxim Gorki był jednym z wielu, którzy próbowali tego rosyjskiego demona przechrzcić na wiarę człowieka w człowieka. Rozpoczął „Matkę”, swoją najważniejszą powieść, jak tam niektórzy mówią – a co sam wiele razy na własne uszy słyszałem – „po bożemu”.

– Nie twoja sprawa, ścierwo. Kochankę sobie wezmę.

Kochanki – jak pisał Gorki – Własow nie wziął. Któregoś dnia zamknął się w sobie. Przez prawie dwa lata do syna się nie odzywał. Pił i pił. Pies, wielki i kudłaty stał się jego rodziną. Z jednej miski jedli, na krok od siebie nie odstępowali. Nigdy go jednak nawet nie pogłaskał. Dom w szynk zamienił. Gdy skończył jeść, a żona w porę naczyń nie usunęła, zrzucił je na podłogę. I pił, i wył, a oczu i ust nie otwierał.

Dwa tygodnie po jego śmierci, Paweł Własow przyszedł do domu pijany i – jak ojciec – uderzył pięścią w stół.



– I palić będę. Daj mi fajkę ojca....

Matka go utuliła. Synku, szepnęła, tak nie trzeba, nie trzeba... A, że czarodziejką była, Pawła ze szponów ruskiej wszeteczności wyrwała.

Wiera Putina takiej szansy od życia nie dostała. Miotła się po izbie, wodę z lodem, oj, rzešką i smaczną łąpczywie piła.

Anna Januszewska tą samą wodą swoje i nasze myśli mroziła. Lodem ruskiego losu – siebie i nas upajała. A połykała ją głośno, jakby woda kamieniem była.

Aktorka

I co taka może? Wzruszy? Postraszy? Prawdę powie?
Ani tej prawdy za pazuchę nie włożysz, ani głowy na niej do snu nie ułożysz.
Kurtyna opadnie, a wtedy, jak śpiewał Awdiejew, błaga prawdę obędzie już do cna.

O prawdzie wspomniałem...?
Tej w spektaklu było ponad miarę.
Prawdy aktorskiej.

Anna Januszewska dedykowała ten spektakl Grzegorzowi Młudzikowi. Niemal dokładnie dwa lata od Jego odejścia ze Sceny. A Jemu, swojemu Grzesiowi, nieprawdy by przecież nie powiedziała. Sam był wybornym aktorem, moc – słowem wyzwalał. Wcielił się niegdyś w postać robotnika, Iwana Bukina, w Toruniu, w 1977 roku, w „Matce” Gorkiego, reżyserowanej przez Borisa Głagolina i Marka Okopińskiego.

Więc pomówmy o prawdzie aktora.

Bo ona – prawda – jest tego monodramu wartością największą.

Jak dalece sięgam pamięcią, a tę, Anna Januszewska ma ode mnie tylko o jeden dzień dłuższą, a i to zapewne niecałą – zawsze się na scenie aktorskiej Prawdzie oddawała.

Po pierwszych zdaniach, po pierwszym skrzyżowaniu się naszych oczu zdawało mi się, że słyszę z boku głos Mieczysława Limanowskiego, słynnego geologa, reżysera teatralnego i kierownika literackiego Reduty. Zdawał się szeptać, że w teatrze jesteśmy „na czymś, co porównać można do koncertu, jeśli chodzi o harmonię i skupienie. Publiczność zachowywała się jak na nabożeństwie”.



Anna Januszevska nie dała nam chwili wytchnienia. Także wtedy, gdy milczała, wpatrzona w ścianę jak prawda czarną. Jej emocje nie gasły nawet na chwilę.

A wtedy Limanowski mówił mi do ucha: „*W teatrze patrzę na grającego aktora całym sobą i ulegam pełnym wzruszeniom, nie rozbieram jego gry analitycznie, lecz oddaję się bezkrytycznie czarowi, spływającemu ze sceny*”.

Jeszcze myśli nie skończył, a obaj usłyszeliśmy głos Anny:

Teksty są tylko pretekstem – partyturą do wzlotów.

Tych aktorka i reżyserka monodramu w jednej osobie miała wiele – przede wszystkim w scenie porodu i w dumce kołysance, do dziś jednej z najpopularniejszych w Rosji, śpiewanej przez białą niedźwiedzicę swojemu rybionkowi, białemu misiowi, z kreskówki „Umka”, z 1969 roku. Wymowa – nieskazitelna, melodia – jakby wiatrem niesiona.

W takich właśnie szczegółach tkwi subtelność i maestria tej interpretacji.

Limanowski: „*Jakiegokolwiek będą słowa i jakiegokolwiek formy, muszą być podawane uczciwie, szczerze, a wykonywane w znaczeniu rzemiosła dokładnie*”.

Każdy może udawać bezzębną akuszerkę, pijaną, spoconą, wściekłą i brutalną babę. Ale mało kto do tej jednej sceny doda ogień piekła, trawiący dziewczynę w połogu, nieprzytomną z bólu. Dwa kilometry, przez ciemny, mroźny świat z dzieckiem przy sercu szła do domu swojego ojca. Ojciec, widząc półprzytomną córkę splunął jedynie słowem obśliszłym.

– Ech, wy, baby...

Kim jest matka znosząca takie katusze? Limanowski, powiedzże, coś człowieku,

„*Podstawą działania aktora jest takie wcielenie się w kreowaną postać, aby widz wierzył aktorowi zapominając, że rzecz dzieje się w teatrze i razem z nim przeżywał zdarzenia postaci*”.

Prosto, mądrze i naukowo pan mówi, grażdanin Limanowski. Aktor musi na co dzień żyć ze swoją rolą, musi wykazać się umiejętnością zapamiętywania stanów emocjonalnych i wielokrotnego ich wywoływania na scenie.

Limanowski pokiwał głową.

Ten spektakl wybrukowany był
prawdziwymi emocjami.
Nigdy wcześniej teatr nie bolał mnie
tak, jak w ten piątkowy wieczór.
Liczę, że nikt na ten ból lekarstwa
nie wymyśli.

Dobrze znałem pewną Niuszę. Po naszymu – Anna. Kiedyś, o brzasku dnia szliśmy nad brzeg Świtezi, przez Szczorse, Niehniewicz i Łozki, przez powietrze gęste od majowego wrzasku ptaków. Chusta zsunęła się z jej głowy, opadła na ramiona. Niusza nuciła jakąś piosenkę...

– Znajesz? To polska piosenka...



Fot. Natasza Młodzik

Miała z mężem, tym pijakiem, trzech synów. On, nie byle kto, kołchoźniany pastuch, 200 rubli rocznie zarabiał. Ona nigdy kopiejki z tego bogactwa nie zobaczyła. Skąd miała pieniądze, by ich wyżywić, oprać, w świat wyprawić? Ogródek koło domu mały, krowa staruszka, cztery kury, pies ślepy i kot czarniejszy od nocy.

Przyjechała do Szczecina.

– Boże mój, Boże najświętszy. Ten twój świat jest taki piękny... Jak ja o nim naszym ludziom opowiem?

Rozpłakała się.

– Nie uwierzą.... Oni mi nie uwierzą!

Był piękny majowy dzień, ciepły, ale na wieży Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie wiatr rozwiewał jej czarne, podszyte już siwizną włosy. Uchwyciła je tą samą chustą.

– A gdzie mój dom?

Ręką wskazałem wschód.

– Aha... Czyli, niedaleko... No, ale tu jednak inaczej.

I znów przyszedł kolejny maj... Odwiedziłem Niuszę.

W izbie półmrok, ogień spod płyty kuchni nieśmiało zagadywał gości... Trzy kobiety siedziały przy stole. Jedna dłonią zmiażdżoną gośćcem gładziła szary papier pakowy. Druga – między palcami kręciła sznurek, którym związana była paczka z podarkami. Trzecia, siedziała z zamkniętymi oczami i lekko się kiwała. Ona już te cuda wcześniej widziała i dotykała. I papier, i sznurek... A teraz dostała ode mnie krasowki, tenisówki, białe, w których można iść tylko do nieba.

– Zapadnyje?

– Zachodnie.

– Nu, inne, niż nasze – dodała trzecia.

Niusza uśmiechnęła się, nie przerywając ubijania masła.

– Wszędzie na świecie jest inaczej. I u was, i u nas... Ale to wcale nie znaczy, że tu czy tam jest lepiej. Jest inaczej. My mamy swoje, wy macie swoje. I nic nikomu do tego.

– Biednie u was... – powiedziałem.

– Dzięki Bogu, chwatajet...

– Chłopy piją.

– Piją.

– Biją!

– Biją.

– Pieniędzy nie dają.

– Nie dają.

– Kradną.

– Kradną.

– Boga się nie boją.

– Boją.

– Jak tak można żyć?

– Można.

– Ale na świecie jest już XXI wiek!

– U nas też jest XXI wiek. Może i on u nas pierwszy był niż gdzie indziej? Może i nasz jest lepszy? A kto to wie? Toż my i w kosmos latamy... A wy?

Potem pisała listy.



Fot. Natasza Młodzik

Jeden w miesiącu. Otkrytki drogie. No i o czym tu pisać?

Mąż zapił się na śmierć. Najstarszy syn trafił do więzienia. Średni zginął w Afganistanie. Młodszy pojechał do dziewczyny i nigdy już nie wrócił, nie odezwał się słowem. Dwadzieścia lat pytała, pisała, czekała.

W maju przysłała ostatni list: *Marku, mój drogi, tak ciężko pisać. Wszystkich was przytulam i całuję. Ot, i taka to moja starość. Nigdy o takiej nie myślałam. Nie pożyję już długo. Do svidaniya!...*

O prawdzie zaświadczyć muszą dwa przynajmniej dowody, albo słowa świadków.

Anna Januszewska na scenie i Niusza, z którą siedłem nad Niemen – wszystko o bólu matki opowiedziały. Nam, którzyśmy na chwilę w teatralnej sali się zatrzymali, a potem ruszyli w dżdżysty lutowy wieczór do naszych spraw. One – zostały.

O matkach, o nas jest ten spektakl?

Nie jest to nowy spektakl, nie jest też stary. Nie mam na myśli daty premiery, lecz treść, materię przedstawienia „Ballada Szczecińska” według tekstu Piotra Rowickiego i w reżyserii Arkadiusza Buszki, wystawionej talentami aktorskimi Teatru Pleciuga w Szczecinie.

Kompleks szczeciński

Bo jak inaczej nazwać zbiór faktów, które scenarzyście posłużyły za pretekst do iście niekiedy szwależerskiej szarży poprzez najbardziej – no właśnie – pamiętane Szczecinowi zjawiska i wydarzenia? Z nich jedynie jesteśmy znani? Dyskusja, co się komu z czym kojarzy już dawno została uznana za bezcelową. Wybór, jeśli bez jasno określonych kryteriów – jest produktem subiektywizmu. Kropka na temat scenariusza.

Byłem najprawdopodobniej jednym z najstarszych widzów piątkowego (24.01.2025) spektaklu, który wrócił na afisz po premierze w 2019 roku. Podjąłem wyzwanie intelektualne. Spróbowałem o wszystkim... zapomnieć. Oto nic nie wiem, nie jestem ze Szczecina, nic o tym mieście i jego mieszkańcach nie słyszałem, nigdy tu nie byłem. Siadam wygodnie w fotelu i ruszam w podróż przez lata minione.

Katastrofa tramwaju, pożar Kaskady. Jak mam zapomnieć ten szalony bieg całej chmary ludzi z Gumieniec w 1967 roku na ulicę Wyszaka, bo „tramwaj stoczył się do Odry i jest tysiąc trupów”. Staliśmy, patrzyliśmy, kobiety płakały, mężczyźni nie wypuszczali kiepów z ust. Język niemiecki (Kippe) był wtedy źródłem makaronizmów.

Potem – próbowałem zapomnieć ten drugi radiowy reportaż, który w 1981 roku nagrywałem z komendantem szczecińskiej straży pożarnej we wnętrzu wypalonej, dymiącej, ociekającej wodą głównej sali Kaskady. Pierwszy reportaż pokazywał akcję ratunkową. Jeśli pamiętam – jest w tamtym dźwiękowym obrazie z miejsca pożaru opowieść tej dziewczyny, tej, która w spektaklu biega przez całe przedstawienie z ramą okienną,

a pozostali aktorzy wołają: skacz, no skacz! Ona oglądała się za siebie, gdzie jest pani Danusia, pytała, której imię w spektaklu pojawia się też kilka razy, Danusia, która szukała uczniów-praktykantów, a napotkanym kazała natychmiast uciekać z budynku. Jest w tym moim reportażu relacja ówczesnego dyrektora biura turystycznego Pomerania, który z okien swojego gabinetu patrzył na tę samą dziewczynę w okiennej ramie. Dlaczego reżyser uczynił z tego doprawdy bolesnego wspomnienia lejtmotywu spektaklu? Nie wiem.

Zapomnieć? Niewykonalne zadanie

Łatwiej poszło z Gałczyńskim, z Kalksteinem, o którym w redakcjach przez wiele lat opowiadano właśnie takie nie-
zwykłe historie, jakie pojawiają się w spektaklu. O rzeźniku z Niebuszewa, nie powiem nic. Straszna historia, która niczym żelazna kula ciągnie się za tym miastem od tyłu dziesięcioleci. Nie zgłębiałem tej historii, lecz nie wykluczam, że ów człowiek był chory. I może dlatego zawahałbym się przed włączeniem tego epizodu do scenariusza. W ogóle – epatowanie takimi historiami uważam za słabość spektaklu, one zaspokajają nasze najniższe deficyty. Potem - fantazja z koszulą Gierka. I pełne ekspresji scenki poświęcone paprykarzowi oraz pasztecikowi, które rozdmuchane ponad miarę - zrównoważyła etiuda o szczecińskich fortepianach. Miałem taki. Poczułem mocny wyrzut sumienia, że... ale oddałem go muzykowi, za darmo, który – mam nadzieję, a zapewniał – zrobił z instrumentu właściwy użytek. Podobał mi się ten dźwięk wysypywa-





nych z walizek, nie tylko klawiszy poniemieckich fortepianów, które w przedwojennym Stettinie były instrumentem bardzo popularnym. **Dźwięk naszej bezmyślności...** Wszystko w tym mieście było kiedyś poniemieckie. Po wojnie – instrumenty zniknęły w nieznanymi okolicznościach. Ja wiem, w jakich. Pamiętam. Wszystko co szwabskie – niszczone. Scenograf przedstawienia znalazł w teatralnym magazynie klawiatury kilku instrumentów. Dobrze „zagrały” jako dekoracja, choć nigdy nie powinny się w takim rekwizytowym stanie znaleźć. Żadne instrumenty.

Gdyby zatem nikt z widzów nie znał proporcji, co w spektaklu jest czystą fantazją, a co udokumentowaną prawdą (choćby te wąsy wojewody Borkowicza), mógłby przyjąć spektakl za opowieść o miejscu każdym lub żadnym konkretnym, osadzonym gdzieś w odległej historii, ale przez czas bardzo odkształconej. To dostateczny pretekst, który łatwo zamieni się w inspirację. Jej produktem jest to przedstawienie muzyczne, humorystyczne, satyryczne, groteskowe, pełne ruchu, dynamiczne i...

...świetnie zagrane.

Nie mogłem się doczekać, kiedy z naturalnego toku pisanie wypłynie moment, w którym mógłbym tę właśnie opinię wygłosić.

Znam Pleciugę od zawsze. Uciekam niekiedy do tego teatru nie tylko z recenzenckiego obowiązku, ale po prostu – do miejsca, które od dzieciństwa – kojarzy się z najlepszymi wrażeniami, doznaniem, nigdy – negatywnymi. Że tu i ówdzie „żydem” recenzję uzupełnię – nie umniejsza to szacunkowi, jaki wobec tej sceny żywię.

Zatem aktorzy. Pan Arkadiusz Buszko, miał strasznie łatwe zadanie. Bo kogo by z tego teatru nie wybrał do obsady, to ten w roli sprawdzi się doskonale. Cała ekipa Ballady – uwaga – doskonale śpiewa! Tekst podają jakby to było najwyśawniejsze przyjęcie u Ritza. Tańczą. Są naturalni, bawią się materią przedstawienia. Całość znajduję w klamrze limitowanego dramatyzmu. Sceny i sekwencje rzeczywiście dokumentalne, bolesne, wywołujące najgłębsze poruszenie – podali zawodowo, bez ekspiacji i emfazy. Kto wie, czy dzięki temu nie wzbudzili większego poruszenia wśród widzów?

Nie zostawię jednak suchej nitki na nagłośnieniu.

Katastrofa. Co się dzieje? Czy już nigdy nie będziemy mieli do czynienia z prawdziwym teatrem? Zostaliśmy nieodwołalnie skazani na mikrofonową, burzącą naturalny porządek kierunków ścianę głosów, pod linijkę wzmocnionych? Tembr, barwa, specyfika, kolor głosów – brak! Są natomiast dźwięki ściśnięte, skompresowane, zgłajszachtowane, nieprzyjemnie wprost chwilami w odbiorze. Mała jest ta sala. Proszę... Pan Rafał Hajdukiewicz, pani Maja Bartlewska, wszyscy Państwo aktorzy – mają Państwo taką moc wokalną, że zdołali byście wypełnić przestrzeń pięć razy większą. To byłoby coś!

Jak zabrzmiałby na scenie prawdziwy kontrabas, właśnie to szczecińskie pianino lub fortepian, a nie keyboard. Wysypujemy się na takich drobiazgach, które rujnują efekt profesjonalny.

Drugim, dość jednak irytującym elementem był przesadzony w ilości, intensywności i przypadkowości ruch postaci w danej chwili drugoplanowych, markujących tłum, budowanie wrażenia odmiennych reakcji na prezentowane treści. To rozprasza, bo widz stara się zrozumieć, czy ktoś ze sceny nadaje S.O.S. alfabetem Parkinsona?

Istotnym atutem była muzyka grana na żywo. W pełni zsynchronizowana z akcją sceniczną. Spektakl był dzięki temu płynny, w hollywoodzkim wręcz stylu zmiksowany. Mam wątpliwości, czy nowe teksty do legendarnych szczecińskich przebojów były najszcześliwszym rozwiązaniem. Dla widzów takich jak ja, „Bilet w jedną stronę” Heleny Majdaniec i Czerwono Czarnych, tutaj rozpoznawalny tylko w warstwie muzycznej, byłby w oryginale istotnym wzbogaceniem spektaklu! Odpowiednio w scenariuszu „podprowadzony”, mógłby po latach ponownie stać się premierą popularnej piosenki. Ta sama uwaga odnosi się do pozostałych szczecińskich kompozycji. Można byłoby rozważyć, skoro tak meandrował scenariusz, by zwrotkę lub dwie dać w wersji na nowo napisanej, a zakończyć „puszczając oko”, bo takim przecież był cały spektakl – fragmentem oryginalnej wersji utworu. Byłoby pięknie.

Jeszcze słowo o zjawisku, jakim jest teatr dla dorosłych w teatrze dla dzieci.

Wydaje się, że Polska jest krajem wiodącym w wykorzystywaniu sceny lalkowej do sztuk dramatycznych dla widza dorosłego. W odwrotną stronę działania takie w zasadzie nie występują. Nikt nie wprowadza też lalek, kukielek, marionetek, masek na sceny Komedii Francuskiej czy Teatru Królewskiego w Londynie.

Pamiętam Don Giovanniego w wykonaniu teatru lalkowego z Pragi. Jest Hamlet lalkowy. Można, ale po co? Zubożenie dramaturgiczne takiej wersji jest zbyt duże.



Na świecie instytucje teatralne ściśle realizują cele i formy, dla jakich zostały powołane. Czy tamtejsi aktorzy nie mają ambicji, aby stąpać po dużej scenie? Zapewne tak. Sam podam kilka przykładów także szczecińskich karier (Mikołaj Müller – lalkarz, śpiewak operowy, baletmistrz, aktor dramatyczny, aktor dubbingowy – jeszcze dziś można głos Mikołaja usłyszeć, gdy w okresie przedświątecznym w reklamach słyszymy św. Mikołaja; tę posadę, po Mikołaju przejął nieodżałowany Wiesław Orłowski).

Co zatem z ambicjami aktorów lalkowych? Należy je spełniać, ku obopólnej korzyści. Czy ktoś przypomni mi i poda przykłady oczywistego zapraszania kolegów z Pleciugi do pracy na scenie w Polskim lub Współczesnym? Aż tak rzadko? Także w filmie?

A pani Grażyna Nieciecka-Puchalik... Nie znajduję informacji o terminie Pani recitalu wokalnego, w lekko przyciemnionym repertuarze, nawet z soulowym odcieniem? Proszę?...

Środowisko szczecińskie nie jest rodziną. Od lat słyszę te utyskiwania. „Jak u kolegów jest premiera, to my musimy grać nasz spektakl”. A przyjęło się, że premiera jest wydarzeniem środowiskowym. Pytam ostatnio aktorkę... Grasz? A, odpowiada, w operze, niewielką rolę dostałam.

Ballada – podkreślę ten aspekt - dowiodła, mamy bardzo utalentowanych artystów. Szlif jubilerski Arkadiusza Buszki nie musiał odkrywać oczywistego potencjału twórczego balladowej ekipy. Uwypuklił jedynie ich indywidualności. I te powinny kwitnąć, także osobistą ekspresją w monodramie, recitalu, przedstawieniu kameralnym, wieczorze poetyckim. Mój Boże, to ja jeszcze pamiętam ten termin: wieczór poetycki?

Orfeusz, stańże wreszcie z przodu, lepiej oświetlaj mi drogę i prowadź do niego, do Ducha Teatru, może coś da się jeszcze cofnąć i życiu przywrócić? Choćby tylko poezją...

Zespół: reżyseria: **Arkadiusz Buszko**, tekst **Piotr Rowicki**, reżyser/ruch sceniczny **Arkadiusz Buszko**, drugi reżyser **Punch Mama**, asystent reżysera **Marta Łągiewka**, kostiumy i scenografia **Pavel Hubička**, opracowanie muzyczne i aranżacje **Tomasz Lewandowski**, projekcje multimedialne i animacje **Krzysztof Kuźnicki**
Obsada: Maja Bartlewska, Rafał Hajdukiewicz, Mirek Kucharski, Marta Łągiewka, Katarzyna Klimek, Grażyna Nieciecka-Puchalik
Fotografie: Teatr Pleciuga

Wystawiennictwo degenertywne

Lubię „Ucznia czarnoksiężnika” Paula Dukasa, muzyczny podkład pod znakomitą animację Walta Dsneya.

Płyta „Supraphonu” z tym nagraniem, uzupełnionym o „Strzelca potępionego” Cesara Francka jest historycznie pierwszą w mojej kolekcji, a jej początek sięga końca lat 60. XX wieku.

Historia ucznia jest prosta. Leń, matolek i spryciarz wykorzystał czarodziejskie zaklęcie, polecił miotłom i wiadrom, by umyły za niego podłogę w pracowni Czarnoksiężnika. Niestety, nie zadbał o znalezienie formuły odwołującej to pierwsze polecenie. W ten sposób miotły i wiadra zalały komnaty. Czarnoksiężnik przybył w ostatniej chwili...

Uczniowie ducha Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie ulokowali wystawę sztuki generatywnej „Jutro jest teraz” Krzysztofa Lachowicza... w wyjściu przejściowym albo wejściu wyjściowym, czyli byle gdzie. Obok karety, co to bardziej zawalidrogą – jak widać – niż atrakcją (dla gospodarzy Zamku) jest.

Tyle razy przechodziłem obok tej wystawy, a wcześniej zabiegałem o jej recenzowanie (czym wspomniani gospodarze nie byli zainteresowani, przynajmniej nie odpowiadali na korespondencję), że patrząc na nią... przestałem ją widzieć. Aż do 17 listopada 2024. Przy zupełnie innej okazji – jednak zatrzymałem się przy niej. A właściwie, przy grupie kilku nastolatków.

- Fajne, ale to nie nasz styl.
- Ja nie mam stylu. Nie bierze mnie rysowanie.
- A same obrazki?
- Fajne, kolorowe.



- Ale to chyba na drukarce robione, bo takie równe, takie dokładne.
 - Nigdy nie powieszę czegoś takiego na ścianie mojego pokoju. Starych mogę powiesić, ale musiałbym wtedy sam sobie gotować.
- Innym razem przechodziłem obok wystawy wspólnie z uczestnikami Spotkań z Psychologią, dopinaliśmy kurtki wychodząc na dziedziniec. Wcześniej, biegnąc do Galerii 0, zajęci byliśmy rozpinaniem kurtek. Przed spektaklem w operze, za stelażami wystawy przemylkali ci, którzy czekali na znajomych. Te stelaże tylko im przeszkadzały.

Ot, rzadki to przypadek, ale w takiej „galerii zawalidrodze” do zderzenia ze sztuką raczej nie dojdzie. Chyba... żeby wprowadzić tam sygnalizację świetlną. Czerwone – stój, wydłużone żółte – oglądaj, zielone – zmykaj.

A mówią, że są sytuacje bez wyjścia. Nie w szczecińskim Zamku. Pomysł przesyłam z pozdrowieniami.

p.s. o sztuce generatywnej chętnie, w bardziej sprzyjających okolicznościach



Zaryzykujesz? Dobrze. Zapytam jeszcze raz. Jeśli potwierdzisz – zdradzę ci tajemnicę. Ona zmieni Twoje życie. Nieodwracalnie. Twój cały świat - zniknie bezpowrotnie. Pełny reset.



Hans Hartig, Wiosenne roztopy, olej, płótno, przełom 1895-1900, w czasie studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie w klasie pejzażu Paula Vonganga.

Nie czytaj tego tekstu!!!

Ale nie to jest istotą eksperymentu. Ciągłe możesz – podkreślam i wręcz biorę cię za ramiona, patrzę ci prosto w oczy, potrząsam tobą – możesz się jeszcze cofnąć. Zawrócić! Mam kontynuować? Jesteś pewny? Dobrze.

Podziel swoją jaźń na dwie części.
Dotychczasową odrzuć.
Wraz z nią - znikniesz TY.
Od tej chwili, miejsce, które
w wszechświecie wypełniałeś sobą
– zostanie zastąpione nowym TOBĄ.

Jak to zrobić? OK. Znajdź obraz... nie ważne – arcydzieło czy pracę amatorską. Stań naprzeciw. Unieś oczy. Skup wzrok na obrazie. Przybliż wolno jego treść. Bliżej, jeszcze trochę, tak, aby rama przekroczyła pole widzenia. Wejdź w ten obraz. Śmiało, nie stój na progu. Wejdź... I co widzisz?

Chodź teraz ze mną, pośród roztopów, drogą z mojego Hansa Hartiga, ale aż za tamten zakręt... Zobaczymy, co tam jest? Pięknie? Oto wszedłeś, nowy TY, w przestrzeń tego obrazu. A czego już nie widzisz? Siebie tamtego i poprzedniego świata. **Witamy w Sztuce!**

W poprzednim życiu otrzymałem zadanie: narysuj autoportret.

Proste. Z pamięci czy z lustrzanego odbicie... I tu ugryzłem się w język. W odbiciu jestem kimś obróconym o sto osiemdziesiąt stopni. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś...? Czy ten odbity, to dalej ty? No, muszę przyznać, masz mocne nerwy. Albo całkowity brak wyobraźni. Ale w tym momencie, inna konstatacja zajęła miejsce poprzedniej. Bo pierwszy raz zobaczyłem nie mnie, a siebie, wokół pionowej osi, obróconego o sto osiemdziesiąt stopni. Nie moje odbicie, ale mnie samego obróconego? Nigdy wcześniej tak o swoim wizerunku w lustrze nie myślałeś? A wiesz, dlaczego? Czy Monet nie doznawał podobnych wrażeń? Patrzył w wodę, a chciał w nią wejść. Nie mógł, bo widział w niej swoje odbicie... **Nie mógł przejść przez siebie?** Tak jak ty.

Kreska czy łuk? Oko czy kształt głowy? Może oko? Nie, nos! Bzdura. Centralnym punktem autoportretu musi być czoło...

I proszę się nie zdziwić, jeśli poddając się próbie autoportretu, widząc siebie w lustrze świadomości, owal twarzy narysujesz jako... kwadrat. Bo tam rysujemy nas nie tak, jak wyglądamy, tylko jakimi jesteśmy.

To nie jest śmieszne, proszę Pani!

Rzecz ujmę inaczej. Inaczej siebie widzimy, a odmiennie siebie - oglądamy. Czy ten „nowy” wizerunek jest zgodny z tym, jak widzą nas inni? Widzą nas jako jajogłowych lub pospolite zakute pały, kwadratowe łby, tępe i bezkształtne masy? Czy jako wzorce piękna, którymi oni sami nie są?

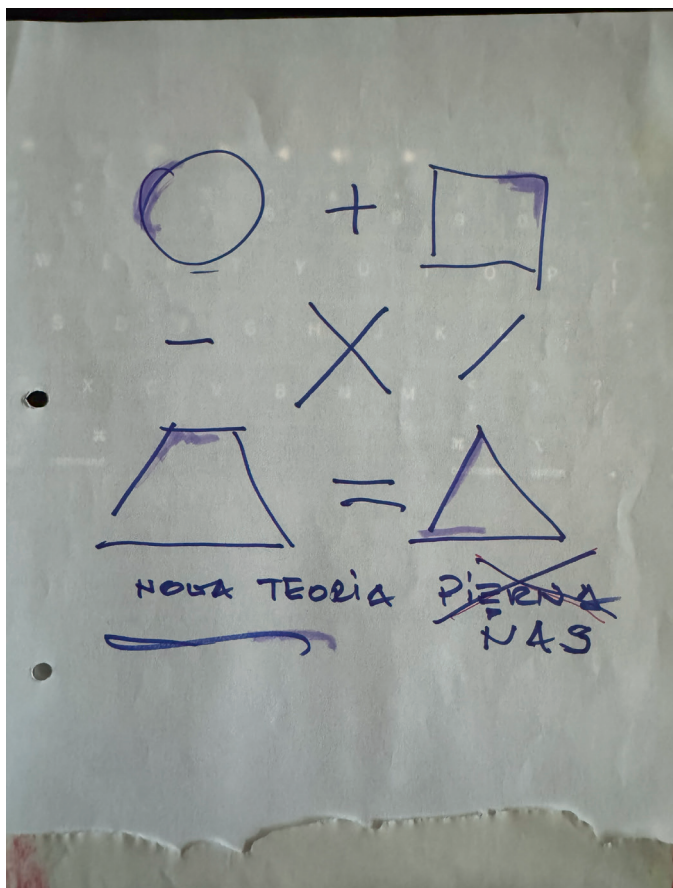
Gdybyśmy siebie znali, widzieli, oglądali, gdybyśmy nasz wizerunek nieustannie z naszym wnętrzem synchronizowali – może udałoby się po latach wykształcić pewnego rodzaju więź pantograficzną między... **nami i nami**. Każdy rys wewnątrz byłby na naszym zewnętrznym wizerunku pantograficznie odwzorowany. Jedni powiedzą: obłuda, inni – fałsz, a ty? Że to prawda. **Wreszcie prawda...**

Nie ma sensu silić się na słowa. Nic bardziej niż one nie zniekształca naszej unikatowości.

- Staję przed płótnem i ruszam w podróż. Nie wiem, dokąd, na jak długo, w jakim celu. Wiem, że chcę w tę podróż wyruszyć. I nie odejdę od sztalugi, nie będę spać przez kilka dni. Mogę



Pierre-Auguste Renoir (1841-1919), *Landscape of Cagnes*, ca. 1900 Muzeum Barberini, z kolekcji Hasso Plattnera



też nie jeść, dopóki rzecz nie będzie skończona... - mówił mi wczoraj artysta, prof. Henryk Cześniak.

- Patrę na te obrazy. - zwierza mi się gość wernisażu. - Rozglądam się wokół siebie. Podobnych kompozycji mógłbym od ręki stworzyć dziesięć. Wszystkie ścinki i papierki, naklejki, metki, paragony, pęknięta kaseta VHS, dwie płytki CD, ścielecza do szkieł okularów, kilkanaście przewodów i kabelków, odznaka honorowa, dwa kubki pełne ołówków, długopisów, piór, piórek i pióreczek. I tylko płótna i kleju mi brak.

Czy kompozycje każdego z nas będą dziełami? Czy tak, jak za prace profesora ktoś zapłaci XX tysięcy? A, przepraszam, w jego przypadku mówimy o poziomie YY tysięcy.

Organizuję więc wystawę. Ludzkie oczy – zaskoczone wołają – O! obraz...!

I patrzę, i jak korkociąg szuka środka korka, tak oni, my wszyscy szukamy dzwonka do drzwi obrazu, których nie widać. Łatwo zaobserwować tę konsternację, i zagubienie na wystawie... Jedni zatrzymują się na chwilę, inni na dwie, a następni ledwie omiatają wzrokiem wszystkie płótna. Ci nigdy nie wejdą w siebie, a więc w świat Sztuki.

Ostatnio dostrzegłem damę, która wybrała się na tę samą co ja wystawę w Poczdamie. Widziałem, jak siadła przed obrazem. Ja pobiegłem pożreć całą ekspozycję. Klik, pstryk – dwieście ujęć już wypełniło całą kartę sim. Piękna wystawa. Mogę wracać. Przy wyjściu zauważyłem, że ta piękność właśnie wstała z ławeczki i także ruszyła w stronę wyjścia. Znowu ustąpiłem jej pierwszeństwa. Wymieniliśmy uśmiechy. Wyszła na zewnątrz. Ja...? Ja cofnąłem się, aby sprawdzić, na co ona przez całą godzinę patrzyła? Był to najmniejszy obraz na tej wystawie.

Ledwie ścinek płótna z krzewami, takie gmatwaniny splątanych chaszczy. Zajmowały 70 procent powierzchni płótna. No – temat żaden. Wręcz – bzdura jakaś. Ciekawe... Co tę damę tak zafrapowało?

Najlepszym sposobem oglądania siebie samego jest spojrzenie w siebie przez dziurkę od klucza. Tą może być wszystko, ale obraz jest najlepszy.

Sytuacja beznadziejna zaczyna się w chwili, gdy obraz powiesimy na ścianie naszego pokoju. Wisi. Równo? Czy nie za wysoko? Nie... Chociaż, gdyby był dwa centymetry niżej... Oj, czepiasz się, jest dobrze. Jest dobrze?

Mija tydzień. Mija miesiąc, rok, niekiedy więcej. Obraz wisi i patrzy na nas. My nie czujemy żadnej dysharmonii. Wtopił się w nasz świat. Przechodząc, zauważamy go: jest. Jest na swoim miejscu. To kluczowa konstatacja.

I któregoś dnia – obraz znika. Znika? Tak. Malowanie, odkurzenie, przemeblowanie. Zaraz, ale... No tak w życiu bywa – obraz znika! Czujesz niepokój, bo...

...patrzysz na ten twój, świat jak na akwarium pełne rybek, wodorostów, które dalej sobie pływają, trawy się wyginają, tyle tylko, że w akwarium nie ma już... wody.

Przestraszyłem panią? Ja nie zamierzałem pani przestraszyć, ja wręcz chciałem, aby się pani zaczęła bać, i to panicznie! Zresztą, co ja tu mogę? Ten obraz wykonał całą robotę za mnie. Nagle część Pani świata jak ten obraz – zniknęła. Uprowadziłem. Pojawiła się „kosmiczna” dziura, która jak ta Czarna może nas pochłonąć, zabrać kto wie, dokąd? A już tym bardziej – w jakim celu? Pani nie wie, do czego zdolne są te Czarne Dziury, o, proszę Pani...!

Od takiej wizji zaczynałem ten felieton? Pisałem o podróży bez końca, niezbędnej i nieuniknionej zarazem, jaką – na przykładzie obrazu – gwarantuje najlepszy mentalny przewodnik po nas samych – Sztuka! Ta, niestety, nie ma dopisku: z ograniczoną odpowiedzialnością. Ona ma zakodowaną pełnię bezkarności. A każdy sędzia powie, że działalność sztuki wyróżnia się nadzwyczajną społeczną... przydatnością. Ona, sztuka, nas multiplikuje. Z wielokrotnia, nie jak Światowida, który ma jedynie cztery twarze. Ona ofiarowuje nam ich milion. Tyle, ile emocji dostarcza każde dzieło sztuki.

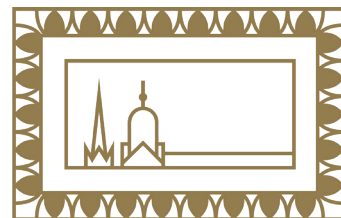
- Czy to znaczy..., że ja, że my jesteśmy dziełami sztuki?

A pani – spośród wszystkich jest najpiękniejszym. Tam, na tej ławeczce, czy dziś znów Pani siedzi? Patrzy? I... czeka? Pani pozwoli, na imię mam Marek...



Kilka faktów, o których dyskutować nie będziemy:

- **Rodzina Wildenstein** zgromadziła dzieła takich mistrzów jak Van Gogh, Renoir, Gauguin, Cézanne, Monet, Rembrandt, Rubens czy Caravaggio. Wartość kolekcji – 10 miliardów dolarów.
- **Francuski biznesmen François Pinault** – ponad 2000 dzieł 80 artystów, w tym Pabla Picassa, Pieta Mondriana czy Jeffa Koonsa. Wartość jego zbiorów 1,4 miliarda dolarów.
- **Philip Niarchos**, syn greckiego magnata Stavrosa Niarchosa, jest właścicielem kolekcji zawierającej m.in. "Autoportret z zabandażowanym uchem" Vincenta van Gogha oraz autoportret Pabla Picassa "Yo, Picasso". Wartość kolekcji 2 miliardy dolarów.
- **Rodzina Nahmadów** zgromadziła około 5000 dzieł sztuki, przechowywanych w magazynie o powierzchni 1400 metrów kwadratowych w pobliżu lotniska w Genewie.
- **Grażyna Kulczyk** – ponad 500 dzieł, co czyni jej zbiór największą prywatną kolekcją w Polsce i jedną z najważniejszych w Europie Środkowo-Wschodniej.



Klub Kolekcjonerów

Miłośników Malarstwa i Sztuki Dawnej w Szczecinie

Kolekcjonerzy (do wzięcia)



Fritz Johannes Modrow, *Panorama Stettina*, pierwsza połowa XX w., ze zbiorów Autora

Szczeciński Klub Kolekcjonerów, Miłośników Malarstwa i Sztuki Dawnej – niewykluczone, że znajduje się na miejscu szóstym w przytoczonym wyżej światowym rankingu pasjonatów sztuki. Szóstym, po przecinku. W Polsce Klub nie ma odpowiednika. Niewiarygodne! Lecz nie o miejsce i rankingi w rzeczy samej idzie, a o doskonalenie się w rozumieniu i odczuwaniu piękna.

Kolekcjoner dzieł sztuki...
Czyż nie jest to wymarzona
partia dla każdej Kleopatry?

Dla dopełnienia obrazu, a zarazem określenia płaszczyzny, po której będziemy się za chwilę poruszali dopowiem, że



Kuratorka wystawy, Renata Zdero.

obok dzieł sztuki ludzie kolekcjonują samochody. **Sułtan Brunei** posiada kolekcję ponad 5000 pojazdów. Wśród nich znajduje się 600 Rolls-Royce'ów, ponad 300 Ferrari, 500 Mercedesów oraz wiele unikatowych modeli stworzonych specjalnie dla niego. Wartość kolekcji szacowana jest na 5 miliardów dolarów.

Kolekcjonerstwo

To lepsza siostra kompulsywnego zbieractwa. Ale granica jest tu cienka. Wystarczy porozmawiać, a niekiedy tylko pomilczeć w gronie kolekcjonerów, by dostrzec specyficzne cechy charakteru tych ludzi. Oni... mówią ciszej. Zdania budują z reguły dłuższe od komunikatów informacyjnych. Modulują głos, zawsze nie domykając kadencji, jakby sugerując, że między ostatnim wyrazem, a kropką jest coś jeszcze bardzo ważnego, ale słyszalnego tylko dla wtajemniczonych. Tacy... Don Juani sztuki. Rozkochują... Patrzą wzrokiem przymglonym, ale żarliwym. Ręce? To ciekawe – zazwyczaj trzymają w ruchu odsiebny, ale gotowym do przyciągnięcia, co przez niektóre osoby może być mylone z zaborczością. Tę zdradzają oddechem. Nie, nie sapią. Nie wzdychają – oni zazwyczaj wpadają w długie bezdechy. No i najważniejsze – są pedantyczni, uporządkowani, uprzedzająco uprzejmi, z uśmiechem i zagryzionymi zębami podkupią koledze dziełko, na które tamten już, już wykladał gotówkę. Nie mają litości. Sztuka – przede wszystkim!

Są ludźmi majątnymi. Zazwyczaj w wieku post balzakowskim. Wolni od nałogów, chyba, że ktoś rozumie pod tym słowem pasję i ekspresję. Jeśli tak, pantofelki na wysokim obcasie radzę zostawić w domu i nie ułatwiać im zadania. Dopadną, do ściany docisną i... wszystko o malarzu oraz jego obrazach opowiedzą. Do ostatniego tchu. Brutale!

Kiedy milczą, liczą swoje dzieła i eksponaty? Ile im jeszcze brakuje do zbioru Haso Plattnera, założyciela muzeum Barberini w Poczdamie, które tak często odwiedzają? Specjalizują się w kolekcjonowaniu dzieł związanych z Stettinem i Pomorzem. Mają rzeczywiście imponujące zbiory. Dowiedli tego w 2024 roku, podczas przedwakacyjnej wystawy „**Szczecin w malarstwie przełomu XIX i XX wieku**”, zorganizowanej przy współpracy z Willą Lentza i w jej wnętrzach prezentowanej.

Wystawę zwiedziłem trzy razy Bilet – pięć złotych

Pierwszy raz – w towarzystwie Zenona Owczarka, kolekcjonera, który rezyduje i troszczy się o historyczny wizerunek

nek Nowego Warpna. Bo to właśnie tam powstawało wiele, najbardziej poszukiwanych dziś obrazów Hansa Hartiga i Otto Antoina.

Panowie Modrow, Hoffmann, Dekkert koncentrowali się na utrwalaniu (a już chciałem napisać – uwiecznianiu) wielkomiejskiego Stettina. Wyjątkowo malowniczego miasta, przede wszystkim w bezpośredniej bliskości odrzańskich brzegów. Nie wiem, czy ktoś policzył, ile widokówek, rysunków, akwarel, linorytów, drzeworytów i obrazów olejnych powstało pod wpływem zjawiskowej urody Hakenterrasse? A Targ Rybny, a dzielnice handlowe, targowe, usytuowane tuż za pierwszym rzędem budynków wzniesionych wzdłuż odrzańskiego bulwaru?

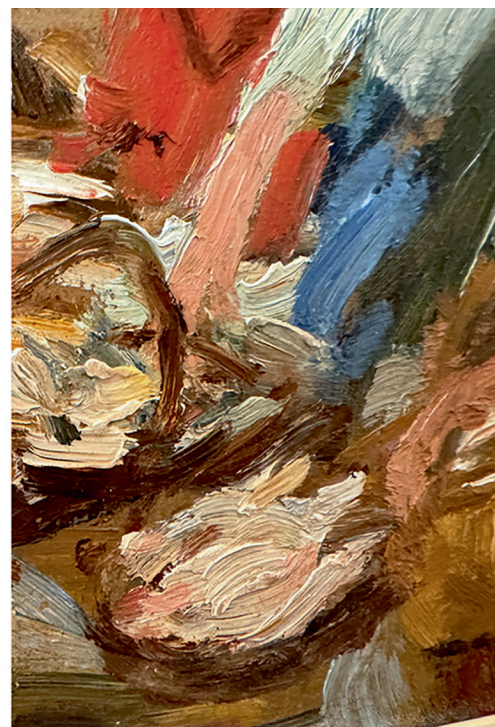
Długo jeszcze, jeśli w ogóle, w mieście nie powstanie inny kompleks architektoniczny i gospodarczy, zachęcający do utrwalania go na płótnach czy w tak dominującej dziś fotografii smartfonowej.

Powojenny Szczecin nie cieszył się zainteresowaniem twórców. Natomiast w okresie Republiki Weimarskiej port, żeglowne pulsowały życiem. Ruch, dynamika, kolory, odgłosy. Odra się w tym miejscu gotowała! Dziś – mam chwilami wrażenie – widok z Wałów Chrobrego przypomina mi wielką planszę! Z namalowaną wodą! Nad nią - nie ma tak nigdy rozgadanych mew! Jest szum samochodów zjeżdżających z estakady.

Łza w oku się kręci... Przed wielu laty, każde Dni Morza miały w programie Paradę Jednostek Pływających. Wyciągano z szuwarów i szop wszystko, co pływało. Wiele łódek fantazyjnie ozdabiano lub aranżowano na krążowniki z tekturowymi lufami... Dorośli ludzie, a mieli w sobie tyle radości dzieci.



Finisarz wystawy w Willi Lentza, prawie jak sen jakiś namalowany.



Eugen Dekkert, *Na targu rybnym*, 1913, olej, karton, z kolekcji Zygmunta Niedźwiedzia.

Trzeba pamiętać, że w tamtym czasie wymagane były nadzwyczajne zezwolenia do poruszanie się po wodzie.

zawierający 41 zaprezentowanych prac. Ich wyboru dokonała kuratorka, pani Renata Zdero, a nad koncepcją wystawy pracowali Kryspin Pawlicz i Marek Wyłupek. Wprowadzenie do ekspozycji napisała pani dr Ewa Gwiazdowska.

Wiano kolekcjonerów

Kolekcjonerzy przygotowali wystawę podzieloną na pięć kręgów tematycznych. Odwzorowaniem wystawy jest katalog,

Poczuciu prawdziwej aury tych miejsc sprzyja dominująca w obrazach stylistyka pleneryzmu, gdyż wystawiono obrazy malowane z natury. Artyści tworzący szczecińskie weduty i pomorskie widoki dzięki gotowym farbom olejnym w tubkach wymyślonym jeszcze w dziewiętnastym wieku, mogli ustawić sztalugi bezpośrednio przed malowanym pejzażem. Przyglądali się tej przestrzeni w różnych porach dnia i roku, przy rozmaitej pogodzie. Starali się „na gorąco” uchwycić ich wpływ na zmiany światła, barw i ich odcieni. Dzięki tym obrazom woda i obłoki, działanie wiatru, przestwór otaczający przedmioty, architektura na lądzie stałym, portowe konstrukcje, łodzie i statki na Odrze i zalewie, a także mieszkańcy miasta i okoliczna przyroda, cały miniony świat czeka gotowy na podróży z XXI wieku.



Kryspin Pawlicz, prezes Klubu Kolekcjonerów

Czyli – na nas. Bezpośrednich dziedziców tamtych malarских tradycji, koncentrujących się na impresji i dynamice, na kolorach i szarości zmierzchu, na wodzie, jej refleksach, kilwaterach szkunerów parowych, holowników i dużych statków motorowych. Żagle ciągle były tu obecne. Ale ich maszty coraz częściej przeplatały się z dźwigami portowymi.

Najważniejszy – dla mnie – jest ciąg nabrzeży nazywanych Fischbolwerk, nabrzeże rybne.

Jeszcze nie tak dawno wzdłuż wybrzeży Morza Północnego, a potem francuskiej Riwieri takie targi stanowiły centrum życia osad i miasteczek nadmorskich. Hale giełd rybnych tętniły gwarem na długo przed świtem, gdy kupcy oraz restauratorzy zjeżdżali po nocą złowione ryby. Rybacy indywidualni już o brzasku cumowali przy nabrzeżach, gdzie gospodynie domowe przychodziły po świeże owoce morza.

I ten utrwalaony na płótnie moment, w mojej ocenie, był najbardziej wyróżniającym się malarskim kadrem z przedwo-



SZCZECIN STETTIN
W MALARSTWIE IN DER MALEREI
 PRZEŁOMU XIX I XX WIEKU UM DIE WENDE VOM 19. ZUM 20. JH.
 Ze zbiorów Aus den Sammlungen
 kolekcjonerów der Stettiner
 szczecińskich Kunstsammler

jennego Fischbolwerku na wystawie w Willi Lentza. Tamtego klimatu i dynamiki sytuacji nie oddałaby nawet dagerotypowa fotografia. W takim malarskim ujęciu widać ponadczasowość kadru i artyzm malarza. Byłem zauroczony! Nie scena batalistyczna, nie sztorm, nie pędzący pod pełnymi żaglami bark, a ten wręcz trójwymiarowy, mały „kadr”: dwie kobiety pochylone nad straganem pełnym świeżych ryb. Którą kupić, ta wydaje się idealna na dzisiejszy obiad, ale tamte dwie - wręcz zachęcają! Hm...

Mistrzowsko uchwycone zawahanie, podejmowanie decyzji... One same, strojne i skoncentrowane. No przecież to wręcz mało poważne co piszę. Jak dalece tak prozaiczna sytuacja życiowa może inspirować? Ba! A jak zachwyca dźwiękiem, odgłosami, gwarem, który w cudowny sposób sam się zmateriałizował, gdy tylko na ujęcie to spojrzałem. Już po wystawie, z filiżanką mocno palonej kawy w kuchni Zygmunta Niedźwieźdza, właściciela obrazu, wpatrywałem się w tamten poranek na stettinskim Fischbolwerku z uczuciami bliskimi... uczestnikom napadu stulecia. No... To tylko taki mały obrazek...

Obsesja

Obok fascynacji i wszelkich funkcji energetyzujących oraz relaksujących i doświadczenia – pasją posiadania obrazu lub dzieła sztuki niekiedy zamienia się w obsesję. Kolekcjonerzy alienują się, unikają przyjaciół, zamykają się pośród swoich zbiorów, jakby ta potrzeba wejścia w inny wymiar psychiczny wzmagala nałóg kolekcjonerski. Obcowania tylko z dziełami sztuki. Całe dni przeglądają katalogi, strony internetowe, ostatni grosz wydadzą na licytacji, by w chwilę później ująć ramę, a w niej zamknięte, wymarzone dzieło. Odsuwają je od siebie na długość wyciągniętych rąk, obracają w stronę zapewniającą dobre oświetlenie płótna by... „wejść w obraz”.

Pewien zaprzyjaźniony kolekcjoner opowiada, że nowy obraz wiesz na.... szubienicy. Ma w korytarzu hak, ten jest nienaturalnie wysoko wbity w ścianę po to, by trzeba było głowę zadrzeć mocno w górę, chcąc nowy obraz w całości zobaczyć. - Staję wtedy przed nim, ręce zaplątam z tyłu, wysuwam dolną wargę do przodu i pytam go: no, mów, dobrze nam będzie ze sobą? Gdzie chcesz zawisnąć? I proponuję mu towarzystwo innych obrazów. Bo to nie jest taka prosta sprawa! Kwiaty źle znoszą towarzystwo innych roślin. Obraz musi błyszczeć, nie gasząc blasku innych. Ile ja razy w nocy wstawałem i obrazy przewieszałem, bo nagle jakaś myśl mnie budziła, że obecny układ jest nie do zaakceptowania.

Dziwak? Nie, człowiek ogromnej wiedzy i wrażliwości. Jest matematykiem z wykształcenia. Nurkuje i ma licencję szybowcową.

- Ale dopiero tu, proszę, siadaj w moim fotelu, właśnie w tym miejscu jest jakieś mentalne centrum między mną, a całą moją kolekcją.

Usiadłem. Po chwili zrezygnowałem z odwiecznego marzenia, wyrosłego bodaj na kubrickowej „Odysei 2000” aby przez wielki iluminator móc kiedyś popatrzeć na bezkresny Kosmos. W tym fotelu doznałem podobnego uczucia nie narażając się na trudy kosmicznej podróży.

Wyschnięte źródła

Szczecińscy kolekcjonerzy gromadzą rzeźbę, sztukę współczesną, posiadają wielkie zbiory widokówek, kart pocztowych, książek, porcelany. Jest trochę broni, eksponatów sakralnych i kartografii. Zasoby szacuję na kilkanaście tysięcy obiektów. Wielu – nie ujawnia całości cymeliów. Niektórzy nie zgadzają się też na ich wypożyczenia na wystawy. Jeśli już – to anonimowo. Nie zapominajmy o małych galeriach, o zbiorach firm prywatnych. Wreszcie – o dziełach zalegających w pracowniach twórców.

Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, iż Stettin oraz Pomorze, o czym opowiada w trzech tomach przyczynkarskiej pracy Edda Gutsche z Kołobrzegu, stanowiło inspirujący obszar dla twórców, którzy jakże często po ukończeniu studiów, trafiali do wiejskich szkół i małomiasteczkowych społeczności i tam utrwalali np. jeden i ten sam zakątek Stargardu. Byli nauczycielami, malarstwem i pracami plastycznymi dorabiali do skromnych pensji. Poza tym – fascynowała ich zmieniająca się gwałtownie architektura. Nie możemy nie doceniać tego wręcz cywilizacyjnego przełomu XIX i XX wieku, kiedy świat ulegał ogromnemu przeobrażeniu w wyniku rewolucji naukowo-technicznej. Opracowanie pani Gutsche jest idealnym przewodnikiem dla kolekcjonerów – czyich dzieł szukać w archiwach, czasopiśmie, ocalałych domostwach.

Trzem tomom pracy „Malarze, miejscowości Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku”, Wydawnictwo Jasne, mam nadzieję poświęcić więcej uwagi.

Szczeciński Klub Kolekcjonerów
 mógłby pełnić rolę inspiratora
 i koordynatora pozainstytucjonalnych
 działań na rzecz ratowania
 i upowszechniania wizerunków
 Pomorza od czasów
 najdawniejszych do dziś.

Jako satelitarny partner Muzeum Narodowego, to oczywiście. Wolin, Świnoujście, Pyrzyce, Koszalin... Nawet sobie nie wyobrażamy, jak bardzo ongiś aktywne w tych wszystkich ośrodkach były kręgi plastyków. O wielu – pamięć zaginęła, inni wracają dzięki kronikarskiej, poszukiwawczej pasji pani Eddy Gutsche.

Czwartkowe konsultacje

Kolekcjonerzy gromadzą się w galerii pana Marka Wyłupka przy Końskim Kieracie. I tam także zapraszają zainteresowanych. Zygmunt Niedźwiedź, skrupulatnie wychwytyjący wszystkie prezentacje, projekcje filmów o sztuce sugerował ostatnio, aby organizować spotkania poświęcone malarzom. Monograficzne. Z ich biografiami, pamiątkami, listami, z reprodukcjami ich płócien. Takie popołudnia malarskie. Z udziałem naukowców, aktorów odczytujących teksty literackie. Kiedy pierwsze z tego cyklu spotkanie zorganizujesz, Zygmuncie?

Marek Wyłupek z rozrzuwaniem wspomina częste wizyty uczniów Liceum Plastycznego, którzy w jego galerii mogli „dotknąć” prawdziwe obrazy, a siedząc na podłodze – słuchać opowieści o „życiu dzieł sztuki”.

Od pewnego czasu rolę dynamizującą, napędzającą emocje kolekcjonerów pełni Willa Lentza. Kilka dni temu rozmawiałem z panią Jagodą Kimber, dyrektorką bez wątpienia kulturalnego centrum miasta.

- Jest pani sztuk mistrzynią... – prowokowałem.

- Pod tym adresem, Wojska Polskiego 84 – tak.

Teatr, oficyna wydawnicza, centrum wystawiennicze, sale koncertowe i recitalowe, debaty naukowe, spotkania środowiskowe. I kolekcjonerzy ze swoimi zbiorami!

Po wspomnianej wystawie kolekcjonerów – Willa Lentza zaczęła kupować malarstwo szczecińskie! Pora na przedmioty codziennego użytku, konfekcję, wyroby przemysłowe

– to, co w stettinskich mieszkaniach było produktem lokalnych rzemieślników. Wszystko w ilości nie konkurującej z wystrojem willi. Byłoby pięknie.

Może w większym stopniu widziałbym współpracę ze środowiskami Przedpomorza i Brandenburgii. To tam przede wszystkim przenieśli się stettinianie po 1945 roku. Pierwszy krok sam w tym kierunku już wykonałem. Lokalna prasa gminy Gartz, przy współpracy z panią Marzeną Mazińską z tamtejszego Urzędu Gminy, chętnie opublikuje materiały dotyczące aktywności szczecińskich kolekcjonerów. Na tamtym terenie mogą znajdować się interesujące i nieoczekiwane zbiory. Przekonałem się o tym późnym latem, gdy z Zenonem Owczarkiem penetrowaliśmy zasoby lokalnego muzeum. Zenon znalazł oryginalny obraz Hansa Hartiga ze znanym już motywem, ale tu w zupełnie nieoczekiwanym ujęciu! I wiele innych artefaktów, o których opowiemy w obszernym reportażu.

U zarania swojej historii Willa Lentza była stettinskim domem bodaj najokazalej wyposażonym w dzieła sztuki. Taką skarbnicą jest dziś Klub Kolekcjonerów. Czyż to zestawienie nie sugeruje naturalnego, mocniejszego związku obu żywiołów? Bo nie umiałbym chyba nazwać inaczej pasji miłośników sztuki i administracji willi.

Dlatego postuluje, a wręcz żądam – **organizujemy coroczną wystawę, rutynową, stałą przegląd zbiorów szczecińskich kolekcjonerów**. Może połączony z aukcją? No, no, no... Tylko w ciągu ostatnich sześciu tygodni kolekcjonerzy wzbogacali się o kilka istotnych, a w niektórych przypadkach – cymeliowych okazów. I co? I będę je trzymać na pięterku, przy nocnej lampce się w nie wpatrywać? No przecież pół Szczecina się tam nie zmieści. Oczywiście, spróbować można... Kryspinie? Panie prezesie możemy zacząć od twoich salonów prywatnych? Sam przyprowadzę 5 tysięcy miłośników sztuki! Ten żartobliwy, proszę darować, ton jest jednak nawiązaniem do tradycji! Choćby salonu pani Augusty von Tilebein, damy z Żelechowej. Jak tak spoglądam na fotografie z końca XIX wieku, pani Augusta ma coś w sobie z pani Jagody... A może odwrotnie?

Te doroczne wystawy mogą mieć charakter tematyczny lub teleologiczny. Rocznicowy lub monograficzny. Każdy klucz jest interesujący. Kto, jak nie Willa Lentza i we współpracy z kim, jeśli nie z Klubem Kolekcjonerów mógłby organizować profesjonalną – z katalogiem, to szalenie ważne – prezentację malarskiego dorobku miasta?

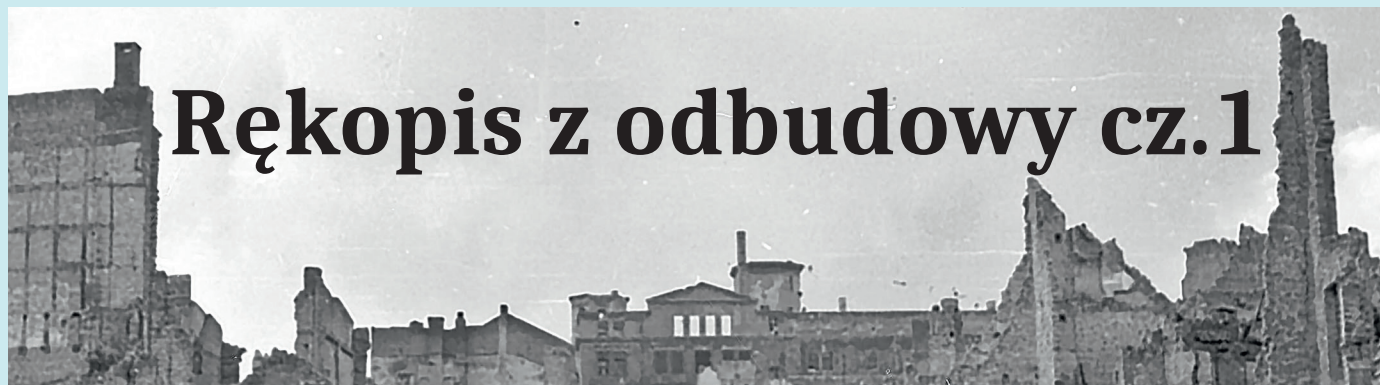
p.s. Katalog ostatniej wystawy – powinien być naczelnym gadżetem, a przynajmniej niezbyt drogim wydawnictwem, stale dostępnym w Klubie i w Willi.

I druga kwestia: kolekcjonerzy przygotowują się do sierpniowej wystawy poświęconej Eugenowi Dekkertowi (160 rocznica urodzin). Każdego, kto ma, podejrzewa, że ma, słyszał, że ktoś inny ma obrazy tego twórcy – prosimy Państwa o kontakt z redakcją.



Baszta Czarownic w Słupsku / Hexenturm in Stolp, akwarela / Aquarell, 20,5 x 30 cm; własność prywatna / Privatbesitz, fot. Bartosz Arszyski

Kościół Mariacki w Słupsku zimą / Marienkirche in Stolp im Winter, akwarela / Aquarell, 16 x 23,5 cm; własność prywatna / Privatbesitz, fot. Bartosz Arszyski



Rękopis z odbudowy cz.1

Szczecin 2025...Spoglądam wstecz... Rok 1945.

Osiemdziesiąt lat.

Jak czuje się człowiek w tym wieku? Wiadomo. Ale co myśli?

– O, to już trudniejsze pytanie.

Co trapi ludzi, którzy właściwie na każdy temat z przeszłości, z lat spędzonych w tym mieście mogą coś powiedzieć, przypomnieć, skomentować, ożywić, nadać sens lub kontekst prostym, kalendarzowym zapisom?

Kilka dni temu rozpytywałem znajomych: gdzie w Szczecinie znaleźć można jeszcze ślady po działaniach wojennych II wojny światowej? Mam w oczach mnóstwo domów z elewacjami posiekanyymi seriami z karabinów maszynowych. Pamiętam gruz i wyrwy po zbombardowanych domach. Nie sterczą już nigdzie kikuty i powyginane konstrukcje stalowe.

To dobrze. To bardzo dobrze.

Czy wypływa z tej okoliczności jakaś wartość? Żadna. Podobnie, jak nikogo nie interesuje, kto chodził, jeździł tymi ulicami, których już... przecież też nie ma! Wszystko zostało... nadbudowane!

Pokłady niepamięci są coraz większe. Nie mają swoich nazw, twarzy, a krople potu i znoju dawno wyparowały.



Nie chcemy pamiętać, nie mamy potrzeby, by cokolwiek pamiętać, nie inspiruje nas wiedza o przeszłości, nie uczy pokory. W wyniku procesów cywilizacyjnych oderwali się, zesłaliśmy z orbity tradycji i kontynuacji. Moje pytanie skierowane do ostatniego kierownika Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego w sprawie DZIEDZICTWA Stettina zakończyło się przesłaniem mi (kopiuj-wklej) kilkunastu przykładów współpracy polsko niemieckiej. Jako przykłady DZIEDZICTWA. Lenin bardzo poważnie odnosił się do kwalifikacji kadr. Od nich zależy sukces socjalizmu - dowodził. W jednym z przemówień powiedział, że nawet kucharka może rządzić państwem, tylko trzeba dać jej szansę.

W Urzędzie Marszałkowskim, jak widać, idee wodza rewolucji są ciągle żywe.

W listopadzie 2024 zostałem poproszony o wskazanie kandydata do plebiscytu szczecińskiej Gazety Wyborczej - Szczupaki. Oto fragment korespondencji mailowej:

W ostatniej rozmowie telefonicznej powiedziałeś – Szczupaki – to ludzie, którym się chce.

Aby ku takiej samorealizacji zaistniały sprzyjające warunki, musi zostać spełnionych wiele okoliczności. Pierwszą z nich jest przekonanie, że warto, że podołam, że bez względu na przeciwności – cel dostatecznie mnie zmotywuje.

Przeglądając archiwalne, rękopiśmienne zasoby Książnicy Pomorskiej natrafiłem na dokument podpisany przez architekta Jerzego Kędzierskiego.

W grudniu 1945 roku został on powołany na stanowisko dyrektora technicznego Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy.

Warszawiak, z liczącym się dorobkiem zawodowym, bez wahania podjął się tego zadania, wbrew – jako opisuje – trudnym do wyobrażenia przeciwnościom polityki, historii, ludzkiej zawiści i zdradzie, szykanom, a nawet bezpośredniemu zagrożeniu życia jego i jego najbliższych.

Przez pierwsze cztery lata uwalniał nasze miasto spod ciężaru gruzów. Uruchamiał instytucje i fabryki. Współorganizował życie miejskie.

Rozważ, wprowadzenie do plebiscytu nowej kategorii – Szczupaków Historii, promującej postaci, o których już nie pamiętamy, ale bez ich zaangażowania dzisiejsze Szczupaki miałyby o wiele bardziej utrudnione zadanie, by spełniać swoje marzenia.

Odpowiedzi nie otrzymałem. No comment. **No bo Kto by się dziś zajmował człowiekiem, który najlepsze lata swojego życia poświęcił nam, mieszkańcom tego miasta. Cóż za ignorancja! Tak mamy dziś prasę.**



Dlatego – bez fanfaronady, orderów czy akademii, całkowicie niezależnie od współpracy z jakimkolwiek organem administracji państwowej, ale z dziennikarskiego obowiązku, a zarazem w pełnej pokorze wobec minionych pokoleń – publikuję część pierwszą materiału, który znalazłem wśród zapomnianych rękopisów.

Relację przytaczam – bez komentarzy i adiustacji, z wyłączeniem literówek i rozwinięciem niektórych skrótów, bez odniesień do historii. Proszę spojrzeć temu człowiekowi w oczy...

Inżynier Jerzy Kędzierski:

Wspomnienia z odbudowy, zagospodarowania i repolonizacji Szczecina i województwa szczecińskiego w latach 1946-1949.

Część pierwsza.

W grudniu 1945 ówczesne Ministerstwo Odbudowy proponowało mi objęcie stanowiska dyrektora technicznego Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy.

Dyr. Welczer ucieszony z mego przybycia rozpoczął od przedstawienia stosunkowo dobrze skompletowanego zespołu pracowników, ogłędzin biura, zaproszenia na obiad sto-

łówkowy, a następnie dla dalszego czarowania – zaprosił do swego mieszkania na kawę. Dla warszawiaka zmuszonego do nędznego biwakowania w gronie kilku rodzin w jednym zniszczonym mieszkaniu w Powstaniu, widok wielopokojowego mieszkania bogato wyposażonego w meble, dywany, firanki itp. wystrój zrobił wrażenie. A do tego, gdy dyr. Welczer zaczął roztaczać perspektywy możliwości wyboru willi, wyremontowania jej, na koszt dyrekcji, pomoc w uzyskaniu przydziału mebli, swobody udania się do Berlina, by tam za kilka kilogramów słoniny kupić samochód osobowy (wówczas już obowiązywał zakaz przekraczania granicy).

Z powierzchownych obserwacji stanu miasta mocno zrujnowanego nalotami dywanowymi aliantów, wypalonego przez nieznanych podpalaczy, o utrudnionej komunikacji wskutek wysadzenia kilkudziesięciu mostów i wiaduktów przez wycofujących się hitlerowców, po relacjach spotkanych tam znajomych, po zobrazowaniu trudności aprowizacyjnych, licznych napadach i zabójstwach w celach rabunkowych – warunki były raczej odpychające.

Mimo to, świadomość znaczenia dziejowego wydarzenia powrotu do macierzy ziem od setek lat utraconych, konieczność zaprzeczenia propagandzie niemieckiej o rzekomej naszej nieudolności zagospodarowania tych ziem, o ich dla nas zbędności, wdzięczne pole do działania z rozmachem, zdopingowało mą decyzję podjęcia trudu i nie sugerowania się trudnościami i niebezpieczeństwami. Byłem wszak w sile wieku, zahartowany w walkach o wolność, pełen wiary i zapału do pracy.

W styczniu 1946 r. przyjechałem wraz z żoną (syn został pod opieką dziadków w Warszawie), do Szczecina, by rozpocząć pracę w Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy. Nie bacząc na realizację obietnic dyr. Welczera odnośnie przydziału willi, zamieszkaliśmy w ładnym pokoju w hotelu „Orbis” na piętrze, by jak najprędzej poznać problemy odbudowy zniszczonego wojną miasta. Pobyt w hotelu jednak posiadał i ujemne strony. Codzienne przemarsze tysięcy jeńców niemieckich do pracy i z pracy w porcie, śpiewających hitlerowskie pieśni, przypominał okres okupacji. Częste libacje i taneczne zabawy nazbyt hałaśliwe, w parterowej sali restauracyjnej do późnej nocy niejednokrotnie kończące się strzelaniną na wiwat zwycięstwa, zakłócały sen. Ponadto często dochodziło do strzelaniny z powodu zagradzania szlabanem jezdni przed sąsiednim budynkiem szpitala UB (Urzędu Bezpieczeństwa). Szlabany te, nie respektowane przez ciężarówki sowieckie jadące w kierunku Berlina, były niszczone, co wywoływało serie z pepeszy wartowników UB. Zdarzały się także próby wtargnięcia do pokoi hotelowych pijanych biesiadników. Mimo tych niedogodności pochłonięty bez reszty zajęciami służbowymi i problemami miasta, znosiłem przez szereg tygodni te przeszkody. Później zająłem wolne mieszkanie przy ul. Św. Wojciecha, a nieco umeblowania otrzymałem z Okręgowego Urzędu Likwidacji mienia poniemieckiego. Życie w ówczesnym Szczecinie nie było łatwe. Niejednokrotnie jadąc rano do biura mijaliśmy na jezdni lub poboczu jakieś ludzkie zwłoki.

Podróżni przybywający do miasta nocnymi pociągami bali się wychodzić z dworca na nieoświetlone ulice, pozostając tam do rana. Wśród gruzów bowiem czaili się rabusie na przechodniów, grabiąc ich mienie, a nawet gwałcąc kobiety. Gdy na wołanie o ratunek spieszył posterunek sprzed koszar jednostki wojska polskiego, rabusie ginęli w rumowiskach

pod osłoną nocy. W owym czasie zdarzały się nawet napady uzbrojonych band szabrowników na pociągi i na dworce. Dochodziło do wymiany strzałów między strażą kolejową (SOK) a szabrownikami. Nawet gdy Urząd Wojewódzki przeniósł się z Koszalina do Szczecina, mimo zwiększenia się stanu milicji, zdarzały się uliczne napady na przechodniów. Podczas jednego z takich wyczynów, w godzinach rannych na Al. Wojska Polskiego (w Śródmieściu) gdy 6 rabusiów zajętych było grabieniem przechodniów, gdy przypadkowo znajdujący się tam komisarz milicji usiłował zaarrestować złodziei terroryzując ich wyciągniętym pistoletem, siódmy stojący w bramie jako osłona serią z pistoletu maszynowego w głowę i szyję – zabił komisarza. Wypadek ten wstrząsnął opinią publiczną i spowodował ostre wystąpienie patroli wojskowych i milicji dla ukrócenia rozbojów. Mimo to nadal spacerować po zmroku były ryzykowne.

Brak radia, godziwych rozrywek i kontaktów towarzyskich powodowały jałowe spędzanie wieczorów. Na szczęście w przyległym domu do hotelu mieszkał nasz znajomy inżynier z Warszawy, to też często zachodziliśmy do niego, by wspólnie pogawędzić o przeżytych dniach grozy, o wspólnych znajomych przy aromatycznej filiżance kawy.

Pewnego dnia, gdy żona próbowała wyjść z hotelu, pijany wartownik UB zagroził jej drogę karabinem z nasadzoną bagnietą, usiłując ją bez żadnego powodu zaarrestować. Gdy żona zbiegła do dyżurki portiera, a pijak pogonił za nią, w tym momencie i ja zjawiłem się tam, a że jeszcze miałem na sobie jedyne ubranie wyniesione z Oflagu (mundur amerykański z okresu I wojny) dopiero udało się oddalić zacie-trzewionego pijanicę.

Spośród obiektów remontowanych przez S. D. O. najwięcej serca przykładam dozorując obiekty szkolne i użyteczności publicznej.

Wkrótce zdążyłem na tyle poznać miasto i jego ruiny, zwłaszcza w części staromiejskiej, by zauważyć krytyczny stan obiektów zabytkowych, świadectw polskości z okresu Piastów. W większości, pozbawione dachów, wystawione na działania atmosferyczne, były w stanie zagrożenia.

Ratowanie zabytków

Wobec nieobsadzonego jeszcze stanowiska konserwatora zabytków, wspólnie z koleżanką Heleną Kurcusz utworzyliśmy społeczną „Komisję Konserwatorską” dla zajęcia się inwentaryzacją zabytków i zbadania potrzeb remontowych tych obiektów. W budżecie Dyr. Odbudowy była nikła kwota na potrzeby kulturalne, ale brak było rozpoznania potrzeb i wykazu obiektów do remontu. Wędrując wspólnie wśród gruzów i ruin, pokonując istniejące jeszcze barykady, nie zważając na niebezpieczeństwo natknięcia się na niewypały, zdradzieckie miny czy napotkania rabusiów, zaczęliśmy systematycznie sporządzać spis obiektów zabytkowych i opisy ich stanu i potrzeb remontowych. Owocem tej pracy, zazwyczaj po godzinach urzędowych, było zarejestrowanie takich obiektów jak Zamek Książąt Szczecińskich, Stary Ratusz, kilka sędziwych budowli sakralnych itp.

Na tle przeważającej architektury o charakterze niemieckim, obiekty te jako świadkowie polskości tych ziem były niezwykle cenne i wymagały troskliwej opieki. Niestety stan ich był fatalny, grożący zawaleniem, wymagający niezwłocznych zabezpieczeń. Błądząc samotnie wśród ruin odnalazłem basztę zamkową na której narosły później domy mieszkalne. Dopiero gdy mury mieszkalne, zdmuchnięte zostały podczas nalotów alianckich, z morza ruin wyłoniły się zarysy tej baszty. Drugim tak odnalezionym gotyckim budynkiem była kamienica Leutów widoczna z daleka, lecz o zawiłym dojściu. Pragnąc pokazać te obiekty koleżance Kurcusz udali-





śmy się samochodem, dokąd można było dojechać, a dalej ruszyliśmy piechotą. Nie zauważyliśmy nawet, że z gruzów wyłoniły się 3 postacie dążące w ślad za nami, w zdecydowanie nieprzyjaznych zamiarach. Na szczęście spostrzegł grożące nam niebezpieczeństwo nasz szofer, wilnianin, zde-mobilizowany żołnierz z I Armii Ludowego Wojska Polskiego, imieniem Miron. Uzbrowszy się w korbę od samochodu, imitując automat, ruszył w ślad za intruzami. W pewnym momencie posłyszał słowa zachęty starszyny jak zachęcał swych kolegów: „Nu, tieper!”. Ale kumple nie byli jeszcze pewni, gdyż wyrazili swoje wątpliwości w słowach: „A kak oni także imiejut orużje?”. W tym momencie nasz kierowca trącił o jakieś żelastwo, powodując ich obejrzenie się. Gdy ujrzeli naszą obstawę momentalnie prysnęli w ruiny i skryli się. Oczywiście również i ten obiekt gotycki został wciągnięty na listę zabytków. A po jego późniejszym zabezpieczeniu, po kilku latach, gdy dalszą opiekę nad nim przejął zaangażowany stały konserwator, obiekt ten po jego wyremontowaniu i adaptacji stał się siedzibą Liceum Plastycznego Szczecina, służąc wychowaniu plastyków szczecińskich.

Jednak z uwagi na skromne środki w budżecie Szcz. Dyr. Odbudowy, uznaliśmy za najpilniejsze zadanie zabezpieczenie bogatych sklepień nad salą znajdującą się pod basztą zamku szczecińskiego. Aby móc ustawić rusztowania, trzeba było uprzednio wywieźć bez mała metrową warstwę nawozu końskiego z okresu, gdy trzymano tam konie armii sowieckiej.

Co tam życie – groby, skarby, złoto i biżuteria!

Po usunięciu nawozu ujrzeliśmy posadzki z dużych płyt granitowych, a w tym jedną dziwnie zapadającą się. Zaintrygo-

wani tym zdjęliśmy ją, a gdy pod warstwą piasku ukazało się jakieś sklepienie, również zapadające się, po jego rozebraniu w części zagrożonej odkryliśmy jakieś pomieszczenie, do którego jeszcze w ubiegłym wieku Niemcy zamurowali wejście i pamięć o tej krypcie zanikła. Kiedy dla zbadania spuściliśmy na linie pracownika okazało się, że są tam ozdobne trumny cynkowe księżąt szczecińskich.

Dociekliwy jeden z redaktorów wynalazł w kronikach niemieckich, że trumny te po zajęciu Szczecina przez wojska Napoleona, trumny te zostały otwarte i obrabowane przez Francuzów. Jedynie pozornie skromna trumna z bali drewnianych nie budziła ich ciekawości, dzięki czemu odkryliśmy w niej 1,2 kg złota w postaci biżuterii i motywów dekoracyjnych stroju zetłatego. Skarb ten zdeponowaliśmy w banku, a wiadomość o tym odkryciu lotem strzały rozniosła prasa po całym kraju. Na polecenie gł. konserwatora skarb ten został przekazany do Warszawy, do gł. Konserwatora, zaś ozdobne trumny dla naprawy drobnych uszkodzeń wysłaliśmy do jedynej tego rodzaju pracowni konserwatorskiej dla ich naprawy w Krakowie. W nagrodę za to odkrycie prezydent Bierut z własnego funduszu dyspozycyjnego przesłał do wyłącznie naszej dyspozycji kwotę 3 miliony złotych. I co było dla nas miłym dowodem uznania naszej pracy. Teraz dopiero otworzyła się możliwość rozszerzenia prac nad zabezpieczaniem obiektów zabytkowych nie tylko w Szczecinie, ale również i w województwie.

Dzięki temu udało się zabezpieczyć stary ratusz z pięknymi sklepieniami w podziemiu, który to obiekt w późniejszych latach po odrestaurowaniu stał się ozdobą starówki z „oryginalną winiarnią” i Orbisowskim hotelem dla turystów zagranicznych.



Jeden z redaktorów szczecińskich wyszperał w kronikach niemieckich niezwykle ciekawą historię o właścicielach kamieniczki, Loitzów, którą po przetłumaczeniu opublikował w specjalnym wydawnictwie.

Nasze historie nie nasze

Oto była to rodzina bankierska należąca do Związku Hanzeatyckiego. Pewnego dnia pojawił się u nich młody dobrze wychowany, ponoć na dworze królewskim polskim młodzieniec, zgłaszając pragnienie pracy. Młodzieniec ów po pewnym czasie zdołał sobie do tego stopnia zaskarbić serca starszaków, że adoptowali go jako swego syna. Po ich śmierci odziedziczył ich majątek, a wówczas królewski kolega wyniesiony na tron polski, dowiedziawszy się o awansie młodzieńca rzekomo zaczął go nagabywać o pożyczki, które z czasem spowodowały niewypłacalność banku, a co gorsza również krach wielu innych banków stowarzyszonych w Związku Hanzeatyckim. Rozwścieczyło to do tego stopnia Niemców, że otoczyli dom bankierski usiłując zabić sprawcę największego krachu Związku Hanzeatyckiego. Potajemnym tunelem bankier ratował się ucieczką do Polski, gdzie uzyskał dożywocie na dworze królewskim.

Nadzorując na przemian z koleżanką Kurcjuś prace remontowe na Zamku Książąt Szczecińskich, pewnego dnia odkryliśmy próbę wykucia w ścianie zewnętrznej otworu z zamiarem dostania się do tajemniczego pomieszczenia w parterze, w którym były dwie kasy pancerne, lecz do którego dojście od wewnątrz było zamurowane. Gdy wspięliśmy się do małego okienka okratowanego i ujrzelśmy przedmiot zainteresowania rabusia, niezwłocznie powiadomiliśmy wicewojewodę Kaniewskiego i komisarza Milicji Obywatelskiej z prośbą o wystawienie posterunku na czas niezbędny dla zorganizowania komisyjnego otwarcia rzekomego skarbcza.

Na wszelki wypadek zdwoiliśmy swą czujność pełniąc dyskretną obserwację terenu, zaprzęgając na zmiany jednego z plastyków rysujących fragmenty zamku. I oto wykryliśmy przedziwne zjawisko. Oto kapral MO, zamiast pilnować, by złodziej nie dostał się do skarbcza, najął sobie robotnika do kucia otworu od strony sali zamkowej, a sam rozsiadł się

w starym fotelu koszykowym pilnując roboty kucia. Gdy osobiście powiadomiłem komendanta milicji o powyższym odkryciu, przy mnie ów komendant zatelefonował do komisariatu, który wystawił posterunek, z poleceniem aresztowania dowcipnego kaprała. Dwa dni trwało wyszukanie odpowiedniego fachowca do otwarcia kas i przebicia dojścia do nich. Kiedy już wszystkie przygotowania były gotowe powiadomiliśmy władze o delegowanie swych przedstawicieli dla dokonania komisyjnego otwarcia kas. Jednocześnie poprosiliśmy komendanta M.O. o przysłanie asysty dla zapewnienia porządku. Z ciekawości zeszli się różni dygnitarze z wojewodą Borkowiczem na czele. Jakież było nasze zdumienie, gdy w gronie obstawy milicyjnej dostrzegliśmy swobodnie poruszającego się owego kaprała, poszukiwacza skarbu. W obecności wojewody zagadnąłem komendanta MO, jakim cudem aresztowany kapral znajduje się już na wolności. Odpowiedź była nie mniej zadziwiająca. Oto po złożeniu w śledztwie zeznania, że nie kierował się chęcią zysku, a tylko ciekawością co w tych kasach się znajduje, komendant zwolnił go z aresztu. Mogliśmy, tylko litować się nad łatwowiernością komendanta. Kiedy jednak z trudem zdołano otworzyć obie kasy okazało się, że skarb został widocznie skradziony przez administrację hitlerowską, gdyż w jednej kasie było kilka sztuk bezwartościowego bilonu, a w drugiej czapa z epoki napoleońskiej, również bezwartościowa, być może używana jako strój karawaniarski.

CDN

Jeśli ktokolwiek z Czytelników ma jakąkolwiek wiedzę, zdjęcie, pamiątki związane, z inżynierem Kędzierskim - prosimy o kontakt z Redakcją: 7@tvsiodemka.pl lub 785 00 2222

(na podstawie maszynopisu w zbiorach Książnicy Pomorskiej)
(fotografie z Narodowego Archiwum Cyfrowego)





Sen nocy bezsennej...

Wychodzę z teatru. Zapinam kurtkę. Sięgam po czapkę. Gdzieś zapodziała się druga rękawiczka... Tych dwoje... On próbował otworzyć parasol... Skąd ja go znam?

- Przepraszam! - słyszę jednak znajomy głos. – Czy zauważył pan, że... nie krwawi?

Uniosłem okulary. Przetarłem szkła zmoczone lekkim, listopadowym deszczem. A... rzeczywiście. Dopiero w tej chwili zauważyłem, że jestem przebity sztyłem... tyle, że jego ostrze z obu stron ma rękojeści.

Każdy jest Szekspirem

Państwo reżyserzy Jakub Skrzywanek i Monika Świerkosz może nawet bardziej od Szekspira samego.

Ten ukazuje całe piękno i niezwykłość ran człowieka. A nasi reżyserzy je... tworzą. W dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu.

Aby domknąć wstęp, setny raz wyrażę moją całkowitą dezaprobatę wobec przerabiania, przetwarzania, zniekształcania, uwspółcześniania dzieł zamkniętych.

To co Szekspir miał w „Śnie nocy letniej” do powiedzenia – wyraził w swoim dramacie. Chcą Państwo reżyserzy powiedzieć coś więcej nad Szekspira, **proszę napiszcie własny utwór**. A co wam szkodzi? Przebijcie ramotę dziełem oryginalnym, a nie przykręcajcie skrzydeł do łodzi podwodnej czy kopyt wielorybowi. Bo to śmieszność z tego tylko wyjdzie.

Zachowali się Państwo podobnie jak pan Rafał Szumski, reżyser „Snu nocy letniej”: (audycja Off Czarek, Tok FM z sierpnia 2022):

- W kilku recenzjach i przez część widzów nie zostało odczytane, że tam jest coś więcej. Ktoś po prostu rzucił: o mamy tutaj komedijkę, Szumski zrobił to bez sensu, leci to szybko, dlaczego tak i w ogóle, gdzie jest ten ateński las, prawda? Dlaczego tego nie zrobił tak jak (Monika) Pęcikiewicz i dlaczego nie wyrwają sobie włosów z głowy, a krew się nie leje gęsto. Bo nie! (krzyk i śmiech).

Bo nie!

Ja też nie godzę się na teatr psiswędowy, w sposób twórczo pusto wzbogacony. Na odkrywanie przed widzami, że z komedii można zrobić tragedię albo byle co. W swoim spektaklu operowali Państwo formą, pokazując, że można zmienić wymowę i sens oryginału. Część ateńska miernie została zaprezentowana. Ani w zgodzie z oryginałem ani z czymkolwiek innym. A może tak miało być, czyli nijak? I w jaki sposób?

Mam zgadywać? Bohaterów „adaptacji” próbowali Państwo odziać w cynizm i współczesne wyrachowanie? Ślepa uliczka! Dwa tysiące lat temu, nie wspominając o czasach mitycznych, było po wielokroć gorzej! Co nie znaczy, że godzę się na „mniejsze zło”. O tym jak było, nie wiedzą ludzie niedouczeni. Więc na nich także nie robi wrażenia zmiana konwencji pierwszego aktu, rezygnacja z klasycznego, kanonicznego przedstawienia tego tekstu. Sapiący, dyszący, niemal konający król Tezeusz pojawia się u boku posągowej Amazonki, która z obrzydzeniem wspiera starca, gdy ten chce usiąść lub wstać. Staruch szykuje się do ślubu i nocy poślubnej... Co Państwo chcieli nam powiedzieć, pokazując Hipolitę, która jak zbity, posiniaczony kamień, ze wstrętem pozostaje uległa wobec męża? Do jakiego fragmentu naszej rzeczywistości Państwo nawiązują? Do mułmańskich ślubów z małymi dziewczynkami? Strzał przestrzelony. Czy my oglądamy pierw-



Sen nocy letniej, fot. Piotr Nykowski

szy akt „Snu nocy letniej”? Czy coś na kształt pogiętej puszkę po napoju energetyzującym? Tym miałby być przeszywający nas (dosłownie) okrzyk: Leci! Leci bomba antypatriarchalna na Tezeusza?

Władysław Tarnawski, tłumacz w końcu komedii, informuje nas we wskazówkach scenicznych:

Tezeusz, to syn Posejdona, grecki heros i półbóg, bohater wielu podróży, przygód i zdumiewających wyczynów, tu występuje jako książę Aten, który z niedawnej wojny w krainie Amazonek przywiózł sobie narzeczoną. Wśród przygód jego burzliwego życia wiele było miłosnych: obecna narzeczoną nie jest jego pierwszą miłością, toteż na uniesienia i spory kochanków Tezeusz będzie patrzył z perspektywy doświadczenia.

No i patrzy. Szubienica lub klasztor, jeśli dziewczyna nie posłucha ojca, który zarządza jej miłością. Ona jest moja, mówi Egeusz. Od Tezeusza oczekuje potwierdzenia odwiecznego prawa. I potwierdzenie takie otrzymuje. Jak miałbym tamte zwyczaje wiązać z obyczajowością współczesną?

Po spektaklu, swoim zwyczajem, zagadnąłem tym razem czwórkę sprężynowo poruszających się studentów. Imiona bohaterów usłyszeli pierwszy raz w życiu. Z nikim im się postaci ateńskie nie kojarzyły.

- Nuda?

- Nie, czemu... - odpowiedział dyplomatycznie ten najwyższy.

Szekspir założył nam, czytelnikom podwójnego nelsona. W komedii, ojcem dziewczyny jest Egeusz. Wg mitologii, imię to nosił ojciec Tezeusza. Jeśli pamiętam, umówił się z synem, że ten, po pokonaniu Minotaura (potwora z Knossos, pożerającego dziewice i młodzieńców.) każe na maszty wciągnąć

białe żagle. Stary stał na wysokim brzegu i wyczekiwał, aż na horyzoncie pojawi się statek. Niestety, żeglarze zbyt późno dokonali zmiany żagli i król zobaczył czarne płótna. Z rozpacz po domniemanej utracie syna, rzucił się do morza. Czy ta zamiana ról i imion jest szekspirowską niedoróbką? Nie przypuszczam.

**Sięgając po kanwę komedii
zubożyli ją Państwo do grubości
woalu. Łagodzącego pałacy wstyd
z naskórkowego potraktowania źródła.**

Analizując dalej odwołanie się Szekspira do wielkiego bohatera antycznego, jako strażnika praw ateńskich, realizatorzy przedstawienia być może nie doczytali, że ten pogromca Minotaura (dzięki Ariadnie i jej nici), ważył sobie lekce rozkochane w nim kobiety. Ariadna miała się podobno powiesić z rozpacz, gdy żeglarz ją porzucił. Wcześniej nie mniej brutalnie postąpił z nimfą Eglą. Później zniewolił Antiopę, Amazonkę, ale przy Tytanii, jak mówią źródła, także Amazonce - chciał właśnie się ustatkować.

Jakkolwiek to zabrzmiało, bogactwo, choćby tylko w brzydocie się objawiające, tej postaci szekspirowskiej, sprowadzone tutaj do publicystycznego jedynie wymiaru nie podnosi walorów przedstawienia. Psuje także Szekspira.

Bezdroża miłości.

Szekspir podminował tę baśniową komedyjkę tyloma problemami, że ukazanie i powiązanie ich wszystkich w spójną całość wymagałoby od nas cofnięcia się w rozwoju do wieku XVI, przynajmniej. Ale, szelma, dobrze nas rozpoznał i obu stronom ułatwił to zadanie.

Lizander:
Ach, wedle tego, com wyczytał w księgach
Lub poznał z ludzkich opowiadań, nigdy
Prawdziwa miłość nie stąpała jeszcze
Po gładkiej drodze.¹

Zrzędlawe narzeczone... Eh... Nie ma co analizować tak dalece niespójną stylistycznie, osadzoną w konwencji bylejakości narzuconą aktorom... recytację? Między postaciami nie ma żadnych emocji. Ci, niby się kochają, tamten rywalizuje z kolegą, ojciec jakby się sprzeciwia. Gdybym nie znał oryginału, nie uwierzyłbym, że to Szekspir. A to Państwo Jakub Skrzywanek i Monika Świerkosz.

Kiedyś, jeden z reżyserów dotknięty uwagą krytyczną w odniesieniu do jasności i konsekwencji jego inscenizacji odpowiedział mi: to niech się ludzie douczą. Odpowiedziałem: i vice versa.

Widzimy więc w jakie rewiry i meandry wpuszczają nas Państwo reżyserzy. A po co? Nic dobrego z tego dla obu stron nie wyniknie. Nas widzów – przede wszystkim.

1 Szekspir, *Sen nocy letniej*, przekład Władysław Tarnawski, Ossolineum, 1987



Sen nocy letniej fot. Piotr Nykowski

Dygresja

Ian McKellen zagrał Hamleta w wieku 81 lat. Obejrzałem sfilmowaną wersję spektaklu, prezentowanego w ramach „The National Theatre w kinie” w gronie uczniów pierwszej klasy licealnej z bardzo dobrego szczecińskiego liceum. Kilka dni później spotkaliśmy się w szkole, w mikroskopijnym gronie odważnych, gotowych do dyskusji na temat Hamleta. Dopiero w klasie dowiedziałem się, że młodzież nie zna klasycznej wersji tragedii. Tylko tę filmową. Jedna z dziewcząt zdradziła, że w czasie wakacji zaczęłam czytać, ale daleko jej do końca lektury. A więc ci przyszli lekarze albo fizycy nuklearni (jeden z dyskutantów chce zostać pilotem myśliwca bojowego, zrzucać bomby, toczyć podniebne pojedynki, ostrzeliwać cele naziemne) – ci ludzie mieliby pójść w życie z wyobrażeniem Hamleta, w interpelacji bardzo starego aktora, bohatera ich ulubionych filmów fantasy!? Ile lat miał Hamlet szekspirowski – zapytałem? Inteligentna młodzież od razu zorientowała się, że mają tu do czynienia z jakimś podstępem. O spotkaniu tym opowiem recenzując ów kinowy spektakl.

W kółko

Pewną część swojej widowni Państwo także wysłał w świat z karykaturalną wersją „Snu nocy letniej”.

Usłyszę: nie możemy w kółko grać tego samego „Snu” czy „Hamleta”!

Możemy. To nie klasykę trzeba przystosowywać do współczesności tylko **ona właśnie** i artyści niech weryfikują, dokąd doszli, jak dalece oderwali się od swojej kulturowej macierzy.

Czy ktokolwiek do symfonii Brahmsa lub sonat Beethovena dodaje fragmenty z Pink Floydów czy Deep Purple? A mógłby.

W szekspirowskich dramatach tkwi niewyczerpana moc odkrywania człowiekowi prawdy o nim samym. I tak jak w muzyce dochowuje się wierności partyturze, tak też powinno być w teatrze. Powie ktoś: muzyka to kwintesencja myśli i inteligencji. A teatr to co? Tylko reżyserskie widzimię?

Wszystkie prawne regulacje, które tworzy się, by kryć nieudolność obecnych realizatorów teatralnych, na nowo definiujące adaptację, aktualizację, inspirację, modernizację dzieł oryginalnych są zwykłym tchórzostwem lub twórczą impotencją. Oburzenie na te moje słowa, im będzie głośniejsze, bardziej tylko potwierdzi oczywistość mojej racji.

Gdyby Szekspir chciał, aby jego dzieło umieścić na Księżycu, a Ofelia miałyby być napastniczką FC Barcelona, zaznaczyłby to w didaskaliach.

Witold Gombrowicz, spryciarz genialny, dramaturg mierny znalazł sposób na nieśmiertelność i napisał knota w postaci „Iwony, córki Burgunda”, dopisując w didaskaliach coś na modłę „grajta jak chceta”. Skracam i parafrazuję przyzwolenie, a raczej zalecenie „mischka”, zapisane w przypiływie przelotnego geniuszu, poprzedzającego myśl: napisałem marnotę.

Szekspirowi zatem dajmy pokój. Ma teatr worek treningowy z Gombrowicza. Wystarczy.

Koszmar nocy intymnej

Państwo reżyserzy uznali „Sen nocy letniej” – za najlepsze tło do ukazania kosmaru życia intymnego niektórych spośród nas. Ludzi nie do końca sprawnych. **Państwo tę ich sytuację po prostu pokazali.** Przy braku refleksji w odniesieniu do daleko idących skutków tej decyzji.

Rozwłóczyli Państwo po scenie problem życia erotycznego osób niepełnosprawnych. I niczym ścierwo - zostawili.

Problem ten, ze względu na ogromny ładunek przemocy wobec nieprzygotowanych widzów, wręcz szoku - został natychmiast wyparty z ich świadomości, a na wrażliwości innych pozostawił skazę. Wrażenie było tak duże, że teraz, na zasadzie odruchu bezwarunkowego, ten czy ów widz, spotykając osobę z dysfunkcjami – natychmiast osadzi ją w kontekście szczecińskiego spektaklu.

Małgorzata Rekowicka:

- Tak, płakałam. Nie mogłam powstrzymać emocji. Przekroczone zostały jakieś granice wytrzymałości. Ale jakiej? Spektakl tak się rozwijał, tak wciągał, że nie byłam w stanie zapanować nad moimi reakcjami.

Nikt z nas nie miał wcześniej wyobrażenia o tym, jak niedoskonałość ludzkiego ciała uniemożliwia ludziom dotkniętym nieszczęściem – współżyć ze sobą, dzielić się emocjami, podziwiać piękno i tajemnicę ciała, osiągać spełnienie w aktach miłosnego zbliżenia. To jeden z fundamentalnych skutków braku kształcenia i uświadamiania młodego pokolenia w sferze świadomości seksualnej i empatii najogólniej pojmowanej. Tu w pełni się z reżyserami solidaryzuję i wesprę ich każdym moim działaniem na rzecz... No właśnie... Zapomnieli Państwo tylko o jednym. O skuteczności!

Pokazaliśmy wam, widzom, problem, a wy się nim zajmijcie, bo my – wzorem św. Stanisława Kostki – do wyższych rzeczy jesteście stworzeni.



Sen nocy letniej fot. Piotr Nykowski

W tekście opisującym spektakl, zdaje się, wspominają Państwo, jakby się ubezpieczając, że wystąpią „szczecińscy artyści z niepełnosprawnościami”. Tyle i aż tyle. Mówiąc wprost – wprowadzili Państwo na scenę **ludzi realnie cierpiących**, porzuconych przez społeczeństwo w zaspakajaniu ich intymnych oczekiwań. Traktowanych z całkowitym brakiem zrozumienia ich losu tak przez państwo jak i kościół, a więc nas wszystkich. Zaatakowali Państwo zaściankowy system oświaty – kultywujący ideał człowieka doskonałego, zdrowego, emocjonalnie spełnionego. **Skąd my te hasła znamy?**

Poznaliśmy też aspekty umocowania prawnego tego swoistego okrucieństwa, z jakim „normalni” traktują dysfunkcyjnych. Tych ludzi poddano emocjonalnej eksterminacji. Pozornie występując w ich imieniu i na rzecz ich racji – reżyserzy zdobyli się na działania trudne do wybaczenia. **Stworzyli im Państwo nadzieję.**

- Wy sami swoim pojawieniem się na scenie wywołacie szok, poruszenie sumienia. Walczcie. Idźcie na całość!

Dygresja

Trójka najstarszych wnuków i ja tworzyliśmy niegdyś Czarńą Drużynę Czarnego Tajemniczego Kosmicznego Kota o Czarnych Tajemniczych Oczach. Popisywaliśmy się fantastycznymi pomysłami, jak uratujemy ludzkość przed atakiem Kocura. Chwyty, skoki, ciosy, uniki... Nagle, moja radiostacja (tajna, oczywiście), odebrała wiadomość, że Kot wylądował w dolnej sypialni. Drużyna ruszyła do ataku. Na głowach mieliśmy rowerowe latarki na gumowych opaskach, w dłoniach – wyłącznie laserowa broń patykowa. Tyraliarą dostaliśmy się na taras. Z tarasu do salonu, z salonu, przy ścianie - do drzwi sypialni. A tam – ciemno, jak w Kosmosie. Najlepszą latarkę miał L. Nosił mój sweter, 17 numerów za duży i mówił, że jest najodważniejszy. Atakuj! – wołam. L. stanął jak wryty. Cały rozedrgany emocjami nie stracił rezonu – Nie! - krzyknął. - Dziadek, ty pierwszy!

Upokorzenie?

To nie szczecińscy artyści z niepełnosprawnościami powinni na scenie ruszyć do ataku w obronie swoich praw. To reżyserzy, wszyscy aktorzy, my, widzowie, Państwo powinniśmy być w awangardzie. Ten spektakl nie był polityczną manifestacją, był - w zamiarze przynajmniej - sztuką teatralną, więc takimi środkami winien operować. Aktorzy z niepełnosprawnościami, już tylko swoją niemą obecnością dostatecznie legitymizowaliby działania teatralne.

A co Państwu zrobili? Kazali im być na scenie sobą! Po prostu - sobą. A oni razili nas swoim dramatem. Dopóki nie opadła kurtyna. Ta dzieli teatr od życia skutecznie i nieodwołalnie. Nawet gdyby ten spektakl pokazać w rezydencji arcybiskupa albo gabinecie premiera, o Sejmie nie wspominam – muru obojętności wobec problemów tych ludzi nie zdołalibyśmy przezwyciężyć. **Sądzę, że działanie takie byłoby wręcz przeciw skuteczne.**

Nie tak się takie sprawy załatwia w kraju tchórzliwym. Czyli katolickim, w którym odkłada się na wieczność.

Z udziałem aktorów z niepełnosprawnością oglądaliśmy sceny erotyczne, tam, w lesie, takim jak u Szekspira. A jednocześnie, w formie reportażu, transmisji live i wywiadu towarzyszyliśmy rodzeństwu (niepełnosprawny brat i wspierająca go siostra) w podróży do zagranicznego ośrodka, specjalizującego się w asystenturze seksualnej dla niepełnosprawnych.

Choćbym nie wiem jak bardzo się starał dobierać słowa, to nie utrzymam moich emocji w ryzach, by skomentować chucpę, jaką Państwo pod płaszczykiem sztuki zaangażowanej zaprezentowali.



Spotykając tych ludzi na ulicy, aktorów-naturszczyków, widzowie spektaklu mogą ich rozpoznać. **Zabrali Państwo tym ludziom ich prywatność.** Ludziom, którzy Państwu zaufali. Nie wystąpili w sztuce „Sen nocy letniej” tylko mówili o prawdziwym swoim życiu! **A TO NIE JEST TEATR!**

W 2024 roku w North Playhouse w Wielkiej Brytanii Jenny Sealey wyreżyserowała „Romea i Julię” z udziałem osób głuchych. Jak śledzę recenzje – nie był to udany spektakl. Nie dla aktorów. Był trudny dla publiczności, kompletnie nie przygotowanej na aktora przekazującego swoją kwestię w języku migowym. Ale tak daleko jak w Szczecinie – chyba nikt dotychczas nie poszedł. **Takie przedstawienia nie mogą**



Sen nocy letniej fot. Piotr Nykowski

być eksperymentami. Jako społeczeństwo nie jesteśmy przygotowani do poważnego, empatycznego i integracyjnego współuczestnictwa w odpowiedzialnym rozwiązywaniu problemów niektórych spośród nas.

Znamy reakcje widzów, którzy na ulicach miasta spotykają aktorów głośnych ról. Gajos pół życia był dla nich Jankiem. Ludzie rozmawiając z aktorem, rozmawiają z bohaterem przez niego kreowanym. A Szczecin pokazał panią A i pana B, którzy wszystkim na widowni, przez ileś wieczorów mówili, że to „oni”, a nie odtwarzane przez nich postaci napotykają na bariery w dążeniu do życia intymnego.

**Dodatek „aktor z niepełnosprawnością”
nie jest tu nawet listkiem figowym.**

Zabetonowany status

Władze – jak wspomniałem – państwowe i kościelne skutecznie zabetonowały status tych ludzi w surowych przepisach, ustawach, zaleceniach, dyrektywach i wskazówkach. Zabrakło tylko **uznania potrzeby „ostatecznego rozwiązania tej kwestii”**.

Na dużych ekranach obok sceny czytaliśmy treści wybranych przepisów. Do tego, z wpisów internautów, zbudowano efektowne sceny, komentujące historię niepełnosprawnego brata i wspierającej go siostry, ruszających do Brukseli, do asystentki seksualnej.

Przypadek tego rodzeństwa stał się pretekstem do omawianej tu inscenizacji. Ostrze swojego słusznego „ataku w ich obrobie” skierowali reżyserzy nie w urzędy i instancje tylko w nas, widzów. No, idźcie, zróbcie coś, ciśnijcie kamieniem w szybę ministerstwa, my swoje zrobiliśmy. Teraz pora na was.

To chcieli Państwo powiedzieć?

Otóż nic Państwo nie zrobili. Objawić problem i go – jak powiedziałem już – rozwłóczyć to tak, jak obok nieprzytomnego położyć aparat do stymulacji serca. No, przecież pomogliśmy. Przynieśliśmy sprzęt! Mógł siebie ratować.

Gorzej

W końcowej fazie spektaklu jeden z niepełnosprawnych aktorów, w bajkowym lesie, z obnażoną aktorką gra spełnienie się erotyczne. Scena niczemu nie służąca, wręcz swoją dosłownością trywializująca poziom całej dyskusji. To przykład przemocy wobec aktorów i widzów. Dlaczego Państwo się na tę scenę odważyli?

Niewybaczalny błąd.

Zawstydzający. Uważam, że tak jak żołnierz ma prawo do odmowy wykonania rozkazu, tak w teatrze aktorowi nie wolno milczeć, gdy jest traktowany instrumentalnie. Z brakiem poszanowania jego godności. Z punktu widzenia publiczności – sceny takie jak omawiana – są mielizną. To najdelikatniejsze określenie, na jakie umiem się zdobyć. Co takiego chcieli nam Państwo powiedzieć sceną zbliżenia nagiej aktorki z człowiekiem niewidomym?

**Sztuka nie wymaga od nas
żadnych poświęceń. Jeśli
komuś się wydaje, że nie mam
racji, niech zrobi z siebie idiotę
albo durnia. Już mam bić brawo?**

Miłosierne Państwo

Dobrym rozwiązaniem było wprowadzenie komanda Funkcjonariuszy Moralności. To eksperci w zakresie metod tłumienia popędu. Ich „tresura” podopiecznych została wzbogacona kolejnymi cytatami z norm kodeksowych i kościelnych prawd objawionych, odnoszących się do problemu życia erotycznego osób z niepełnosprawnościami.

Ale czy dobór tych cytatów był rzeczywiście przemyślany? Przykład.

W polskim kodeksie rodzinnym i opiekuńczym „osoba dotknięta chorobą psychiczną albo niedorozwojem umysłowym nie może zawrzeć małżeństwa”. Chyba że sąd uzna, że stan zdrowia i umysłu takiej osoby nie zagraża przyszłości małżeństwa ani zdrowiu przyszłego potomstwa (art. 12 paragraf 1 Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego).

Pomijam uwagę jednego z widzów (sąd wyższy nad lekarza w sprawach zdrowia?) ale nie mogę nie zapytać, czy realizatorzy kwestionują powyższy przepis? Czy odnosi się on do naszych bohaterów? To po co wyświetlają Państwo ten paragraf?

Dla przeciętnego widza pojęcia takie jak choroba psychiczna albo niedorozwój umysłowy zamyka się w kręgu potocznego i zazwyczaj opacznego rozumienia tych kategorii. Ale przecież nie o tych osobach traktuje ten spektakl!

Do niepoczytalności prawnicy dodali termin bezradności. Ale zdefiniowanie tego pojęcia jest w mojej ocenie bardzo nieostre. Kodeks karny wyraźnie mówi o wykorzystaniu seksualnym osób niepoczytalnych, nie rozpoznających, a tym samym niezdolnych do świadomej akceptacji doprowadzenia ich do obcowania płciowego. I znowu powtórzę - nie o tych osobach i przypadkach opowiada Teatr Współczesny w Szczecinie. Czegoś ja nie rozumiem, czy to Państwo nie odrobili lekcji?

Więc – bezradność. Szukam jej definicji.

Bycie bezradnym oznacza brak zdolności do opieki nad sobą lub ochrony przed krzywdą.

Albo:

Bezradność – stan psychiczny charakteryzujący się brakiem pomysłu na akceptowalne wyjście z trudnej sytuacji oraz zaniechaniem działania lub działaniem z góry skazanym na niepowodzenie. Występuje niezależnie od stanu rzeczywistej lub pozornej bezsilności.

Grzeźniemy coraz bardziej – oto kolejne nowe pojęcie: **pozorna bezsilność.**

Cytowane przepisy, okrutne, ale uzasadnione. Mają godność ludzką na pierwszym planie. Trzeci raz powtórzę - szczenińscy bohaterowie nie kwalifikują się do żadnej z wymienionych grup. Więc kim są?

Kolejna tablica w inscenizacji:

Kto, wykorzystując bezradność innej osoby lub wynikający z upośledzenia umysłowego lub choroby psychicznej [...] doprowadza ją do obcowania płciowego lub do pod-

dania się innej czynności seksualnej [...] podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8. (Art.198 KK)

Znów atakowane są przepisy, które nie odnoszą się do naszych bohaterów!

Niewidomy kierowca

Na jednym ze zdjęć serwisu fotograficznego do spektaklu widzę niewidomego aktora za kierownicą auta. No przecież reżyserzy musieli zatwierdzić to zdjęcie! Co ono ma nam powiedzieć? Niewidomy za kierownicą auta pełnego ludzi z innymi niesprawnościami? Cóż za bałagan myśli!



Nasi bohaterowie doskonale rozpoznają, oceniają i świadomie chcą doświadczyć intymności. Są na nią gotowi. Realnym problemem jest więc kwestia tzw. asystentury seksualnej.

Oto kolejna plansza z końcowej fazy przedstawienia

Podstawową obawą osób aranżujących spotkanie z osobą świadczącą usługi seksualne jest to, że za zorganizowanie takiego spotkania, mogą otrzymać karę więzienia od 3 miesięcy do 5 lat (Art. 204. §1 KK).

Również opacznie traktowana interpretacja Art.198 KK może skutecznie uniemożliwić wprowadzenie Asystentury Seksualnej w Polsce.

I od tej kwestii zaczniemy batalię prawną. Asystentura Seksualna.

Co zrobiłbym z Szekspirem w tym przedstawieniu? Zwołałbym go ze skutkiem natychmiastowym. Odesłałbym go do domu. Zamiast pomóc – przeszkadza, gmatwa, dezorientuje, rozwiewa stronę publicystyczną spektaklu. Innej roli tu nie spełnia.

Trzeci akt winien być równocześnie pierwszym i drugim. Siłą wymowy spektaklu byłaby wtedy zdecydowanie mocniejsza. Zabawa w teatr, w wyprawy pod leśne runo, intrygi, etc. urozmaiciła, ale też osłabiła ostrość szczecińskiego „ataku”.

Kto przypomina sobie dokładnie jaką rolę Puk pełni w komedii? Czy bez Puka nie można byłoby klarownie odnieść się do istoty problemu? Jego rola w sztuce w gruncie rzeczy nie wykracza zbytnio poza funkcję błazna. Dodawanie mu znaczenia demiurga jest co najmniej przesadą.

Sztylety

Ręka moja tedy, zmęczona nieco wielostronicową filipiką, na rękę sztyletu właśnie opadła.

Monika Rynowiecka:

- Nie miałam najmniejszej świadomości tych problemów, w ogóle nic nie wiem, o życiu osób z niedoskonałościami. Nigdy się nad tymi kwestiami nie zastanawiałam. Ta część spektaklu okazała się niewyobrażalnym dla mnie przeżyciem. Przebicie się tych kwestii do świadomości społecznej, do mnie.... to...
- ...ale – odczekałem sekundę, aż łza się ukształtuje, - na to potrzebne były aż dwie i pół godziny...
- ale wytrzymałabym jeszcze drugie tyle, żeby mocniej dotarły do mnie problemy ludzi, których spotykam, znam, ale jak się okazuje - nic o nich nie wiem!

Aleksandra Rynowiecka:

- Moja przyjaciółka ma brata z pewnym stopniem niepełnosprawności. Zupełnie inaczej odczytuję teraz jego reakcje, na niektóre nasze zachowania... Nie miałam świadomości, jak on naprawdę odbiera ten niby nasz wspólny świat. Ten spektakl wyprowadzał mnie z niewiedzy, jak dalece ci ludzie są tylko na zewnątrz niepełnosprawni... Cóż za słowo... Tak, ma pan rację... chyba mi trochę wstyd.

Były ładne sekwencje

„Co począć, żeby zarazić się tobą...” – mówi Helena do Hermii
Twoją urodą: poczuć w głębi krtani
Twój głos, w źrenicy — błysk twych oczu, pani?
O, gdyby moja była ziemia cała,
Prócz Demetriusza wszystko bym oddała
Tobie — za sekret sztuk, które cię czynią
Tak absolutną jego snów władczynią²

W tej sekwencji, z takim dumnym smutkiem wypowiedzianej przez Iwonę Kowalską, która barwą i srebrzystą poświatą swojego niezwykłego głosu, z przejmującym zrozumieniem niemożności spełnienia się marzenia, by być kochaną jak Hermia – ukazuje dramat tych spośród nas, którym do intymności drogę blokuje ich zewnętrżność. Ta powłoka, niekiedy odzienie, fryzura, gest. I nikt tego nie zmieni.

To właśnie jest nasza największa i powszechna niepełnosprawność. Nas wszystkich, tych normalnych. Jeden z nielicznych w tym przedstawieniu momentów teatralnych.

Cytat z dyskusji internetowej, pokazany na ekranie w czasie spektaklu:

- A co, jeśli Wy wszyscy mielibyście niesprawne ręce i sami sobie też byście nie mogli zrobić dobrze? Ha? Peace and love.
- A orgazmy ponoć są dobre na przykurcze
- To w sumie rehabilitacja, nie?"))))

Widzów spektaklu witają Strażnicy Moralności. Kwintesencja obłudy i zakłamania. Grażyna Madej i jej dwaj pomocnicy (wtedy jeszcze z nieodżałowanym Wiesławem Orłowskim) bez retuszu oddali „zatrośkanie” władz, opiekunów, społeczników i... kościoła, które to agendy w imieniu państwa, czyli nas, dbają także o wytłumienie popędu, „zbędności” praktyk seksualnych w życiu osób z niepełnosprawnością.

Lecz słowo ostatnie w tym spektaklu należało do Matki, Ewy Sobiech. Boleśnie zaciskały się na naszych gardłach wypowiedziane przez aktorkę słowa (cytuję z pamięci).

- Trzy dni dla siebie? Trzy dni w całości wyłącznie tylko dla siebie? Po dwudziestu kilku latach, na czas ich wyjazdu – trzy dni tylko dla mnie?

fot. Marek Koszur



2 Tłumaczenie: Stanisław Barańczak, edycja internetowa

- Leci....

Aleksandra Rynowiecka:

- Ten dźwięk, ten głos... Ten okrzyk: leci! Który rozlegał się co kilka minut, to nasz gniew. To zapowiedź zmian. Tak myślę...
- Ile pani ma lat? Dwadzieścia? Jest pani piękną, mądrą kobietą, o przebijającym się głosie, mocnym temperamencie. Ma pani wszelkie cechy przywódcze, w gronie kolegów z łatwością narzuca im pani swoje zdanie. I pani już rozumie gniew? Gdy zapytałem, czy mogę przedstawić obie panie w mojej recenzji, wyprzedziła pani obawę Mamy i krzyknęła – tak, oczywiście, jasne.
- To co zobaczyłam, zobowiązuje...
- Widziałem, jak sylwetka pani nie zachwiała się, przyjmując bagaż przesłania tego spektaklu. Proszę się więc odezwać, gdy już uda się pani coś dla tej sprawy zrobić.

Kurtyny nie było. Światła na widowni powoli zgasły. Ostatni widzowie wchodzili w świeży podmuch wiatru znad Odry... Mnóstwo światła, refleksy na wodzie. Rozchodziliśmy się w różne strony, wolno, prawie bez słów...

Dopiero po chwili zauważyłem, że podobnie jak ja - ze sztyłem ciągle mocno w nas tkwiącym wtapiało się w późny wieczór więcej widzów. Jakby w ciemności wstyd był mniejszy? Aby ten sztylet wyjąć, potrzebne są dwie ręce. Ta pierwsza, formalna, podpisująca dekrety, prawa i zakazy oraz druga – nasza, przyjazna, serdeczna, szekspirowska, której ramię posłuży za oparcie dla głowy, by ta, żadnej już nocy nie spędziła na... bezsenności.

Post scriptum

Na kilka pytań skierowanych do służb prasowych teatru otrzymałem następujące odpowiedzi, skreślone ręką pani Ewy Madruj.

- Nie otrzymaliśmy żadnych listów. Reakcje po spektaklach od osób niepełnosprawnych były bardzo emocjonalne, potwierdzały, że samo podjęcie kwestii seksualności osób z niepełnosprawnością ma niezwykłą wartość społeczną. Ważna też była sama dostępność spektaklu.
- Nie mamy wiedzy o tym, czy spektakl stał się inspiracją dla działań w kierunku zmiany regulacji prawnych.



*Nie, nie będę się spowiadał, a tym bardziej – kajał. I bez tego jest mi wystarczająco głupio. Ale – wtedy wierzyliśmy...
Wiem, to żadne usprawiedliwienie. Byliśmy ideowi i koniunkturalni zarazem.*



Otto Antoine, *Rybaczy naprawiający żagle*, ok 1915, olej karton, kolekcja prywatna.

Morza ciemnej strony księżyca...

Kiedyś się odważyłem. I zanurkowałem. Spodziewałem się, że księżyc oglądany spod powierzchni wody odkryje przede mną swoje nieznane oblicze. Albo przynajmniej dostarczy więcej magii napędzającej wyobraźnię. Dziś wiem, że wyobraźnia karmi się innymi doznaniem i wpatrując się w lunę można doznać olśnienia, podczas gdy patrząc prosto w słońce - łatwo o zapalenie spojówek. Ale są ludzie, którzy księżyc i słońce znają przede wszystkim z ich odbicia w wodzie. To rybacy.

Budowanie czegoś z niczego

Prawdę mówiąc – grzechów ciężkich nie mam na sumieniu. Ale grzech jest grzechem. Zwrócę więc jedynie uwagę na kilka faktów i okoliczności, które nie będą już miały wpływu na cokolwiek. Chyba, że kogoś jednak zainteresuje reportaż lub opowieść na tyle fantasmagoryczna jak opis mórz ciemnej strony księżyca? Nie ma takich? Rozumiem. **A marynistyczna literatura faktu?** No, przecież jest! To znaczy – była! No tak, nigdy się nie dokleiła do literackiego dorobku minionych lat. Co zatem tworzyli reporterzy i marynistyczni literaci? Opiś! Podobnie jak ci, którzy nigdy ciemno księżycowych mórz

nie widzieli, więc mogli je wymyślać dowoli, bo nikt z czytelników nie był w stanie tych relacji potwierdzić lub zanegować?

Miejsce i warunki akcji

Praca na morzu była wtedy, po wojnie, do połowy lat 90. XX wieku bardzo atrakcyjna. Ileż trzeba było zachodu, aby na statek zamustrować. Przede wszystkim – sprzedać się. Nikt z marynarzy wprost o tym nie mówił, ale każdy wiedział, że człowiek „politycznie” wątpliwy nigdy nie trafiłby na statek. Poza tym, na każdej jednostce pracowali „instruktorzy”, polityczni kaznodzieje, którzy wątplące dusze wzmacniali siłą i strzegli pamiętliwością socjalizmu.

Transakcja zazwyczaj była wiązana. Wypłyniesz, ale jeśli wytłumiesz nam jakiś numer i zostaniesz w obcym porcie, ucierpi na tym twoja rodzina. I nie myśl, że oni dostaną paszport, abyście się mogli spotkać, ułożyć na nowo. Do piątego pokolenia władza ludowa twojej dezercji ci nie wybaczy!

Ruszyć w świat, zobaczyć Amerykę, trzymać w garści kilka dolarów. Być panem świata! Marzenie! I w Pewexie kafelki



Otto Antoine, *Naprawiacz żagli*, kolekcja prywatna



Willy ter Hell, *Nowe Warpno*, kolekcja prywatna

do łazienki kupię, i kolorowy telewizor... Hm... Po sześciu miesiącach na łowisku – rybacy dalekomorscy mieli dla siebie kilka, kilkanaście godzin na zagranicznym lotnisku, najwyżej w jego bezpośredniej okolicy. Tyle widzieli. Ale na swoim podwórku, w klatce schodowej, w wiosce – byli „królami życia”. Książki o nich pisano. O tej ich pracy, o sztormach i tęsknocie. Cholerna robota. Ale jakie profity!

**Kiedys mój szkolny kolega,
odwracając głowę przed
podniesieniem kurtyny w teatrze,
gdzie się od lat szkolnych pierwszy
raz spotkaliśmy, szepnął tylko,
że gdyby nie te książki, niewiele
wiedziałby o świecie i o „morzu”.
A przepływał po nim czterdzieści lat.**

Ówczesne morze ciągle było nienasycone potem i wyrzeczeniami ludzi. Statki płynęły na coraz to dalsze łowiska. Niektóre, w całej swojej morskiej służbie wracały do macierzystego portu w sytuacjach zupełnie wyjątkowych.

**To ludzi rozwożono do portów i na
wszystkie kontynenty. Bo statek jest
straszenie drogi, a człowiek – kosztuje
tyle, ile jego bilet lotniczy.**

Misja

Każdy tekst dziennikarski czy literacki powstaje na czyjeś zamówienie. Dokumentuje stany emocjonalne lub wybrany fragment rzeczywistości, jest autorskim jej przetworzeniem. Czy poprzez to staje się dokumentem? Z fotograficznego negatywu zawsze robi się odbitkę pozytywową. A co można zreprodukować z obrazu utrwalonego w pamięci? To co komu ślina na język przyniesie. Każdy z nas widzi i odczuwa inaczej. O, choćby to odbicie księżycy....

I jeszcze jedna uwaga porządkująca. Marynistyka to **rodzaj twórczości, której tematem jest morze i jego atrybuty (zjawiska, przedmioty, miejsca, ludzie)**. Co sprawiło, że

w tradycji literackiej, kulturowej – ba, cywilizacyjnej – na krótko, ale wyraźnie zaistniała ta problematyka na tyle, że ujęto ją w osobną, wręcz autonomiczną jednostkę tematyczną? A czy pojawiła się również lasonistyka? Albo przynajmniej jezioronistyka? Nie. Ale jest... polonistyka. Dlaczego dziś o morzu piszą, niejako z rozpędu, już tylko najstarsi z ówczesnych autorów. Bo „moda na morze” minęła wraz z nimi. To znaczy – z nami.

Nieziemnie dobrze ma się natomiast publicystyka morska, traktująca o ekonomii i problemach żeglugi, sportów wodnych czy eksploatacji podwodnych złóż oraz zagadnień związanych z morskimi farmami wiatrowymi. Tu jednak nie ma już poezji. Albo – jeszcze nie ma.

Mit założycielski

W Międzyzdrojskiej Bibliotece Publicznej, w styczniu 2024 roku zebrało się niemałe grono osób zainteresowanych rozmową... o nich samych. To wyspiarze. W pewnej liczbie – rybacy. Bohaterką wieczoru była gościni z krakowskiego świata, która nie tylko pisze o Międzyzdrojach, wyspach Wolin i Uznam, ale utożsamia się z tym miejscem i ludźmi.

- Od 1999 roku jestem tu co rok – mówi Ewa Zamorska-Przyłuska, dziennikarka i autorka „Przewodnika literackiego po Krakowie i województwie małopolskim”.

Miło nam... wyspiarzom. Kto lepiej zdoła podnieść nas na duchu, kto dowartościuje mocniej niż ktoś spośród nas? A cierpimy na postępującą erozję odrębności kulturowej i utratę lokalnej tożsamości. Imperium skutecznie kontratakuje. Turystyczno-apartamentowe.

- Najpiękniejszym mitem założycielskim wyspy Wolin jest jej przyroda. Ale to, co na przestrzeni ostatnich lat było w moich oczach największą wartością tego miejsca – właśnie znika. Nie mogę pogodzić się z tym, że idę przez las z Wiśłki do Żółwina i nagle widzę porębę. Rok temu jej nie było. Nikt tu nie przywróci tych wyciętych drzew.

Wyspa Wolin jest maleńka. Ale z ilu dziejowych warstw się składa! Począwszy od sag i legend po przeżycia wszystkich żyjących tu niegdyś ludzi – przybyszów, osadników, intruzów, agresorów... Teraz my mamy ją we władaniu. Jeszcze...

- Tam, gdzie była łąka, stoją domy. Ze szczytu Zielonki widzę teraz te wielkie pudła na waszym brzegu w Międzyzdrojach. A tak niedawno nadmorski las tworzył tu idealną, zieloną linię. Z trudem powstrzymuję się od szlochów... Ale co ja mogę tu zrobić?

To prawda. To nie my dokądś odchodzimy, to nasz świat ucieka nam spod nóg, wymyka się z rąk, pozostawia betonowe pokwitowanie w miejscu zagajnika, leśnego duktu czy zwykłej ścieżki, znanej nam od dzieciństwa.

Kilka dni temu, zamiast dać się nicować wiatrowi od morza, hulającemu po nowej i bardzo malowniczej leśnej promenadzie na skraju Międzyzdrojów, poszedłem na spacer równoległą, ale tą starą wojskową drogą do Świnoujścia. Nie wierzyłem własnym oczom... Ta stara droga znika! Zarasta, ginie pod kolejną warstwą nierozjeżdżonych liści. To także moja wina. Od ponad roku tu nie zaglądałem. Bo ta nowa ścieżka jest... taka nowa.

Obraz z obrazu

Pani Ewa Zamorska-Przyłuska montuje literacki przewodnik po naszej nadmorskiej ziemi. Złożą się nań opisy tych okolic i morza, wyjęte z dzieł i opracowań niegdyś żyjących autorów, także marynistów. Całość da obraz, którego już nie ma. Ale... obraz z obrazu jedynie.

W młodości pochłaniałem literaturę podróżniczą, jechałem w miejsca, o których czytałem, a żadne z nich, wtedy, nie przeistoczyło się w „magdalenkę” Prousta. Na to trzeba było lat. Mam dziś w pamięci ciasteczek magdalenkowych wielki zapas! Świeżych, wyjętych prosto z pieca wspomnień. Jestem więc tym, kto z nadzwyczajną wiernością, nagle przypomniał sobie jakieś wydarzenia lub wrażenia z przeszłości. **O, to ten, który** – jak Francuzi mówią o takich jak ja – „zjadł magdalenkę Prousta”.

Obrazy z przeczytanych książek nigdy nie ożyły, nie zidentyfikowały się, nawet wtedy, gdy całe popołudnie spędziłem na ławce, na której przesiadywał Nabokov. Nie otworzył się też tunel czasu do świata Jamesa Joyce’a, choć zapewniano



Ewa Zamorska-Przyłuska

mnie, że prawie nic się tu od jego epoki nie zmieniło. Może tylko opony w samochodzie aptekarza. Może tylko to...

Zapamiętany obraz co najwyżej zdolny jest zrodzić wizję uprawdopodobnioną. Może piękniejszą od oryginału! W to akurat wierzę, a nawet jestem pewny, że bogactwo środków naszej ekspresji i wrażliwości, dociekliwości i oryginalności potrafi patyk wetknięty w morski brzeg zamienić w łuk triumfalny.

Krawiectwo propagandowe.

Jestem łasuchem. Z przyjemnością więc sięgnę po ten literacki przewodnik i ruszę śladem miejsc, które przez prawie pół wieku sam utrwaliałem na taśmie radiowej i filmowej, niekiedy tylko piórem. Obawiam się jednak, że ja będę widział wszystkie fastrygi, łaty, szwy dratwą propagandowej mowy zaplatane. Inni – dadzą się ponieść ułudzie i szlachetnemu szalbierstwu.

Niezmiennie szukam sposobu wywoływania z pamięci obrazów prawdziwych. Ta metoda podglądania świata już minionego przez dziurkę od klucza w drzwiach do przeszłości jest coraz mniej skuteczna. Im dalej chcę pamięcią sięgnąć, tym dziurka staje się coraz mniejsza.



Ściana lasu a teraz klocki na brzegu morza ciemnej strony księżyca fot M Koszur.



Rybacy mórz księżycowych

O pracy morskiego rybaka łodziowego, wykonywanej niezadko przy świetle księżyca – „gadać” można długo, ale powiedzieć – nie da się już praktycznie nic nowego. Chyba, że przywołamy tu marynistę Gracjana Jordana, przedstawiciela – równie jak rybacy – ginącej już profesji. To on sprawuje funkcję notariusza sloganu, że **połów ryb to zajęcie piękne i romantyczne, ale bywa ciężkie i niebezpieczne**.

- Zawód rybaka zawsze wiązał się z poczuciem wolności i ono jest chyba dominującą motywacją. - Rację ma dr Agnieszka Szkudlarek-Pawelczyk, kierująca Stacją Badawczą Morskiego Instytutu Rybackiego w Świnoujściu. - Poczucie wolności to dar, z którym każdy człowiek się rodzi, ale rybak nigdy go nie traci.

- A pan, skąd? – zapytał szeptem siedzący obok mnie w bibliotecznej świetlicy mężczyzna, który do powierzchni morza miałby znacznie bliżej niż ja, gdybyśmy obaj stanęli w jego rybackiej łodzi.

- Stąd! – odpowiedziałem.

- Od kiedy? – głos jakby mu zelżał.

- Będzie... piętnaście lat...

Odetchnął z ulgą. Swojak... - może pomyślał. No, ale nie rybak. On sam spędził na wodzie piętnaście lat.

- Bujdy z tymi naukowymi badaniami i prognozami! Mogli mnie zapytać. Powiedziałbym, co każdego roku wyciągałem z wody. A było tego coraz mniej i coraz bardziej wykrzywione. Aż litość brała. Trzymał człowiek w rękę i nie wiedział, czy to ryba jeszcze? Zrezygnowałem.

Ale o takich kwestiach maryniści nie pisali. Może i chcieli. **Ale kto by im to wydrukował?**

Grecka z profilu głowa rybaka z banknotu z 1948 roku całkowicie zasłania widok rybackiej codzienności. Natomiast na rewersie tej pięćsetzłotówki widzimy nabrzeże portowe, parowiec i holownik. Ważny był człowiek i stalowe burty statku. I wańkowiczowskie pióro, to samo, którym tuż przed wojną kreślił on swoją „Sztafetę”. Postęp, progres, szturm... Po wojnie te hasła – i słusznie – były paliwem tytanicznej pracy osadników. Czy w tej liczbie także rybaków zalewowych, łodziowych, bałtyckich?

Przed wojną nie wykształciliśmy rybołówstwa na skalę statystycznie zauważalną. Wtedy symbolem morza był marynarz floty handlowej i jego kolega z marynarki wojennej. Absolwent jeszcze tczewskiej szkoły morskiej, pan Kazimierz Orthwein opowiadał mi o tworzeniu przedwojennego bałtyckiego rybołówstwa. Z braku rakiety, musieli zadowolić się latawcem. I takie też były efekty ich rybołowczych lotów.

Po wojnie, na wybrzeże dalece dłuższe niż to z 1918 roku, zjechali przesiedleńcy ze wschodu, ludzie stepu i naddnieprzańskiej przestrzeni, która – choć oko wykol, wypełniała świat aż po horyzont.

O tych wszystkich pionierach pisali późniejsi, wzięci, ale zazwyczaj chwilowi literaci i dziennikarze nowych gazet. Pisali o... polityce, o morskich stachanowcach, o portowych dźwigach, śrubach pchających statki w daleki świat. Człowiek – owszem – też się tam pojawiał, często jako zaangażowany wykonawca wskazań partii.

- My nic nie umielim – opowiadał mi jeden z nich, szczeciński stoczniowiec, pracujący przy parowcu „Oliwa”. – Nikt z nas morza nie widział. Ale przyjechał taki Gruzin, Lortki-panidze, i on nam wszystko pokazywał, jak budować mamy ten statek. I kiedy było wodowanie, to ja wsiadłem do łódki, bo chciałem zobaczyć, jak statek spływa do wody. Wtedy powstała wielka fala i wyrzuciła mnie z łódki do wody. Była taka radość, że my już coś umim, że coś zrobili.

Propaganda sukcesu, sztuka dyktatury proletariatu owszem, wzorem jeleni na rykowisku, rozwieszała nad wzburzonym morzem białe mewy i obłoki, ale to on – człowiek partii był bohaterem naszego „wrastania w morze”. Mój Boże... A kiedy pojawili się ci, których duszę wypełniało poczucie morskiej wolności? Praktycznie rzecz biorąc – nigdy. Nawet ten pomnik marynarza w Alei Fontann, przy Placu Grunwaldzkim w Szczecinie – ten uśmiechnięty, na pewnych nogach stojący za kołem sterowym żeglarz, z wyczuwalnym wyraźnie wiatrem, podrywającym jego marynarski kołnierz, pomnik morskiej wolności – czyż nie przywołuje wizji monumentów z cyklu: „nasz marsz ku komunizmowi?” – tu, w wersji morskiej, ale czy przez to demokratycznej?

Morskie przekleństwo tej ziemi

Rybołówstwo to w pewnym sensie przekleństwo tej ziemi. Teren wyspy to od zarania była ziemia uprawna. Każdy wydarty lasom jej skrawek pielęgnowano w zaciszu gwarantowanym przez drzewa, powstrzymujące sztormowe awantury XVII wieku. Wtedy któregoś dnia przyszli Szwedzi. Potem Prusacy. Międzyzdroje liczyły wówczas 21 mieszkańców. Na owe czasy – niemal metropolia. Szwedzi złapali oddech i poszli pod Częstochowę. Po klęsce, po starych śladach wracali do siebie. Przez około sto lat te tereny były miejscem zmagania żywiołów skandynawskich i pruskich. Żadne z wyspiarskich zagonów, rozdeptane wojskowym butem poletko, nie nadawało się już do uprawy. Piach zasypał także trakty handlowe. Wróciła nadmorska pustynia. W 1776 roku dotarło do Międzyzdrojów czterech nowych kolonizatorów. Do 1795 roku wielokrotnie odkopywano tutejszą karczmę, niegdyś strategiczny obiekt ze względu na komorę celną, która pobierała opłaty od kupców zdążających m.in. do Wolina i Kamienia Pomorskiego. Ostatecznie wydma, niczym mogiła, zamknęła dawny okres rozwoju osady. Nadszedł czas kurortów, wczasowisk z kąpieliskami dla pań i panów, z centrum rozrywkowym, z kasynem gry, wokół którego zaczęło rozwijać się nowe miasto.

Nieliczni, rdzenni mieszkańcy nie mieli wielkiego wyboru.

- Musimy łowić ryby – zdecydował być może Hans Schuneman, który w drugiej połowie XVII wieku, już chyba jako ostatni, zamierzał odbudować karczmę i osadę Międzyzdroje.

Wioski rybackie

A było ich tu wiele, od Flensburga po Ahlbeck i dalej do Gdyni. Ich mieszkańcy, rybacy Pomorzanie, z hymnem: *Lüd, lüd, nu geiht dat an...* śpiewanym przed wschodem słońca, na wyjście łodzi w morze, ruszali po świeże ryby „w oceanie pluskające”. Narodowość nie miała wówczas znaczenia. To charakter pracy definiował i kształtował skupiska ludzkie.

Te wsie i osady, usytuowane w trudnodostępnych miejscach (brzeg morski, bagienne, zarośnięte tereny przybrzeżnych jezior) pozostawały w izolacji.

Pracownicy naukowcy Muzeum Narodowego w Szczecinie, Iwona Karwowska, wspólnie z Maciejem Lango, w książce „Rybacy z przeszłości” (nakładem Muzeum Narodowego w Szczecinie, 2015) szkicują obraz nie tylko rozwoju „rybaczenia” (publikują pełny inwentarz zachowanych artefaktów), ale przede wszystkim jego wpływu na kształtowanie się społeczności zamieszkującej północno-zachodnie kresy Polski. Przypomnijmy daty powstania głównych centrów – Dziwnów – 1243, Kępa – 1307, Rewal – 1434, Mrzeżyno – 1457, Niechorze – XII wiek, Międzyzdroje – XV wiek.

„Do rozwoju rybołówstwa przyczyniło się również ugruntowanie chrześcijaństwa z obowiązującymi licznymi postami. Dużego znaczenia nabrały połowy ryb morskich, głównie śledzi. Stały się one – dzięki konserwującym właściwościom soli, która wydłuża okres przydatności do spożycia – znaczącym składnikiem postnej diety” – czytamy w „Rybakach z przeszłości”.



Roczne połowy śledzi w naszym regionie osiągnęły rekordowy wynik w 1997 roku – 150 tysięcy ton. Dużo? Policzyłem. Każdy Polak mógł jeden raz w kwartale dostać 10 kg śledzia, nieodzowną w tamtych latach zakąskę pod setkę wódki zamawianej w restauracji.

Dziś – śledź bałtycki pojawia się w statystykach w ilościach śladowych.

„Chęczy” nie pamiętam

Wracam do lektury „Rybaków z przeszłości”.

„Nadmorskie budownictwo rozwinęło się „na bazie architektury domu dolnosaksońskiego, zwanego halowym. (...) Pod jednym dachem znajdują się pomieszczenia mieszkalne, gospodarcze i inwentarskie. Całość stanowi dużą budowlę nakrytą obszernym, czterospadowym dachem, o wejściu w ścianie szczytowej i dużej sieni. (...) Ten typ budownictwa przetrwał we wsiach rybackich do czasów drugiej wojny światowej, tworząc całościowo zachowane enklawy (np. Dąbki, Kępa, Mrzeżyno, Niechorze). (...) Na osi długiej (17-19 m – podkr. M.K) wytoczona była obszer-na i wysoka sień, po bokach pomieszczenia inwentarsko-gospodarcze (...) w tylnej części sieni palenisko i studnia, a dalej część mieszkalna (izby i wnęki do spania)”.

W przybudówce takiego domu było pomieszczenie dla... starców. Pod dachem domu rybaków składowano narzędzia rybackie. „Tam zakładano przynęty na sznury haczykowe, naprawiano i wyrabiano sieci, sortowano, sprawiano i solono ryby”. Zwierzęta i ludzie oraz warsztat pracy pod jednym dachem to w tym trudnym, wietrznym klimacie jedyne rozwiązanie na utrzymanie ciepłego domostwa. Przy domu, na mało urodzajnej glebie zakładano warzywniaki. Na posiadanie konia mogli pozwolić sobie najbogatsi. Wielu rybaków hodowało owce i trzodę chlewną.

Taka rybacka chata... Zasoby muzealne Szczecina pozwoliłyby odtworzyć jej wygląd oraz wyposażenie. Obiekt opowiedziałby o naszych przodkach więcej niż niejeden tekst marynistyczny, pisany pod księżycem, piórem moczonym w czarnej nocy, morskiej wodzie. Czyli – z wyobraźni jedynie.

Pomorscy rybacy

Pomorzanie, do końca 1945 roku tworzyli społeczność, ugruntowaną wielowiekową tradycją. Na starych fotografiach w zbiorach muzeum widać wiele rybackich łodzi wyciągniętych na piasek. Rozwieszone nieopodal, rozplątane sieci, mam wrażenie, jakby ciągle drżały na wietrze, pośród wszechobecnego zapachu gnijącej w zęzach wody, gęstej od zapachu ryb.

A my? Pokolenie po 1945 roku? Nasze uprawianie morza (komputerowy edytor słowo „uprawianie”, zamienił mi w „ubarwianie”) zaczynaliśmy od zera. **Nie wytworzyliśmy własnej kultury morskiej. Nie przejęliśmy też w sposób płynny dorobku Pomorzan, którzy nie bez oporu stąd odchodzili. Byli tacy, którzy się uparli. Zostali. Dla nich – powtórzę - ojcowizna wyznaczała granice ojczyzny.**

- To przecież byli Niemcy! – przypomniał mi z przekąsem tę oczywistą w okresie powojennym prawdę Lech Karwowski, dyrektor Muzeum Narodowego w Szczecinie. – Wielu fachow-

ców zatrzymano nawet na dwa lata. Potem zostali odesłani na Zachód.

Tak, nic co niemieckie nie było wtedy nam równie obce.

Statystyka jest nieubłagana. Z badań A. Małkowskiej z Morskiego Instytutu Rybackiego (przeprowadzonych w 2008 r.) a opublikowanych w Internecie wynika, że w roku 2007 w połowach w regionie zachodniopomorskim uczestniczyło ok. 370 rybaków (w pracach lądowych pomagało ok. 290 osób – byli to z reguły członkowie rodzin); zatem na 161 armatorów i 111 łodzi rybackich przypadało ok. 660 osób utrzymujących się z rybołówstwa. Cztery lata później, w 2012 r., zarejestrowanych było 126 armatorów i 99 jednostek połowowych. Dziś – jest ich 107. Taki ustalono limit dla tego regionu.

Dziś, przy minus trzech stopniach styczniowego mrozu, podczas spaceru nadmorską promenadą usłyszałem charakterystyczny odgłos silnika łodzi, której załoga stawiała sieci, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania ze strony nielicznych zimowników. Większość od rana siedzi w kawiarniach lub w podgrzewanych basenach zlokalizowanych u stóp nowoczesnych apartamentowców.

Zszedłem z promenady w stronę miasta. Obok, na wolnym powietrzu – wędzarnia i zarazem mała restauracja. Mimo lekkiego mrozu - na masywnych, metalowych stołach – galeria gatunków ryb. Prawe jak u jubilera!

- Prosto z wody, świeżutkie. Frische Fische! Guten Appetit! Latem jest tu więcej takich punktów. W każdej zresztą z nadmorskich miejscowości. Wszystkie mają towar prosto z burty. Tylko burt tych nigdzie nie widać.
- Skąd te ryby?
- Z morza – rezolutnie odpowiada sprzedawca, natychmiast zwracając się w stronę pary kuracjuszy z Niemiec. Tacy jak on unikają takich jak ja.

Marzenia z piasku

Co można zbudować z nadmorskiego piasku? Nic. Przynajmniej ludzką ręką. Tu rządzi wiatr. Jednym dmuchnięciem wzniesie wydmy pod niebo, a drugim zamieni ją w pył. A człowiek? Czy może zbudować tu coś... ładnego? Tak... marzenia.

Jaka więc w tej opisananej piórem rybackiej robocie jest poezja? Jaka uroda i baśń?



Na spotkaniu w bibliotece padło słowo: rybaczenie, unoszące się nad przywołanymi cytatami literackimi. Ileż znaczeń kryje się w tym jednym wyrazie? Stał się on połączeniem przedmiotów i podmiotów działalności człowieka na morzu, a wszystko obudował nazwami stanów emocjonalnych, bliskich mu brzmieniowo. Najtrafniejsze to: zmęczenie, utrudzenie, znużenie, opuszczenie, osamotnienie i to ciągle natrętne w swojej nieoprawności - marzenie.

By pozostać uczciwym, trzeba dziś spoglądać na minione czasy przez te wszystkie filtry.

Pani Ewa Zamorska-Przyłuska przygotowuje przewodnik literacki po Wolinie i „międzymorzu wolińskim”. (Ot, taka nowa nazwa na opisanie świata bardziej przedstawionego niżli realnego). Od lat zbiera wszystkie literackie opisy tych okolic.

- Ta wyspa jest dla mnie jak szkatułka, z której nieustannie wyjmuję wspaniałe opowieści.

Natrafiła nawet na nieopublikowaną powieść Gracjana Jordana, nielicznym tylko znanego pisarza i rybaka. A może – rybaka i pisarza? Jednak nie... pisarza, łowiącego ryby z burty. O twórcy tym i jego powieści opowiedziała w książce „Wyspa rybaków” wydanej przez Książnicę Pomorską w 2023 roku. Za motto swojej powieści Jordan przyjął fragment głośniego na początku lat 60. XX wieku „Smutku tropików” Claude’a Levi-Straussa, oponenta Sartre’owskiej filozofii egzystencjalnej, uznającej człowieka za istotę całkowicie wolną; sam Levi-Strauss twierdził, że naszą wolność ograniczają siłą narzucane nam ideologie.

„W mojej chacie nie ma ani zegara, ani kalendarza, praca rozpoczyna się w chwili, gdy zaczynamy dostrzegać kontury naszych stwardniałych dłoni...”

Przekładając te słowa pisarza-rybaka na język rybaka-pisarza wystarczyłoby powiedzieć: harówka od świtu do nocy! Tu poezja i tam poezja. Tylko jedna z nich jest niemalże arcydziełem. Ale – która?

Miejszem akcji powieści Jordana i prac Ewy Zamorskiej-Przyłuskiej jest Pobrzeże Szczecińskie, teren wokół Zalewu Szczecińskiego, ujścia Odry i brzegów Zatoki Pomorskiej. Bogaty, a jak niektórzy mówili – żyzny akwen, charakteryzujący się różnorodnością gatunkową ryb. Załamanie przyszło na początku lat 90. Taki wniosek wieńczy badania, tym razem pracowników Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technicznego w Szczecinie, opublikowane w 2017 roku.

- W tej wodzie nawet księżyc się nie odbija – dopowiedział rybak, ale ten siedzący z mojej lewej strony. - Poziom zanieczyszczeń przerażał. Woda wyglądała niekiedy jak asfalt.

- A było, że eksportowaliśmy naszą wodę – dopowiedział ten z prawej, kiwając głową na potwierdzenie.

Poeci z księżycą

Wracam do lat 60. i 70. XX wieku. Dość prężnie działał wówczas Klub Publicystów Morskich SDP i rzecz jasna – Stowarzyszenie Marynistów Polskich, wcale nie przybudówka prestiżowego Związku Literatów Polskich.

Znalazłem się w gronie jednych i drugich twórców. Kornie jeździłem na spotkania autorskie, przeglądy twórczości, festyny literackie. Nie pomnę, w ilu wypełnionych po brzegi małomiasteczkowych świetlicach, klubach RSW Prasa, Książka, Ruch a przede wszystkim w wiejskich bibliotekach opowiadaliśmy ofufajkowionym rolnikom o wielkim morzu, jego herosach, sztormach i tragediach. Ludzie uwielbiali te nasze bajania, nierzadko podbudowane morskim doświadczeniem niektó-





rych kolegów, ale... No właśnie – doświadczeniem ostatecznie zdradzonym. Jak te dziewczyny z włosami splecionymi w grube jak liny warkocze... Zaraz, zaraz... Nie, jednak nie przypominę sobie imienia tej w białej bluzce... A ... może... Grażyna?

Tamte sale biblioteczne były zadymione i przepełnione, ale też w równym stopniu jak ta międzyzdrojska dziś, nowiutka i lśniąca bielą ścian – zaciekawione. Słucham z zainteresowaniem analiz, konstatacji, spostrzeżeń i zachwytów uczestników stycziowego spotkania. Moderował te rozważania dr Piotr Oleksy z Książnicy Szczecińskiej.

Myślałem... Czy te nasze - marynistów - świadectwa, te eseje i artykuły, książki, tomiki poetyckie, radiowe słuchowiska, audycje publikowane przed laty, reportaże telewizyjne, teraz wyławiane przez Autorkę – czy to wszystko była... prawda o ludziach morza? Czy może ówczesne opisy pracy rybaków oraz wiwisekcja ich duszy są niezmiennie produktem tylko morsko podobnym? Propagandowym – mówiąc wprost?

Wtedy mieliśmy świadomość szlachetnej dezynwoltury wobec prawdy, kiedy oczy słuchaczy wręcz błagały o piękne kłamstwa.

Czy te nasze publikacje, nierzadko nagradzane, chwalone, ale propagandowo wpisujące się w jakiś ideologiczny trend ugruntowujący polskie administrowanie tymi wodami i ładami można dziś uznać za pokład do jakiejś summy choćby quasi historycznej? Byliśmy, autorzy, w jakimś stopniu elementem polityki? Tak! Idąc na całość – kreowaliśmy bohaterów, którzy się morzu „nie kłaniali”.

Tak! Ale zawsze podkreślaliśmy tę prawdę, że człowiek, by przeżyć - musiał mądrze się morza bać, rozumieć je i za każdą cenę unikać konfrontacji z nim. W starciu zawsze byłby na przegranej pozycji.

Kim byli marynarze i rybacy literaci, eseści i dziennikarze, opowiadający o morzu?

Franciszek Gil, studiował prawo i orientalistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, zazwyczaj nigdzie nie pracował, Jan Papuga – tragarz i listonosz, służył w marynarce wojennej, pływał we flocie handlowej, Czesław Schabowski – samouk, jakiś czas rybaczył na Zalewie Szczecińskim, Czesław Pachłowski, wychowanek domów dziecka i internatów, ukończył studia literaturoznawstwa w Moskwie, pod kierunkiem Konstantego Paustowskiego, przez sześć lat - rybak dalekomorski, Ryszard Dżaman – absolwent Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego, w 1967 roku przez kilka miesięcy pracował jako rybak łódziowy. Niewiele dłużej pływał na statkach, kierował biblioteką w szkole morskiej.

To tak, jak o kwalifikacjach dowódcy armii powiedzieć, że sztuki wojennej nauczył się w dzieciństwie, bo miał drewnianą szabelkę i z kolegami bawił się w wojnę.

Ryszard Dżaman, wspólnie z Lucyną Kilian z Domu Kultury, organizował Łobeskie Spotkania Marynistyczne. Począwszy od 1974 roku, przez szesnaście lat, utworzona przez niego grupa twórców, badaczy, krytyków oraz dziennikarzy warzyła marynistyczny bigos, pełen literatury, sztuk plastycznych, poezji i muzyki.

W spotkaniach tych – jak informuje Wikipedia - brali udział następujący pisarze (kolejność alfabetyczna): Andrzejewski Wiesław, Banasiewicz Henryk, Bednarski Piotr, Brzozowski Zbigniew, Czarniecki Mariusz, Czerniawski Czesław, Czubaśiewicz Bogdan, Daszkowski Eugeniusz, Dżaman Ryszard, Furmaga Lesław, Gawłowicz Józef, Grzybowski Leon, Jasiński Jerzy, Jaworski Piotr, Jurczyk Jerzy, Kamiński Ireneusz Gwidon, Kosiorowski Zbigniew, Koszur Marek, Kotowicz Waldemar, Kowalski Marian, Krzyżanowski Józef, Kulmowa Joanna, Łyczywek Krystyna, Mazurczyk Jerzy, Momot Adolf, Nalewajko Danuta, Pachłowski Jerzy, Przypkowski Andrzej, Seidler Wiesław, Turczyński Andrzej, Walczak Aleksander, Wasilewski Eugeniusz i Wasyl Stanisław.

Dziś ta „lista obecności” jest przynajmniej pięć razy krótsza...

Byli też rybacy, którzy złamali świętą przestrogę, znaną od lat we wszystkich flotach i nad wszystkimi morzami: Pan Bóg, jeśli chce zguby marynarza, daje mu pióro do ręki... Próbowali, pisali. Ale czy ktoś widział ich publikacje?

Nieporównywalne porównania

Łowienia ryb nie da się porównać z żadną inną pracą. Przywołaj rolnika czy dekarza, informatyka albo marketingowca... kogo chcesz, a po drugiej stronie postaw rybaka łodziowego. Albo tych z wielkiej bazy-przetwórní, która 6-9 miesięcy krążyła i zbierała połów od trawlerów wokół Montevideo czy na Morzu Beringa. Postaw wreszcie rybaków z Międzyzdrojów - te ludzkie huby, przyczepione do burt łodzi i morskiego brzegu. Ślusarzy, hutników czy górników są tysiące – rybaków ledwie garstka. Z tej ich nieliczności jakiś mit się rodził. Marynistyczna glina.

Kolejny rybak, z rękoma splecionymi na piersi tak mocno, jak wiąże się węzły bosmańskie, słuchał dyskusji literackiej i wpatrywał się w podłogę.

- Ja do pani ... – wreszcie zabrał głos. – W jednej z książek Schabowskiego odnalazłem... mojego sąsiada. Jeszcze żyje. Pytam go: ten Schabowski, pamięta go pan, on u pana mieszkał. On pana w książce opisał. Dałem mu tę książkę. Po trzech tygodniach pytam: i co, prawdę on tu napisał? E, co pan, bzdury same. To wszystko nie tak było... On był dumny, jak do niego ktoś mówił: panie rybak. Ale on tu szukał materiału. Robił to na konkretne zamówienie. Był tak ustawiony politycznie, że mu te rzeczy drukowali.

Ustawiony politycznie...? Osobiście nie doświadczyłem żadnego wsparcia! Jeśli już można było nam wtedy coś zarzucić, to... uprawianie morskiej cepelii. Z elementem groteski, ale i brutalnego realizmu.

Nie przypominam sobie jednak, abym kiedykolwiek napisał wtedy, że większość z rybaków, niemal wszyscy – nie potrafili pływać. Nawet gdyby byli świetnymi pływakami, na nic by im się ta umiejętność zdała.

Wypadnięcie za burtę, w styczniu czy lutym, przy sztormowym morzu, gdy ciało zaplombowane jest już w wodery, peleryny, wełniane kalessony – strój idealny do wiecznego spoczynku, wymagało jedynie znaku krzyża nad wodami.

Pytać rybaków o strach to dowód na nieznaną im ich świata. Każdy uczciwy człowiek wie, co to strach. Oni też boją się morza jak jasna cholera!

Kocham morze...

Nigdy ludzi morza nie pytałem o uczucia. Ale odpowiedzi szukałem między wierszami. Czyli za burtą głównej narracji. Tylko tam można dostrzec jakieś emocje. Są jak ten księżyc oglądany spod powierzchni wody. Migotliwy, falujący, zdeintegrowany.

Na rybackich łodziach, zazwyczaj, pływali ojciec i jego synowie.



Hans Hartig, Port rybacki w Nowym Warpnie 1900-1920?, Muzeum Narodowe, Szczecin



Rybacy nie są ludźmi wylewnymi. To – z natury – łowcy. Doskonałą techniki połowowe, szukają najobfitszych łowisk, nawet o dziewczynach z nikim nie rozmawiają. Skryci? Nie. Skoncentrowani. Są w stanie ciągłego „nasłuchu”. Czekają na prognozę pogody, patrzą żonie w oczy, która wie, że jego już coś kręci, już poszedłby na nabrzeże, bo wiatr jakby gwizdnął, zakręcił, bo sieć chyba lekko drgnęła... Wielu z tych, których poznałem, to mruki. Odpowiadali na pytania, niekiedy wyjaśniali jakieś zagadnienia, nawet zdradzali tajniki. Ale najchętniej – nic nie mówili. Mikrofon radiowca nie toleruje ciszy. W przypadku rozmów z rybakami – rozkoszował się jednak tym metafizycznym milczeniem.

Któregoś razu pojechałem z inspektorami na rutynową kontrolę jednostek szykujących się właśnie do wyjścia na połów. Rozmowa miała dość osobliwy przebieg. Jakby to był flirt z rybą, która wpadła w sieci, ale, że jej oka były zbyt duże, ryba nieustannie pokazywała rybakowi „gębę”. W taki sam sposób rybacy odpowiadali inspektorom na ich pytania: ile sieci rzucono, w którym kwadracie, dlaczego i jak często właśnie tam...? Z czasem na łodziach zaczęto montować kamery monitorujące przebieg połowu.

- Tfu... - skomentował te uwagi jeden z uczestników spotkania w bibliotece, któremu opowiedziałem tę historię.

To cwani ludzie, dobrzy taktycy. Nie tak dawno urzędnicy zdecydowali: obserwator i kontroler będą na pokładzie w czasie połowów. Czemu nie – odpowiedzieli rybacy. Ot, jedno wyjście w morze będzie inne od pozostałych. Przecież taki inspektor to nie stały balast; pokiwa się z nami i zejdzie na ląd. A gdybyśmy odmówili urzędnikom – moglibyśmy mieć kłopoty. Rybacy na łodziach starają się nawigować tak jak na wodzie. Nie mogą sobie pozwolić, by coś lub ktoś nakrył ich łódź od rufy. Zawsze sterują ostro na fale.

Zapamiętałem taką rozmowę inspektora z rybakim. Chyba w Dziwnowie.

- Pogniewał się pan na kolegę?

- Ja? Nie... Ja z nim tylko już nie rozmawiam.

Jakis czas później znow spotkałem tego rybaka. .

- Słyszałem, że ostatnio ten kolega pomógł panu w morzu? Silnik w pańskiej łodzi nawalił?

- Ano, było. Pomógł.

- To się pogodziliście?

- Nie. A niby czemu? Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Zresztą, my się nie gniewamy. Po prostu – nie gadamy. Wskakuje pan?

I popłynęliśmy.

Trzy godziny na łodzi. Bez słowa. Oni na takim słownym bezdechu potrafią spędzić cały dzień.

Wiem, że niewiele wiem

Po pół wieku pracy dziennikarskiej niewiele mogę powiedzieć o relacji między człowiekiem i morzem. Przez wiele lat redagowałem program pod tym właśnie tytułem. Wiem, domyślałem się jedynie, że jest, że musi być coś, czego nikt jeszcze nie nazwał, bo to coś nie ma odpowiednika w słowach. Jest widoczne w wyciąganiu sieci z wody, cumowaniu, rozwijaniu żagli, ucieczce przed sztormem i niepokojem, że przecież od kilku minut już powinniśmy byli być nie w morzu, ale w bezpiecznej zatoce.

Nie znalazłem sentencji i złotej myśli, która oddawałaby prawdę o człowieku i morzu. Są tylko słowne cekiny i sztuczne ognie, efektowne frazy i refreny.

Nie ma zwerbalizowanej istoty tego związku. Zaczynasz go wyczuwać w chwili, gdy podejdziesz w stronę morza tak blisko jak tylko się da, ale nie dotykając wody. Morze to jedyny oprawca, który ofierze pozwala bez najmniejszej obawy zbliżyć się do niego. Czy rozmawiają? Tak. **Ja nie zrobię nic co byłoby skierowane przeciwko tobie, ale ty nie dasz mi podobnej gwarancji. Zaskoczysz mnie, gdy będę spał, śniąc o tobie.**

Czy z tego związku rodzi się literatura? Mówią: marynistyczna. Ale ta kategoria to jak „opakowanie zastępcze”. Tło i folklor jedynie. W literaturze zawsze przecież idzie o człowieka, a to, że treścią lub tłem opowieści o nim jest morze nie czyni z tej twórczości – literatury!

Mam też kłopot ze „Zwierciadłem morza”. Redagowałem kiedyś cykl audycji o tym tytule – z dopiskiem – wersja współczesna. Ale co znaczy samo to sformułowanie: zwierciadło morza? Powiesz: lusterko księżniczki – i wszystko jasne, a zwierciadło morza?

A marynistyka...? Czy różni się czymś od opisywania ciemnej strony księżyca? Obojętne, oglądanej znad czy spod wody? Chyba nie. Marynista, im bardziej próbuje wnikać w odmęty rybackiej duszy, tym częściej grzęźnie w mieliznach i płyciznach broniących dostępu do „zaklętych rewirów” mórz ciemnej strony księżyca, odbitego w mrocznej wodzie Zalewu Szczecińskiego i wybrzeży Bałtyku.

(Trzy archiwalne zdjęcia rybaków ze zbioru Muzeum Narodowego w Szczecinie.)



Morska mowa- trawa

Przeczytałem ten akapit...

„Trzeba sobie zedrzeć dłonie do krwi, naginać grzbiet przy ciągnięciu sieci, odczuć drętwotę ramion po długim wiosłowaniu, martwić się starganymi przez sztorm sieciami, wypływać nocą na połów, psioczyć na sztormy, na babę, że nie przygotowała żarcia, na rybę, na pogodę, na morze i na życie. Walczyć z morzem i wydzierać mu jego bogactwa. Tylko wtedy można uczciwie powiedzieć, że historia, którą się napisze, będzie prawdziwa.”¹

Uczciwie... czyli jak?

Przeczytajmy to ostatnie zdanie raz jeszcze. O jakim **uczciwym** opisywaniu prawdy może mówić autor cytowanej bzdury? Już dawno nie zetknąłem się z... morską mową-trawą.

Zróbmy doświadczenie.

Bardzo proszę - oto ten sam tekst, tylko... nieco odmieniony.

„Trzeba sobie zedrzeć dłonie do krwi, naginać grzbiet przy rąbaniu węgla, odczuć drętwotę ramion po długim fedrowaniu, martwić się starganymi przez kombajn zwalówiskami, wypływać nocą w wyrobisko, psioczyć na metan, na babę, że nie przygotowała żarcia, na skały, na pogodę, na węgiel i na życie. Walczyć ze złożem i wydzierać mu jego bogactwa. Tylko wtedy można uczciwie powiedzieć, że historia, którą się napisze, będzie prawdziwa.”

Trzeba sobie zedrzeć dłonie do krwi... To zdanie, to kolejne kuriozum.

Kto świadomie, bez przymusu będzie zadawać sobie ból? Rękawic nie ma? To szmatą owiń dłonie. Sięgnij po starą skarpetę, grubszy papier, cokolwiek, byleby tylko w chwili

głupiego zadęcia nie nabawić się kontuzji albo nie poranić rąk na tyle, żeby przez miesiąc z trudem podnosić łyżkę do ust.

Żaden z prawdziwych rybaków nie dopuści do zdzierania dłoni do krwi! Nie mógłby wtedy normalnie pracować – dzisiaj, jutro i za tydzień. Co autor takim opisem chciał osiągnąć? Do kogo adresował te bzdury?

Albo to: „...naginać grzbiet przy ciągnięciu sieci...”.

Grzbiet trzeba chronić! Żeby nie doszło do kontuzji. Powód – taki sam jak z poranioną dłonią. Więc jakie soki to stwierdzenie ma wycisnąć z naszej wrażliwości?

Ta nagrodzona niegdyś proza, pełna jest stwierdzeń w rodzaju: „odczuć drętwotę ramion...”. Uprzejmie informuję, że sztuka wiosłowania to umiejętność porównywalna z wirtuozerską grą na skrzypcach. Każdy ma pewien zasób siły, aby skutecznie wiosłować. Jeśli nie wchodzi w rachubę kwestia ratowania życia, nikt dla przyjemności nie doprowadza się do stanu odrętwienia podczas wiosłowania. Szczególnie rybacy łodziowi potrafią gospodarować swoimi siłami, aby odpocząć, złapać oddech, wyzwolić nową energię. Nie będzie nigdy rybakiem, kto na co dzień doprowadza „ramiona do stanu odrętwienia”.

I tak dalej.

Kuriozalnym i już dawno prześmianym stwierdzeniem jest zwrot: walczyć z morzem i wydzierać mu jego bogactwa.

Każdy człowiek, a szczególnie ten uczciwie strachliwy - pracujący na rybackiej łodzi, boi się morza! Tylko nie myśli o tym obsesyjnie w każdej sekundzie życia. Odczuwa strach przed swoją bezsilnością wobec sytuacji szczególnych. Tą jest wypadnięcie za burtę, utrata sterowności łodzi, zwykła panika w obliczu bezkresu wody i głębin. Sztorm na morzu to sytuacja ekstremalna. Historia nie zna przypadku, aby człowiek wypowiedział morzu wojnę i tę wygrał.

Każdy, jak powiedział chyba Conrad, uczciwy człowiek powie, że w zetknięciu z morzem trzeba bezwarunkowo przyjąć jego

1 Ewa Zamorska-Przyłuska, Wyspa Rybaków, Gracjan Jordan i zapożyczona opowieść o Międzyzdrojach. Szczecin 2023

zasady gry: nie ryzykować, nie iść na przekór, nie zmagać się z jego potęgą. Trzeba współgrać, mądrze poddać się jego regułom. Koniec.

Morze przed nikim nie chroni swoich bogactw. Nie zawsze jednak stwarza idealne warunki do korzystania z nich. Po te dobra należy sięgać, przy warunkach sprzyjających połowom. Wydzieranie morzu czegokolwiek jest przejawem skrajnej nieodpowiedzialności.

Otóż w całym moim „marynistycznym” doświadczeniu nigdy nie spotkałem człowieka, który wygłosiłby manifest równie nedorzeczny jak ten, cytowany powyżej. Może, taki jeden z drugim, przetrwałby jedno wyjście w morze albo dwa. Może nawet sto, ale byłaby to już patologia.

Jeden zaledwie akapit próbki prozy marynistycznej. Określenie: grafomaństwo byłoby tu komplementem. Ale są czytelnicy, na których słowa te wywierają wrażenie porównywalne z lekturą Pisma Świętego. Ech, chciałoby się zawołać, Inkwizycjo, wracaj!

Rybacy i marynarze znają tę prawdę: dobry Pan Bóg, chcąc zguby ludzi morza, wkłada w ich rękę pióro zamiast wiosła. Ale ci, którzy tylko ludzi morza udają, tworzą podobne literackie potworki.

Nauczycielem byłem tylko przez miesiąc. Rzecz wydarzyła się pół wieku temu.

- Opiszcie proszę, sztorm na morzu. W pięciu zdaniach. Napiszcie najpierw na brudno, poprawcie, a za 45 minut oddajcie mi waszą **wizję sztormu na morzu...**

Co dzieciaki wtedy o sztormie wiedzieć mogły lub powinny? Jeśli czytały Roberta Louisa Stevensona, opowieści Juliusza Verna – musiały wręcz otrzeć się o... fascynację tym zjawiskiem. Patrzyłem, jak zmagają się z tym zadaniem. I wcale im nie zazdrościłem.

W starym notatniku zapisywałem „cytaty morskie”. Nie sądziłem wtedy, że sięgnę po nie pół wieku później! Takich „baz danych” (np. wszystkie żaglowce szkolne, wszystkie muzea morskie itd.) zbudowałem kilkanaście.

1. Homer – „Odyseja” (ok. VIII w. p.n.e.) - „Ze wszystkich stron wicher wiał, gromy ciskał Zeus, a piorunów jego błyskawice, niebo i ziemię w ogniu stawiały. Gęste chmury pokryły morze i noc się zrobiła; (...) Pędziły wichry i żagle się rwały na statku, maszty pękały.”

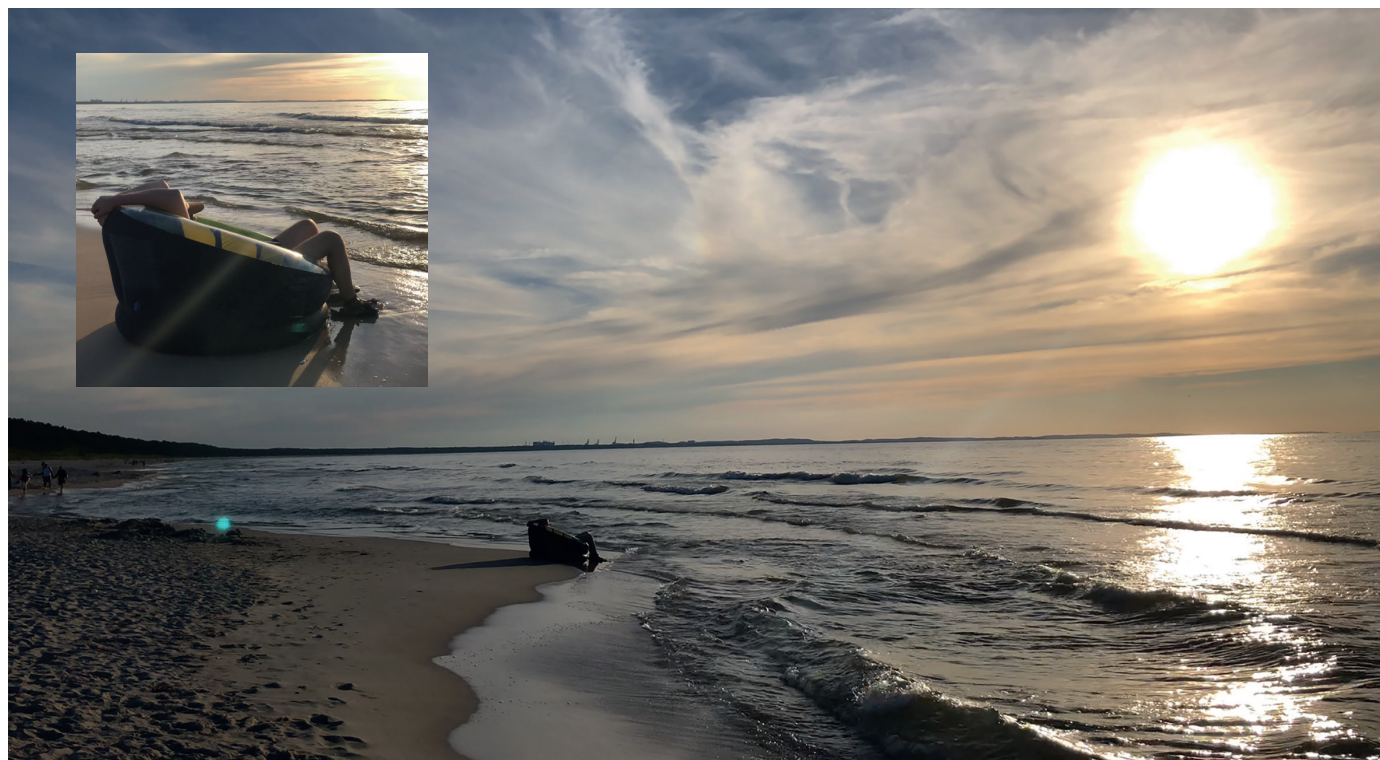
2. William Shakespeare – „Burza” (1611) - „Gromy wściekle rozdzierają niebo, wody tańczą jak furie, łódź kołysze się, jakby miała zniknąć w paszczy oceanu, a krzyki ludzi zlewają się z rykiem fal i wiatru. Niebo i ziemia zdają się walczyć o każdą iskrę światła.”

3. Joseph Conrad – „Tajfun” (1903) - „Ołowiane chmury opadły niemal na powierzchnię wody, zamieniając dzień w noc. Wiatr ryczał jak nieokiełznana bestia, fale wznosiły się niczym góry, a statek, choć zbudowany z najtwardszej stali, zdawał się igrać ze śmiercią w każdej chwili.”

4. Herman Melville – „Moby Dick” (1851) - „Niebo było jak żelazna kopuła, a fale wściekle uderzały o siebie, tworząc wirujące otchłanie. (...) Człowiek na pokładzie był jak pyłek w paszczy wszechmocnego żywiołu.”

5. Juliusz Verne – „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi” (1870) - „Fale uderzały w kadłub jak pięści potężnego olbrzyma. Piana biła w iluminatory, rozbijając się na tysiące srebrnych kropli, a wicher śpiewał pieśń zniszczenia. Pod wodą panowała jednak niepokojąca cisza.”

6. Charles Dickens – „Dombey i syn” (1848) - „Wiatr wył jak dzikie zwierzę, a morze zdawało się płonąć od wściekłości. Maszt pękł z hukiem gromu, a statek tańczył na falach jak zraniony ptak, skazany na zgubę.”





7. Stefan Żeromski – „Wiatr od morza” (1922) - „Wicher rozdarł chmury na strzępy, morze ryczało jak zwierzę wściekłe, a fale, czarne jak smoła, rzucały się na brzeg z hukiem, jakby chciały pochłoniąć ziemię.”

8. Ernest Hemingway – „Stary człowiek i morze” (1952) - „Fale wznosiły się coraz wyżej, a łódź stękała pod naporem wichru. Morze wydawało się bezlitosne, lecz starzec wiedział, że to jego przeznaczenie – mierzyć się z siłą, której nie może pokonać.”

Kiedyś mówiło się: jestem wychowankiem, to mój wychowanek, nasi wychowankowie... Prawda, że pięknie to brzmiało? I miało pokrycie w rzeczywistości. Dziś dominuje stwierdzenie: a, to jest takie proste, intuicyjne. Świetne określenie: coś jest intuicyjne. Na przykład: intuicyjny stosunek do morza?

Kiedyś Szczecin administrował największym portem na Bałtyku. Miał prawdziwą szkołę morską, nawet kilka. Budowaliśmy statki.

Idealny materiał na studium krytycznoliterackie, na analizę teoretycznoliteracką – atrybuty sztormu, budowanie nastroju. Doskonale widać powtarzalność pewnych określeń i porównań. Ciekawe, prawda? Sztorm – dzikie zwierzę.

Bardzo żałuję, że nie zachowałem odpowiedzi dzieciaków. Nie były głupie. Operowały stereotypami, to prawda, ale tamta młodzież nosiła w sobie utrwalone związki frazeologiczne, niemalże gotowe porzekadła i mądrości... marynistyczne. Wyssane z dobrej literatury, z opowieści ludzi pracujących na morzu. Wielu takich mieszkało wtedy w Szczecinie. Wtedy też do morza było nam o wiele bliżej niż kiedykolwiek wcześniej, a już na pewno o lata kosmiczne bliżej, aniżeli dzisiaj.

Dziś edukacją morską nikt się nie zajmuje. Nie mamy w tym zakresie autorytetów. Ale też całkowicie wygasło zainteresowanie morzem. Ono jest już nieobecne w naszym codziennym życiu.

- Szkoła nie jest nauczycielką życia i odczuwania, nie rzeźbi wrażliwości i umiaru, nie potrafi przyuczyć nas do powożenia życiem. Lejce nam się plączą, konie wyrwają, każdy ciągnie tylko w swoją stronę, a my zerkamy na dzwonek, czy nie pora już na przerwę od trudnych kwestii życiowych.





Wolin, łódź rybacka, eksponat muzealny. Jej stan obrazuje nasz stosunek do spraw i tradycji morskich, fot. Matek Koszur

Lekcje morza

Sięgam na półkę. „Powrotne szlaki” i kolejny tom – „Bezpowrotne szlaki” pióra kapitana Eugeniusza Wasilewskiego. To książki o morzu? Nie. O ludziach. Morze, statek, rejs – to jedynie akcesoria, jakby elementy scenografii tylko.

Na każde spotkanie z kapitanem i jego przyjacielem, chiefem Kazimierzem Stępniewskim (obaj jeszcze absolwenci szkoły tczewskiej, tej pierwszej, morskiej), co trzeci raz ja przynosiłam wsparcie „wyborowe”. Tak się umówiliśmy. Każdy, co trzeci raz.

Cóż to były za milczące rozmowy!

- A ty pływałeś na „XXX”? – zniecierpliwiona kapitan napadał na przyjaciela.

- Uhmu...

- No to nie mamy o czym gadać...

I obaj przez długą chwilę siedzieli „wpatrzeni” w zapamiętane obrazy i zdarzenia z pokładu tego „XXX”.

- No, to już pan wiesz, jak tam było – kwitował tę część milczącej rozmowy kapitan Wasilewski podnosząc kieliszek w górę.

- No... – Kazimierz Stępniewski rzucił w stronę przyjaciela, – Eh, wy czarnuchy, co wy tam pod pokładem o morzu wiedzieliście? A w ogóle, widział który z was kiedyś, jak wygląda prawdziwe morze?

Kapitan Wasilewski prowokował kolegę.

- Panie kochany. Toż on nawet nie wie, gdzie to jest ta Ameryka. Siedzi, panie, taki morus pod pokładem, panie, i kiedyś sypał węgiel w palenisko, a potem to już w białej koszuli, takiej pogrzebowej, panie, sterował tymi maszynami. Stero-

wał... On... Jak ja mu nie powiedziałem „stop” – to on gnałby ciągle do przodu. A jak z góry wołałem – „wstecz” – to on mruczał tylko, panie. Jak „wstecz”? – kiedyś powiedział. Ja płynę do przodu, a ty, panie, mów do mnie, koniu mów wstecz. Statki płyną przed siebie, panie, krzyczał na mnie.

- Nazad się mówi do konia, to ty nie wiesz? – Kazimierz Stępniewski próbował mieć ostatnie zdanie.

Kapitan Wasilewski uniósł okulary, zsuwające się na nos. Polewał właśnie, bo to czas odpływu się zbliżał, jak mawiał, sygnalizując, że spotkanie właśnie się kończy.

– Panie, jak ich tam z tych maszyn wypuścili na brzeg, to oni szli tylko tak daleko w miasto, dokąd słychać było szum agregatów. No, panie, to takie chyba odchylenie jakie, panie, będzie? Ale dobrze. Ja lubię tych, panie, wariatów. Dlatego nigdy na statku nie miałem z nimi kłopotów. Z maszynownią, panie, ma się rozumieć. Ot, docenić człowieka, panie, to i on się, panie, panu dobrze odwdzięczy.

Kolejna lekcja morza – zaliczona.

Nigdy od obu panów nie usłyszałem słów zachwytu czy wzruszenia faktem, że pływali, że spełniali swój młodzieńczy sen. Mówili o ludziach i statkach. O portach i burdelach, których elegancja i profesjonalizm dawał się porównać z porządkiem, jaki panował na dowodzonych przez nich statkach.

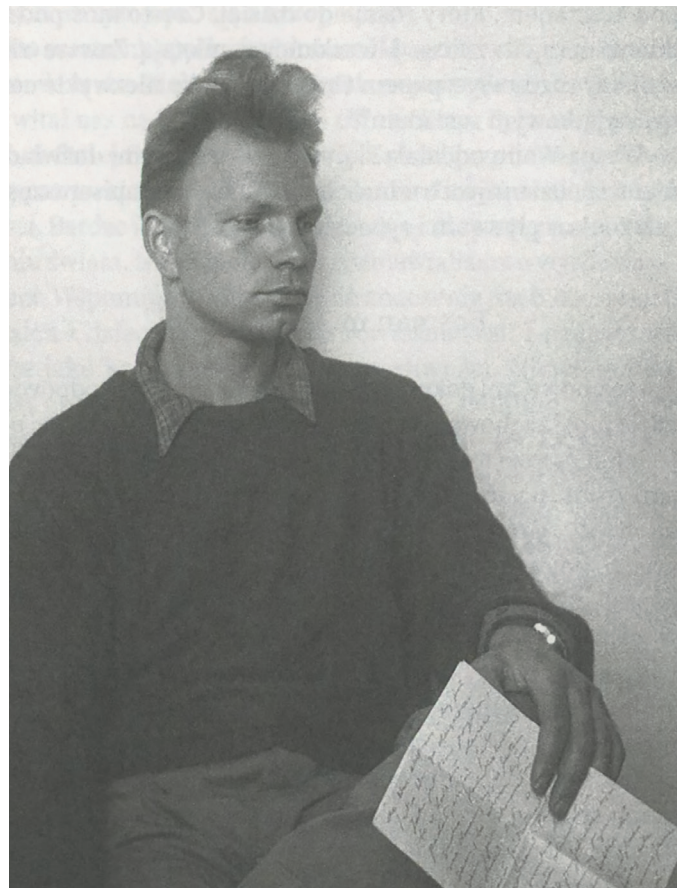
Ile to lat od tych i wielu innych, podobnych spotkań minęło?

Wzrusza mnie w dość szczególnym znaczeniu tego słowa dzisiejsza optyka patrzenia na marynistykę, która chyba szczęśliwie legła wygodnie na morskim dnie. A przynajmniej powinna była tam się znaleźć.

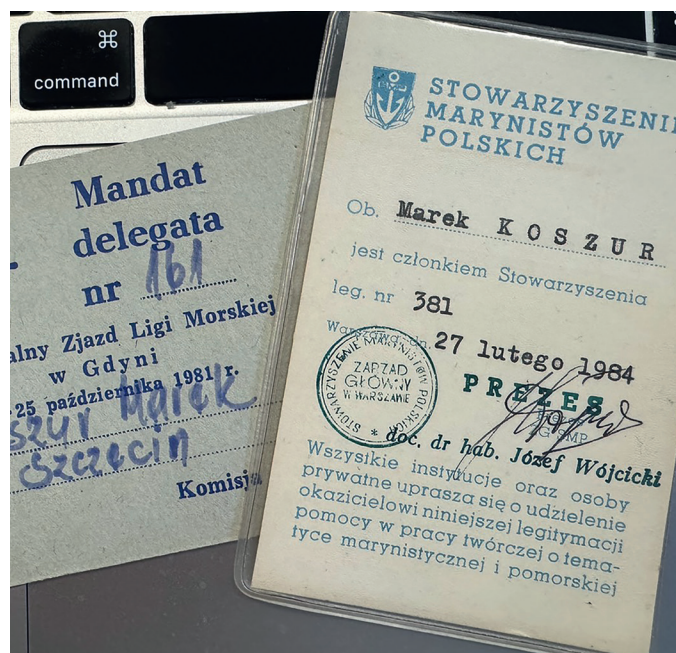
Ewa Zamorska-Przyłuska w książce „Wyspa Rybaków”, sprostowanej niewydanej, a uhonorowanej nagrodą literacką książką Gracjana Jordana – „Świat niewidomy”, otwierająca zamierzoną trylogię „Skala Beauforta” zebrała materiał źródłowy, pokonkursowy, odnoszący się do odnalezionej przez nią książki Jordana.

Wojciech Myślenicki tak o książce pisał:

Autor powieści jest najwidoczniej nowicjuszem w kontaktach z morzem. Wszystko tu wzbudza jego ciekawość, podziw, zdumienie. Zafascynowany morzem, opisuje wszelkie jego uroki, a już z wyjątkową przyjemnością zaangażował się w odtwarzanie grozy niebezpieczeństwa sztormowego i z wielką ekspresją stara się wyrazić żywiołową potęgę morza. Znaczną część powieści zajmują opisy morskiej burzy, spienionych fal i zmagania kilku rybaków, zagubionych na łodziach w czasie sztormu. Niektóre sceny napisane sugestywnie, ale w sposób raczej stereotypowy. Niektóre fragmenty, pisane z wyraźną chęcią okazania znajomości realiów pracy na morzu, terminologii i zawodowego żargonu – **rażą sztucznym nagromadzeniem słownictwa technicznego i zdeformowanego słownictwa obcego**. Przykład: ‘Od dwóch dni wiał złośliwy ost – west, skręcając ku ostrowi’. Ten złośliwy ost staje się komiczny, gdy autor pisze, że coś się dzieje ‘przy groźnym oście’. W nieprecyzyjnej rozwichrzonej prozie Gracjana Jordana odczuwa się niewątpliwy temperament pisarski. Powieści tej zdarzają się też ciekawe spostrzeżenia i skojarzenia z kręgu życia rybackiego. Za dużo w tym jednak programowej marynistyki, epiki a za mało opanowania rzemiosła pisarskiego i poszukiwania własnych środków wyrazu artystycznego.



Gracjan Jordan w łódzkim mieszkaniu przy ul. Jaracza 21, trzyma w ręku list do ojca, 1961, Fot. Leszek Jordan



Zdając sobie sprawę z niedoskonałości swojej prozy, autor pisze: ‘niech sens życia ludzkiego, którego w zmaganiach z morzem szukają ci ludzie, zastąpi nieudolności warsztatowe tej książki’. Trudno zgodzić się na taką propozycję. Trzeba jednak stwierdzić, że – mimo wszystkich zastrzeżeń – powieść **Gracjana Jordana jest zapowiedzią dużego talentu pisarskiego.**”

Autorka przywołuje opinie innych recenzentów. Tę, wygłoszoną przez Ireneusza Gwidona Kamińskiego – pominię. Ówczesny prezes szczecińskiego oddziału ZLP był wdzięcznym rozmówcą. Rzadko, a wobec młodego reportera, nigdy nie schodził z kursu poprawności politycznej. Przysmykał oko na stylistykę schematów i komunałów w rodzaju: „dwie łodzie trzymające się razem walczyły z falą”.

Autor „Świata niewidomego”, w rozmowie z Stanisławem Marią Salińskim dość niezręcznie starał się być totumfacki wobec kapitana i pisarza.

Jordan: Nazywają pana seniorem marynistów. Pływał pan po morzach tropikalnych. Ja urodziłem się kilkadziesiąt lat po panu i pływał po Bałtyku. Czy zgodzimy się z tym, co mówią o dzielącej nas różnicy pokoleń?

S.M. Saliński: Kiedy targałam kotwicę na Morzu Ochockim, bolały mnie ręce tak samo, jak pana przy ciągnięciu oblodzonych sieci na Bałtyku. Czas, epoka, różnice warsztatu pisarskiego są nieistotne. Istotne są nakazy wewnętrzne rządzące pisarzem. Obaj chcemy jednego: ukazać w naszych książkach morze i ludzi morza tak, jak ich widzimy i czujemy. Morze jest zawsze to samo. Nie ma różnicy pokoleń”.

Marynistą jest więc ten, kto... O, nie. Już się nie dam wciągnąć w te rozważania. Rozdział zamknijmy.

Wyobrażam sobie... Siedzimy na plaży, a przed nami... morza już nie ma... Jeśli ktoś z Państwa je widzi, to są to tylko omamy. Morza w naszym życiu już nie ma.

Słone słowa



To oczywiste. On wiedział o wszystkim. Mógłby jednym przecinkiem zmienić ludzkie losy. Książd w konfesjonale tylko wysłuchuje, nakaże pokutę, jej wypełnienia nie sprawdza. On – był studnią pełną nie jego problemów. Żył nimi. Z oczu adresatów depesz wyczytywał wszystkie niepokoje. Radiooficer.

Igła w morskim stogu siana

- Ciasno tam u mnie było, jak zresztą w każdej dziurze na statku. Z początku bardzo źle znośm tę praktycznie dwudziestoczworogodzinną, ciągłą wachtę. Siedzę wpatrzony w urządzenie. W odbiorniki krótkofalowe, ze słuchawkami ustawionymi na max, z lichym głośniczkami, który skwierczał, trzeszczał, gwizdał... I tylko co jakiś czas dawało się usłyszeć słowo, może nawet jakieś westchnienie. Igłę w stogu siana łatwiej znaleźć niż poprzez burze magnetyczne usłyszeć głos, którego brzmienie było silniejsze niż dynamit, a zarazem działało niczym oliwa wylana na wzburzone morze.

Tak zaczynał się niedokończony reportaż sprzed ponad czterdziestu lat. Powód? Milion. Który z nich – po przeczytaniu tego tekstu uznaliby Państwo za usprawiedliwiony? Cenzura nie miała decydującego wpływu na zamknięcie tej historii. Tym bardziej, że niektóre fragmenty dopisałem już po 1989 roku. Dziś nie ma tematów tabu. Wtedy, po prostu, nie o wszystkim się pisało.

- Ile nocy nie przespałem? Nie wiem. Niech mnie pan też nie pyta, czy tę lub inną depeszę oddałem adresatowi nie-

zwłocznie. Cały statek wiedział, że chodzi jak dynamit. Miota się, sam siebie pazurami trzyma za twarz, żeby nie wyskoczyć za burtę. On był zdesperowany. Wierzył, że skacząc, szybciej przeplynie Atlantyk i wróci do domu. Do niej. Śmiali się koledzy: złap taksówkę! Ja tego nie doświadczyłem, ale podobno takie przypadki się zdarzały: marynarz wychodził na pokład z walizką w rękę, stał przy furcie w miejscu, gdzie montuje się trap zejściowy. I czekał, właśnie na taksówkę. Na środku oceanu... I co? Miałem tak po prostu wyjść na pokład, przeciągnąć się, stanąć w słońcu i zawołać: trzeci (trzeci oficer – podkr. – M.K.), twoja kobieta od ciebie odeszła. Masz, czytaj, przysłała ci telegram. Na innym statku stary zatrzymał mnie przed wejściem do mesy. Nie odezwał się słowem. Ja też nic nie powiedziałem. Po chwili skinął lekko głową. Ja nie drgnąłem. Paska z dalekopisu nie musiałem mu już zanościć.

Dalekopis

To już była nowoczesność i dowód w postaci taśmy perforowanej lub wydruku. Wcześniej, radiooficer zapisywał na kartce, w zeszycie dziennym oficjalne meldunki przekazywane drogą radiową, prognozy pogody, polecenia armatora. Treści telegramów dla marynarzy nosił w oczach.

- W pewnym sensie skłamałem, że znam alfabet Morse'a. To znaczy – znałem, ale nie miałem praktyki jako radio. Normalnie kapitan sprawdzał kandydata osobiście. Mnie uwierzył na słowo. W ten sposób jako absolwent Szkoły Morskiej w Tczewie - zamustrowałem na statek szkolny „Lwów” w charakterze radiooficera. Szedłem do kabiny radiowej, a pokład palił jakby był z rozżarzonych węgla ułożony.

Żona kapitana Milewskiego wniosła tacę z filiżankami herbaty. Gospodarz chciał sięgnąć po jedną z nich, ale ona uprzedziła męża i sama postawiła przed nim gorący napój. Zobaczyłem, jak bardzo był zdenerwowany.

- Sam pan widzi – powiedziała. – Mąż jest już tyle lat na emeryturze, przepływał całą wojnę, ale tej jednej historii nie może zapomnieć.

W przygotowywanej książce o pierwszym pokoleniu polskich oficerów marynarki handlowej tak wydarzenie to opisałem:

„Rok 1925. Ruszyli w rejs na Morze Śródziemne. Kapitan Mamert Stankiewicz już w Cieśninach Duńskich polecił radiotelegrafście nadać dwie pilne depesze do Polski. Mijały godziny. W eterze ciągle duży ruch. Władysław Milewski nie mógł wcisnąć się do kolejki. Brak doświadczenia... Wreszcie nawiązał łączność. Ale po paru chwilach operator z lądu przerwał przyjmowanie telegramu i poprosił o zmianę radiotelegrafisty na statku. Nic bowiem z przekazanej treści nie mógł zrozumieć. Zaszyfrowane w kreski kropki słowa wydawały mu się pozbawione sensu.

– No to kłapa! – pomyślałem. – Pójdę zameldować kapitanowi i niech mnie wysadzi w najbliższym porcie.

Milewski wyszedł na pokład i niemal tuż przed kabiną kapitana spotkał Stacha Koskę.

– Uspokój się chłopie – mówił ojciec Kosko. – Nie jesteś winny, że Duńczyk był na tyle leniwy, by sprawdzić, że w języku polskim istnieje „rz” czy też „cz”. Wypal papierosa, wypij lampkę koniaku i nadaj jeszcze raz.”¹

¹ Fragment z książki „Pierwsze wy nauczycie, pierwsze okrężniki”. Marek Koszur, www.koszur.net, Szczecin, 2021

- Nigdy w życiu niczego nie nauczyłem się tak szybko jak obsługi telegrafu. Wie pan, to był jakiś amok. Nie wie sam – strach czy wstyd? Że skłamałem? Z drugiej strony wiedziałem, że jeśli źle odczytam depeszę od armatora i na przykład statek popłynie do innego portu niż było to w dyspozycji telegraficznej, to ja z więzienia nie wyjdę do końca życia.

Vice-vice Bogowie

Oni, radiotelegrafisci, byli tymi „drugimi” po Bogu. W czasie wojny to od ich kwalifikacji jakże często zależało życie statków i załóg.

- Rok 1943. Kurs w Anglii był krótki. Panowie albo się uczycie i mustrujecie, albo głowy nie zawracajcie i babie spod spódnicy nie wylazcie. Na „Pioruna” trafiłem z marszu. Szybkie wyjście w morze. Akcja. Nie znam aparatury. Stroję, dopasowuję słuchawki, przeglądam książki kodowe. Próbuję się wpasować w miejsce. Za plecami burta, pod stopami prawie dno. Szum, rezonans, ale najlepiej słyszalne było bicie serca. Ja ledwie skończyłem osiemnaście lat! A pan, panie redaktorze, co pan robił w wieku osiemnastu lat?

Rozmawiamy o pływaniu po otwartym Atlantyku i w wodach fiordów norweskich. Tadeusz Piktel zastrzegł, że tę część jego relacji wolałby ominąć, chyba, że...

- ...że minie tyle czasu, aby moje tu do pańskiego mikrofonu zeznania nie sprawiły nikomu przykrości, albo... zresztą, to pan jest reporterem i sam musi wiedzieć, co można publikować, a co nie. Nie idzie o to, że ja się czegoś obawiam. Tylko myślę sobie, że gdyby koledzy, mimo, że od wojny ponad trzydzieści lat już minęło, mogliby z moich słów trochę inny wizerunek tamtych dni i ich spraw sobie zbudować, w które jako radio miałem wgląd – to mogliby mieć jakieś pretensje? A oni mieli do mnie, do nas bezgraniczne zaufanie. Oni – bywało – mówili: jak dostaniesz połączenie, a ja nie będę mógł przyjść, to powiedz jej, że...

Powiernicy z urzędu

Byli powiernikami i stresy kolegów w sobie kumulowali.

- Nie odważyłbym się nigdy przekreślić słów, czy przekazać treść wiadomości niezgodnie z zapisem, jaki odebrałem przez radio. Ale sam pan wie, że można jakieś słowo powiedzieć na milion sposobów, z różnym akcentem i intonacją. Marynarz wżera się w telegram jak w otchłań, która nie ma końca. Chyba nie spotkałem człowieka, który na wiadomość, że dostał telegram, reagowałby entuzjastycznie. Radośnie. Owszem, też, ale zawsze dominowała nuta niepokoju...

Pytałem o sprawę intymne.

- Trudno mi o tym opowiadać. Depesza to depesza. A tu, w ciasnej kabinie, siedzę z twardzielem, który na morzu spędził kilkanaście lat i jestem świadkiem jego wzruszeń. A co pan myśli... Jesteśmy drugi miesiąc w morzu. Żadnych listów. I jest w miarę dobra łączność na fonii. Przez te gwizdy, trzaski, wzbudzenia, podążamy za zanikającą falą. Wróci? Uda się dokończyć rozmowę? Misterium zaczynało się od komendy operatorki z lądu: Halo taki a taki statek, proszę mówić! I cisza. Trącam go w bok. Sam się odzywam: halo. Wtedy z drugiej strony odzywała się ona: halo, słyszysz mnie, halo? Tak, słyszę, a ty mnie? Słyszę... I bywało – nie byli w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa więcej. Znow się wtrącałem i wołałem z boku: co tam w szkole u dzieci? Wtedy pękał mur milczenia; on i ona zaczynali ze sobą rozmawiać.

Każda rozmowa, każda depesza kosztowała. Poza tym – było niepisane prawo 2-3 minuty. Bo inni czekają. Cała flota rozsiana po ogromnym świecie.

Jedyny morski zaimek osoby: ona

Kobieta dla marynarza, w długim rejsie, to... Kobieta.... Kobieta jest.... Ona... Hm... Coś za gardło chwytało, jakaś bariera się pojawiała, natłok wspomnień, obrazów, emocji?





- Oni mitologizowali swoje żony. Nasze kobiety, po prostu. Ale najtrudniej było rozmawiać z matką. Wymiękali. Co do jednego. Ale, żeby w tych rozmowach o coś konkretnego chodziło. Nie. Oni nic nie załatwiali. Oni – jak ja mam to panu powiedzieć – oni musieli siebie nawzajem usłyszeć. To tak jakby włączał pan nagle światło w absolutnej ciemności. Wokół jedynie horyzont, a w głowach – tylko one. Ich kobiety.

Połączenia nawiązywane były o nieoczekiwanych porach. Marynarze byli na wachcie, wciągali sieci na pokład, pracowali w przetwórni. Radiooperatorowi zostawiali depesze. W nich parę zdań, kilka słów. Radiooficer musiał w ich imieniu wyznawać albo zapewniać o miłości, przekonywać, że tęskni. Że już kupił ten drobiazg, na którym jej tak zależało. Radiooperatorzy ze stacji brzegowych angażowali się w te wszystkie sprawy w nie mniej życzliwy sposób. Sam doświadczyłem ich uprzejmości.

Staliśmy dwa tygodnie w lodach Arktyki. A miałem dostać mieszkanie. Przydział należało natychmiast potwierdzić, w przeciwnym razie, mieszkanie wracało do puli. Sto razy dziennie pytałem radiooficera – masz coś dla mnie? Nie doczekałem się na połączenie. Nie znałem decyzji komisji mieszkaniowej. Ale tak, potwierdzam, choćby to był domek na kurzej łapce, to borę go! Ale jak przekrzyścić nadchodzącą noc polarną? O wszystkim wiedziały tamte panie. Załatwiły sprawę za mnie czy też w moim imieniu. Potwierdziły.

Gesty dźwiękowe

K.W. opowiadał, że najtrudniejsze były meldunki o stratach.
- Co innego oficjalny tekst. Po prostu – raport albo meldu-

nek. A co innego ta dwusekundowa cisza... Nie mogłem przecież powiedzieć wprost, że mi przykro, że on... że... „ku chwale Ojczyzny”. Ale zdradzało mnie to westchnienie czy przełknięcie śliny. Nam, radiooficerom nie wolno było prowadzić rozmów nieformalnych. Emocje przekazywaliśmy gestami dźwiękowymi.

Eksplzja wyobraźni

Z Jerzym spotkałem się dziesięć lat po stanie wojennym. Przyjechał do Warszawy. Miał już nową rodzinę, kolejne dzieci i wielki biznes medialny. Wżenił się w koncern wydający najpoczytniejsze europejskie magazyny dla kobiet.

- Milczałeś. Tyle tygodni! Aż któregoś dnia ze skrzynki pocztowej wyjąłem kartkę, chyba z Wenecji. Bez podpisu. Ale natychmiast rozpoznałem charakter twojego pisma. Milczałeś tyle czasu!
- Było tak... Radio wpadł na mostek. Coś się w kraju dzieje – mówi. Do rana – pełna nerwowość. Wszyscy nasłuchiwali w kabinach, biegali po radiowych skalach. Nie ma Jedynki, która nadawała na falach długich. Jest Wolna Europa, Głos Ameryki, BBC... Serwisy informacyjne jakieś takie, jak zmrożone ciasto w lodówce. I nagle: stan wojenny. Stan wojenny? A co to? O czym ty mówisz, radio, opanuj się! W pierwszej chwili byliśmy zdezorientowani, potem zdenerwowani, a jak przyszła bezsilność to zaczęły się dramaty. Z radzikiem kolegowałem się od dawna. Poprosiłem – nie mów mi nic, co może mnie zabić. A ja nie zapytałem cię o nic, co mogłoby naruszyć twoją dyskrecję. Ale błagam, mów, co wiesz, a o czym nie mówisz. Przecież tylko ty masz łączność z krajem.

Jerzego znałem od kilku dobrych lat. Chyba się trochę przyjaźniliśmy. Dużo, długo i o najtrudniejszych sprawach rozmawialiśmy. Nie, nie chodziło o ulotki. A o konkretne teksty. O czym pisać? Co ludziom mówić. Sami niewiele wiedzieliśmy. On miał kontakty z podziemiem.

- Chodzisz do komitetu, masz ich biuletyny, znasz ich, rozmawiasz z nimi. Oni mają wszystkie kanały informacyjne, mają łączność. Rób z tego syntezę. Zwracaj uwagę na szczegóły.

Dziś wiem, że ta konspiracja miała umiarkowany sens. Życie i polityka przypominało luźno rzucone kule bilardowe. Nie było w tym rozgardiaszu żadnej logiki. Były emocje. Cholerne napięcia i obawa. Jerzy miał zacięcie dziennikarskie. Był entuzjastą Conrada. Mówił, że dla niego tak perfekcyjnie nauczył się angielskiego. Chciał pisać książkę.

- Siedzimy w najelegantszej kawiarni warszawskiej, za chwilę każdy wsiądzie do swojego samolotu. Mamy w walizkach przenośne telefony. Pewnie niedługo będą one wielkości karty kredytowej. Masz już taką? W każdej chwili możemy sprawdzić, co dzieje się na świecie. **Ta powszechna dostępność do informacji zabija wrażliwość na nowe wiadomości.** Zbyt wiele ich otrzymujemy. Ale wtedy, w grudniu, gdy panowała cisza w eterze – najmniejsza informacja trafiała w kumulację emocji. Pach! I byłeś trafiony. Jak pamiętasz, miałem pod opieką studentów. Wojna w Polsce – mówię im. A my na środku Atlantyku. Zagotowało się... Dlaczego nie wracamy? Czy już wracamy? Ne, ja nie wracam. Ja wracam, będę walczył. Ile takich reakcji wymyślisz, wszystkie ci potwierdzę. Oto jeszcze jedno oblicze uroków pracy na morzu. Moja dziewczyna jest w ciąży – woła jeden z chłopaków. Powinienem w najbliższym porcie wysiąść i wracać do



kraju. Ale czy mnie wpuszczą? Co odpowiedziałbyś takiemu dwudziestolatkowi? Inny mówi – nie wracam. Zapudłuj mnie. W domu pod łóżkiem mam dwa kartony ulotek. To pod sąd wojenny pójdziesz – odezwał się inny, gdy wieczorem przesiadywaliśmy w mesie, zastanawiając się, co robić? To stan wojenny, a nie wojna. Ale i tak podlegasz pod jurysdykcję wojenną. Masz kartę mobilizacyjną? Pójdziesz na front. A tam masz „czapę” na dzień dobry. Głupiś! Ty jesteś głupi. Mało z ciebie. I już skakali sobie do gardeł.

- Przecież mieliście radiową łączność z agentami armatora?
- Łączność tak, ale nie połączenie. Rozmawialiśmy jak automaty. My, na uginających się kolanach a oni, agenci lub pracownicy biura w centrali zachowywali się tak, jakby mieli gumowe kręgosłupy. Rozmowy były na podsłuchu. W każdej chwili każda mogła być przerwana. A co oznacza przerwanie rozmowy?
- Eksplozję wyobraźni...
- I sam widzisz.

Odbezpieczony granat

Pytałem Piotra, z którym wiele razy podróżowałem.

- Stary, ja nigdy się polityką nie zajmowałem. Ja po prostu siedziałem w niej po uszy. To znaczy – w dyplomacji. Jak zrobić coś, żeby się nikomu nie narazić. Zazwyczaj miałem pełny samolot rybaków po 6-7 miesiącach w morzu. Taka ekipa to odbezpieczony granat. Każda duperela była dobrym pretekstem do awantury. Za poduszkę do spania miałem mój notes, a w nim logistykę podmian lotniczych załóg rybackich. Jakikolwiek odskok od harmonogramu groził katastrofą logistyczną. Samoloty nie będą na ciebie czekały. To nie tramwaj, że następnym za kilka minut pojedziesz.
- Ja, skoro o tym mówisz, na tydzień ugrzęzłem w Portugalii. A do Polski mogłem wrócić jedynie samolotem lądującym w Pradze. Taki rejs odbywał się tylko raz w tygodniu.
- Ty byłeś sam, a ja miałem dwustu, trzystu rybaków, po sześciu miesiącach w morzu... Człowieku! Nie ma takiej ilości wódki na świecie, żeby ich stres utopić. Oni chcieli jechać do domu. Tak było uzgodnione. 180 dni nie myśleli o niczym,

tylko o tym czwartku. 16.30, lądowanie w Goleniowie. Rozumiesz? Nic nie miało znaczenia tylko ta 16.30.

Na łowisku dalekomorskim, wtedy, radio szukało sygnału z brzegowych stacji radiowych przez dwie, trzy doby. W Arktyce – burze magnetyczne na wiele dni wykluczały nawiązanie łączności.

Tatusiu, gdzie jesteś?

Kiedyś rozmawiałem z córką, żoną i matką kapitana. W jednej osobie.

- Miałam dwóch chłopców. Mąż był gdzieś na końcu Ameryki Południowej. Zima. Stan wojenny. Ja widziałem z okna wojskowe samochody, które zablokowały skrzyżowanie. Kontrolowano każde auto. I któregoś dnia nie przepuszczono do mnie ojca, który szedł z prowiantem do mnie. A chłopcy mieli po kilka latek. I dzwoni telefon. Szczecin Radio. Nogi się pode mną ugięły. Co ja mam mu powiedzieć, przecież zapyta – co się tam dzieje? Akurat pierwsze słowo jakie usłyszałam to było: żyjesz! I tyle było naszej rozmowy. Ani ja nie zdobyłam się na nic więcej, ani on nie dopowiedział nawet pół wyrazu. Żyjesz! Ja ciągle słyszę to słowo, chronię to wspomnienie, ono wraca do mnie po kilka razy dziennie.

Inna relacja.

- Ten młodszy synek wychodził na balkon, chwycił rączkami górną część barierki i próbował się podciągnąć. Nie dawał rady. Więc stawał na paluszki i wołał na cały głos: tatusiu, tatusiu, gdzie jesteś, ja tak za tobą tęsknię, tatusiu, wracaj do mnie! Mój synek był dzielny, to ja ryczałam jak dziecko, płakały też moje sąsiadki. Mijałyśmy się na spacerze, w sklepie, na schodowej klatce. A on wołał: tatusiu, tatusiu, gdzie jesteś...

Oczy statku

Na statku silnik miał prawo się zepsuć. Kuchnia mogła nie wydać obiadu. Kapitan – przepraszam – postradać zmysły, ale aparatura radiowa nie mogła odmówić posłuszeństwa.

- Po iluś latach, bywało, wstawałem z koi, szedłem do kabiny radio i sprawdzałem, czy wszystko działa. Nie musiałem tego robić, a robiłem.

Awaria, choroba, sztorm, kolizja na morzu. Pierwsza reakcja – powiadomić armatora. Ale jak ująć w niekiedy ledwo słyszalne słowa treść wydarzenia? Jak nakreślić sytuację, by służby lądowe mogły wydać załodze trafne dyspozycje? Przekaz musiał być klarowny, jasny, techniczny, wyzbyty emocji.

- Zbliżaliśmy się do Przylądka Horn. Wał postukiwał głośnie. Niby nic nie było słychać, ale ludzie porozumiewawczo spoglądali na siebie. Bo ten rezonans się wyczuwało. Ja czekałem na kapitana, a kapitan spoglądał na mnie. I nic. I tak kilkanaście godzin. W końcu poszedłem na mostek. Kapitan kątem oka zauważył, że wszedłem, zrozumiał, że za chwilę stracę łączność i będziemy zdani tylko na siebie. Ok, powiedział, proszę poinformować, że wracamy do Montevideo.

Kapitan Krystyna Chojnowska-Liskiewicz mówiła mi, gdy na Atlantycki Festiwal Filmowy przygotowywałem film o jej rejsie, że... martwiła się o męża.

- Jak tylko miałam łączność, przypominałam mu, że w szafie ma wyprasowane koszule. Ale radia używała przede wszystkim do nasłuchu i odbioru komunikatów pogodowych, ostrzeżeń nawigacyjnych. Inni samotnicy podkreślali, że radio, przełączone na kanały ogólne pozwalało im powracać do świata realnego. A ten przecież składał się nie tylko z pokładu, mesy czy mapy nawigacyjnej, bo troska o bezpieczeństwo zamykała ich świat do tych podstawowych wymiarów.

Kiedy Ludomir Mączka wpadł całkiem nieoficjalnie na wigilię do Szczecina w czasie trwania jego rejsu „Marią”, zainteresował się moim magnetofonem reporterskim.

- Cudeńko!

- Nie tak doskonałe, jak twoja radionawigacja na jachcie – powiedziałem, bo akurat przed chwilą opowiadał szefowi szczecińskiego WOPR-u, Jerzemu Bakule o tym, że antena nadawcza jest na „Marii” za nisko zamontowana, i gdy delfiny zaczną skakać, to przesłaniają sygnał radiowy. Żarty miały przykryć niedoskonałość sprzętu.

- Jak tak sam siedzisz tyle czasu i nikogo nie spotykasz, to słuchasz głosu różnych ludzi i sobie ich wyobrażasz. A jaka ona jest, a czy tęga? Może blondynka? O, i jak ładnie mówi po hiszpańsku. Lubię język hiszpański.

Bakszysz emocjonalny

Radio. Czy jest na świecie inny wynalazek, który ma tyle odniesień, zastosowań, funkcji?

Radiooficerowie nie opływali w bakszysze. A że byli na statku traktowani specjalnie – to prawda. Oni, proszę tej informacji nie powtarzać – nie byli uważni za marynarzy. Wielu nowicjuszy w marynarskim zawodzie odebrało dobrą lekcję, gdy próbowali się odzwajemnić za przesunięcie w kolejce na połączenie z domem, za szybkie dostarczenie telegramu, gdy tylko ten zostanie odebrany, za wymazanie z pamięci punktu przerzucenia przez płot paczek z džinsami, aby precyzyjnie trafił tam szwagier, który pod osłoną nocy, rozklekotaną syrenką podjedzie po odbiór przemytu.

- Też mi, wielkie słowo. Jaki tam przemyt. Ot, zwykły bonus do tej cholernie ciężkiej i odpowiedzialnej pracy! – zareagował pewien ochmistrz.

Godzina łączenia z krajem była ważniejsza od dzwonka na Anioł Pański. Wszystkie marynarskie drogi jakoś dziwnie się o tej porze krzyżowały przy kabinie radiooficera.

- Masz fajkę?

- Trzymaj...

- Jak propagacja?

- Pod psem. Może za godzinę będzie lepiej. Teraz nie ma szansy...

Ale już ta wymiana zdań koła wycie tęsknoty, osłabiała zniecierpliwienie, doładowywała zasoby cierpliwości.

- Wcale nie musiałeś znać alfabetu Morse'a - kiedyś żartował jeden z radiowców. - Liczyła się psychologia. One zawsze pisały to, co oni chcieli usłyszeć. Mogłeś w ciemno kreować treści: bardzo tęsknimy, kochamy cię mocno, czekamy powrotu, uważaj na siebie. Oni, twardziele, udawali prokuratorów: wszystko w porządku, jak dzieci? Co u ojca, pieniędzy wystarczy, byłeś u lekarza, przyjeżdż do Gdyni, bo tam idziemy pod wyładunek.

Nie treść rozmów, a tych kilka minut bliskości, głębokich oddechów, westchnień, banalnych kwestii działało ozdrowieńczo na ich dusze. Światy emocji spotykały się w kabinie radio, w tej filharmonii szumów i trzasków..., gdzie w półmroku, przy podświetlonej skali radiostacji panowała atmosfera na swój sposób rapsodyczna, misteryjna i nierealna. Słuchawka odbiornika krótkofalowego – mieściła więcej energii niż cały wszechświat w swoich grawitacyjnych magazynach. Kiedyś, na morzu, od radia zależało wszystko. Ludzie tak bardzo geograficznie od siebie oddaleni, na tych kilkanaście sekund łączności byli sobie bliżsi niż gdyby pozostawali w uścisku i pocałunku.





Promenada Aniołów

W chwili, gdy ich mijalem, Ona okrywała chłopca kawałkiem Nieba, z małymi chmurkami, które niosły dziecku błogi sen. Kocyk był malutki, ale splecione na plecach chłopca ramiona Mamy domykały zatokę spokojnego snu.

On, w tym samym czasie usiłował dziewczynce o złocistych, rozsypanych się włosach nałożyć czapkę i dotulić pledem z wielkookim potworem, który zapewne jest najlepszym przyjacielem Jego córki.

Minąłem ich pośród nielicznych spacerowiczów, wysuwających głowy z kurtek i szalików w stronę pierwszego chyba w tym roku tak słonecznego południa na międzyzdrojskiej promenadzie nadmorskiej. Cudowny dzień!

Minąłem ich, ale... zdołałem ujść może dwieście metrów?

Ich widok był tak rozczulający, że nie byłem w stanie iść dalej. Zawróciłem i bez słowa stanąłem przed niezdradzającą najmniejszego zdziwienia parą, która - jak ulotna chwila uchwycona dłutem Rodina - promieniowała wprost niezwykłą, wewnętrzną pewnością siebie. Czekali na mnie...?

Podobny przypadek zdarzył mi się niemalże w tym samym miejscu, ale wiele lat wcześniej. Wtedy również spotkałem, ale na całkowicie pustym, mroźnym, szklistym od natychmiast zamarzającego deszczu trakcie spacerowym młodego człowieka. Stał oparty o balustradę, skąpo ubrany, zapatrzoony w zamarznięte i znużone morze, które nie pozwalało mu, wspomagane ciężkimi chmurami dostrzec to, co wspomnienie wyciągało z pokładów najbardziej chronionych zakąt-

ków szczęścia. Może to była twarz dziewczyny, może dom rodziców, może kraj rodzinny? Tamten człowiek... śpiewał. Nie rozpoznałem, w jakim języku? Ale śpiewał tak, że w promieniu widzialnego świata wszystko zamarło. Żalostna, pełna nieukojonego żalu pieśń niosła się przez pustą promenadę. Dlaczego ja musiałem właśnie w tej chwili iść tą drogą? Co oznaczać ma moje z tym człowiekiem spotkanie? Minąć go i iść dalej? Zatrzymać się? Ale po co?

Przystanąłem. W odruchu, który przez lata doskonalił we mnie mój zawód, zacząłem robić zdjęcia. Uruchomiłem kamerę. Mężczyzna śpiewał nie zwracając na mnie uwagi. Podszedłem bliżej. Ale przekroczyłem chyba tę niewidzialną linię dopuszczalnej intymności. Zawstydzony, natychmiast schowałem kamerę. Ta bliskość i dopuszczenie mnie do pewnej bezpośredniości sprawiły, że poczułem lekkie zawstydzenie i zakłopotanie. Wtedy on odwrócił się w moją stronę, spojrzał na miniaturową kamerę i kilka razy, akceptując pokiwał głową. Swój żal – już wyśpiewał, teraz dzielił się ze mną swoim talentem, głosem, pieśnią. Zapewne artysta, albo człowiek dostatecznie świadomy, że jego śpiew musi wzbudzać podziw.

Zamilkł. Znow spojrzeliśmy sobie w oczy. Chyba on pierwszy wyciągnął dłoń. Pożegnaliśmy się. Ledwie uszedłem kilka kroków – znow zaczął śpiewać. Obejrzałem się. Ale... Ale nikogo już tam nie było.

Wtedy ten fragment traktu spacerowego nazwałem Promenadą Aniołów.

- Nie spadliście z nieba?
- Nie, z Opola wyjechaliśmy przed pierwszą w nocy, a tutaj, w Międzyzdrojach byliśmy około dziewiątej. I od razu przyszlismy na molo. Stamtąd pobiegliśmy do oceanarium i teraz ruszyliśmy na spacer tą drogą z widokiem na morze.
- Ale w pociągu dzieci spały?
- Trochę tak, ale były tak podekscytowane...
- ...bo pierwszy raz nad morzem?

- Tak. Jak zobaczyły, że tutaj jest tyle piasku, były bardzo ucieszone. Pobiegły na plażę.
- Na długo przyjechaliście?
- Jutro wracamy...

Pół świata po to, żeby kilka godzin spędzić nad morzem, na mokrym i nieprzyjaznym piasku, być może mocząc ręce w lodowatej wodzie? Chłopiec z wysiłkiem wciągnął powietrze. Jego sen wchodził w fazę głęboką. Dziewczynka, zdawało mi się, coś widziała pod powiekami, główkę odchyliła do tyłu, jakby szykowała się do jakiegoś skoku?

- Mąż pracuje w firmie zajmującej się spawalnictwem, a ja w gabinecie stomatologicznym. Staramy się mieć weekendy wyłącznie dla siebie.
- Ale dlaczego przyjechaliście tutaj, pół świata, dwie noce w pociągu, przy pogodzie, która szczególnie ze względu na dzieci nie da im tego co morze oferuje latem w nadmiarze – gorący piasek, wspaniałe fale...
- Miniony weekend byliśmy w Czechach. Chodziliśmy po górach. A tak się fajnie w tym tygodniu złożyło, że mieliśmy już wolniejszy piątek, więc mówimy – jedziemy nad morze. Od chwili, gdy dzieci stały się już dostatecznie samodzielne – staramy się każdą okazję wykorzystać na podróż.

Paweł i Agatka. Dwa i cztery latka. Córka chodzi do przedszkola, a chłopcem opiekuje się pani, która ma piątkę dzieci na przedpołudniowym wychowaniu. Takie domowe przedszkole.

- Maluchy muszą chyba protestować. Ciągłe nowe okolice, nowe pomieszczenia, inni ludzie, łóżka, w których muszą spać, takie nie ich...
- To są tylko nieuzasadnione obawy rodziców. Nasze dzieci świetnie się aklimatyzują. Bardzo się cieszą na każdą zapowiedź, że jedziemy na urlop. To dla nich wielka atrakcja.

Bywa, że niekiedy grymaszą podczas jedzenia. Nowe smaki, nieznane potrawy. Ale dają się przekonać. Ciekawa jestem, jak będzie tym razem.

- A po powrocie do domu?
- O, buzia im się nie zamyka. Wszystkim opowiadają, gdzie byli, co widziały. Są zachwycone. Pierwszymi powierniczkami są panie w przedszkolu. No, oczywiście babcią, dziadek...
- Kontynuują Państwo wzorce domowe, z własnego dzieciństwa?
- Nie. Nasi rodzice nie mieli żadnych warunków, aby nam zapewnić takie dzieciństwo. Bardzo ciężko pracowali. Może stąd bierze się ten nasz niedosyt świata? I pewnie dlatego zabieramy nasze dzieci i razem z nimi cieszymy się na każdą wyprawę. Nie wiem, co one z tych wyjazdów zapamiętają. Nie wiem też, czy te eskapady nie są jakąś formą naszej terapii...
- Tak, pewnych braków... – dopowiada Tata, przyspawany do córki, która – a obserwuję jej oczka – ciągle biega we śnie, pewnie głośno krzyczy, podrzuca mokry piasek, pochłania błękit morza?

- Co to jest... rodzina?
- Morze jakby wydłużyło fale słysząc to pytanie i podpłynęło niemalże pod samą wydmnę, a idący za naszymi plecami ludzie, jakby zwolnili kroku w oczekiwaniu na odpowiedź...

- Miłość.
- Kropka po tym słowie była największą jaką w życiu swoim zobaczyłem. Nie było nic, co można byłoby po tym słowie dodać. Tata tylko kiwnął głową.

- Jak się poznaliście?
- Jak? – Mama odwróciła się w stronę Taty. Miałem wrażenie, że to pytanie było najtrudniejszym, jakie kiedykolwiek im ktoś zadał





- Zналиśmy się... Zналиśmy... Od kiedy my się znamy?
- ... - Tata był równie zakłopotany.
- Od dawna się znamy. Przez znajomych się poznaliśmy. A co było tym momentem zwrotnym, Rafał? No powiedz?
- Nie wiem... Wszystko.
- Pewnie pisane było nam w gwiazdach – uśmiechnęli się oboje, maskując zakłopotanie, że ja mogłbym o tym nie wiedzieć.

Szybko rachuję w pamięci. Między nami jest odległość dwóch pokoleń. Ani razu nie padła w rozmowie kwestia ograniczeń, barier, przeszkód, które mogłyby uniemożliwiać wypełnienie Ich planu na życie. Po prostu – realizują go.

- Jesteście typową parą, tam, w waszym środowisku?
- Myślę, że chyba nie odróżniamy się zbyt... - bez przekonania mówi Tata.
- A ja mam inne na ten temat zdanie. To znaczy – wśród naszych najbliższych znajomych - mamy ludzi podobnie myślących. Ale w środowisku, w pracy – chyba jednak się wyróżniamy. Dlaczego? Bo udaje nam się łączyć pracę zawodową z życiem rodzinnym. Bardzo wiele osób nie uznaje rodziny za cel najważniejszy w życiu. Szanują, doceniają, ale mają inne priorytety.

Dzieci na ich kolanach, jakby połączone jakąś mentalną nicią wchodziły w kolejną fazę snu. Ręce rodziców chyba odczuwały mrowienie. Wszyscy lekko się poruszyli szukając nowej, wygodniejszej pozycji.

- Kładziemy duży nacisk na ich rozwój. Stawiamy na bibliotekę. Mamy w sąsiedztwie taką fajną bibliotekę. I dzieci doskonale wiedzą, kiedy zbliża się sobota – dopominają się, dopytują, czy pójdziemy dziś do biblioteki?
- Świetnie!
- Dzieci powtarzają to, co obserwują u swoich rodziców. Jak widzą, że mama czy tata czytają książki, to naśladują nas. Uważają, że to normalne, że tak musi być.
- Powtarza pani swoje wzorce rodzinne?
- Nie, ale mama zawsze powtarzała, że jej mama, a moja babcia, nieustannie czytała. Może to jest prawidłowość powtarzalna co dwa pokolenia? Dzisiaj nie wzięłam mojej książki, no bo musieliśmy maksymalnie ograniczać ilość bagaży. Ale

normalnie to książka lub czytnik zawsze są pod ręką.

- Nie obawiają się Państwo tego świata? Każdy dzień przynosi wcale nie optymistyczne wiadomości. Tam, u was, podobnie jak na Pomorzu – tyle się, słyszy teraz o sytuacji w Niemczech. AfD biegnie po władzę. Odradzają się demony przeszłości.
- Co możemy zrobić? Koncentrujemy się na naszej rodzinie.
- A kościół?
- Jesteśmy katolikami, aktywnymi, mamy fenomenalnego księdza w naszej parafii. Wyjątkowo przyjazny człowiek. Nasz proboszcz spaja całą naszą społeczność. Na nabożeństwa przychodzą ludzie z innych parafii.
- Parafia w Winowie pod Opolem jest tą jubileuszową, zgodnie z ustanowieniem papieża Franciszka. To dla nas wyróżnienie, zapraszamy – dopowiada Tata.
- Ale to co dzieje się w kościele...
- Ja to wiem, rozumiem, ale ja koncentruję się na wierze. My praktykujemy, wierzymy. To jest dla nas ważne.
- I podróżujecie...
- Tak, ostatnie cztery lata ciężko pracowaliśmy, budowaliśmy dom.
- Już stoi?
- Tak.
- Duży?
- Okazało się, że chyba za duży...
- To może dodatkowe miejsce na nowy pokój dziecięcy się znajdzie?
- Bez problemu. Ale także dla teściów albo dla mamy...

Patrycja i Rafał Pawletowie. A w ich objęciach: Paweł i Agatka.

Weekendowi turyści... Nie spadli z nieba na międzyzdrojskiej promenadzie, w Opolu, w górach czeskich, a kto wie, gdzie odnajdą je w przyszłym tygodniu i kolejnych, podczas rodzinnych wyjazdów weekendowych.

Ruszyłem w moją drogę.

Już uspokojony. Rzeczywiście... Jakby lżej mi się szło? Ciekawe, dlaczego? Dlatego, że takich ludzi tutaj spotykam? A może... może to ze mną jest coś... hm,... jakby to ująć...

Raporty Woźnego – seria druga

Data: 33 stycznia 2053 lub kiedykolwiek indziej.

Miejsce: Korytarz, a więc miejsce najważniejsze, czyli (prawie) wszędzie.

Osoby:

Mężczyzna - w każdym wieku, ale z braku któregośkolwiek na podorędziu - nieobecny.

Skulisko - niekiedy nawet w obecności nieobecne.

Zawsze mi się Pani podobała – dyskretnie zadowolona i bardzo rozedrgana wewnętrznie

Woźny

Wszystko zapomniałam...

Weszła tak mile niespodziewanie. Spojrzała mi prosto w oczy. Jak antylopa, błagająca o najmniejszy pretekst do... ucieczki.

- Wszystko. Najdrobniejszy nawet szczegół. I powiem panu – nie żałuję. Zapomniałam... Wszystko zapomniałam.

Poruszała się jak ktoś, kto stojąc przed lustrem spogląda na sfastrygowaną, nową garsonkę albo popołudniową suknię, przecież innej by już na siebie nie włożyła. Tymi gestami, trochę beładnymi, z trudem odpychała od siebie ciszę, bo ta odsunęłaby od niej wszystko, o co ona mogłaby się oprzeć. A o prawdę przecież nie chciała. Nie mogła! Zaciśnęła zęby, by prawda znów nie zawlekła jej za sobą do... początku.

Piękna kobieta. Odnosiłem wrażenie, że byłem, jak zawsze, pod wrażeniem jej gracji. Odczułem nawet pewne zakłopotanie. Skłoniłem się tylko, co pominęła mrugnięciem powiek wyrażając radość, że... że w ogóle kogoś spotkała. Czyli... mnie.

Wyobraziłem sobie... Kiedyś, w jakiejś galerii handlowej, szła przez długi pasaż, spoglądając na wystawy, ale żadna z nich jej nie interesowała. Jak ktoś, kto nagle, od niewyobrażalnie długiego czasu, z niewiadomych przyczyn błądzi po nie swo-

im świecie. Co ja tu robię? Miała świadomość, że do tamtego wymiaru wrócić nie może. Tyle lat! Nie umiałaby. Nie wie jak, nie ma odwagi i nie wyobraża sobie tego, by tamten ostatni dzień... był tylko wczorajszym. Uchwycić go w te piękne dłonie i wreszcie ukrócić męki, wbijając weń szpony tęsknoty.

Zauważyłem, że nienaturalnie wygina palce. Do tyłu, jakby były algami, pragnącymi ustawić się przeciw prądowi życia. Topielica ...?

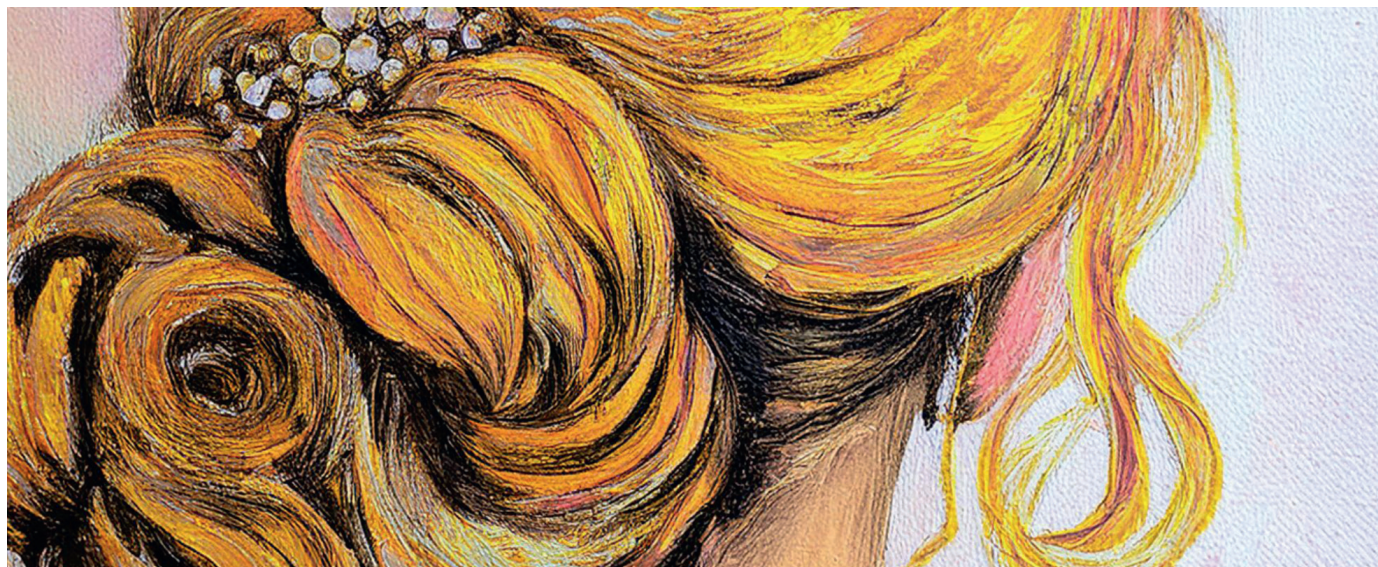
Dużo mówi. Do siebie. Każde nowe doświadczenie i słowo wykorzystywała do utkania szczelin w pamięci. Przecież to wszystko, to... to nie tak miało być!

Lekko rozchyliła kurtkę... Nerw lewego policzka ściągnął kącik wargi w dół.

Zastanawiałem się, od czego miałbym zacząć raport z tego spotkania. Ona była... jak ostatnie jabłko delikatnie zerwane z drzewa przed pierwszym porannym przymrozkiem. W ostatniej chwili.

- Żyłam bardzo intensywnie, całkowicie skoncentrowana na pracy, teraz – na najbliższych. Aa... - pewnie pan zapyta - wnuczęta? Moje szczęście! Mam nadzieję, że o takiej babci zawsze marzyły. Mogą mi wszystko i o wszystkim powiedzieć. Ale nie pobażam. Wcale nie pozwalam sobie, aby chodziły mi po głowie. I nie wtrącam się w ich wychowanie, wybór szkoły czy zainteresowań. Jestem ich chmurką, w którą i za którą mogą się zawsze, tak troszkę schować, tak, o tu tu przytulić, nabrać pewności siebie.

Lubi dominować. Udało się jej taką być wobec podwładnych i partnerów biznesowych. A życiowych? Jest wysoka, dobrze układa ramiona, tworząc z nich barierę, a jednocześnie wyznaczając poziom dystansu. Miło i... nieprawdziwie się uśmiecha. Dobrze operuje głosem. Jego tembr zwraca na siebie uwagę. Gdy śpiewała w chórze, miała ten chłopięcy mezzo zaśpiew. Coś celtyckiego, bluegrassowego w nim się ciągle kryje. Dłonie wypiełgnowane, takie mocno trzymające



kierownicę albo brzegi mównicy, w wielkim audytorium. Lekko tylko... drżące. Tą słabością prosiła – pozwól mi ukryć się w tobie. Ten, o którym nie mówi, znał to drżenie, niegasnące od zawsze. Nie, nie wpatrywałem się w szczegóły odbicia tych obrazów w jej oczach, bo przecież wszystko zapomniała. A ja, ja tylko muszę sporządzić raport z jej wizyty.

Chyba lekko się uśmiechnąłem. Może nawet spojrzałem w bok, co musiała odebrać jako reakcję niedowierzania w to, że rzeczywiście o wszystkim ... zapomniała?

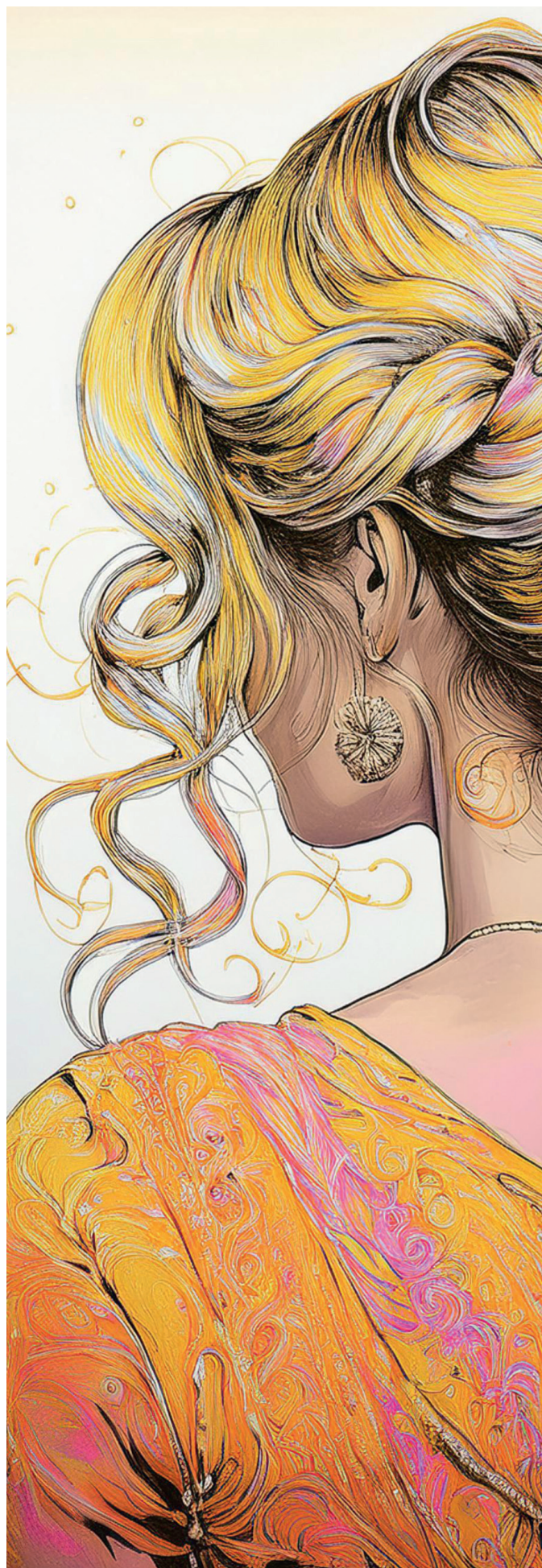
- Najpierw wyrzuciłam wszystkie zdjęcia. Nawet te ze szkoły, z komunii, gdy stoimy we trójkę: ktoś, on i ja. Potem nasze matki z nami. Domyśla się pan, typowe ujęcia. Wszystkie wyjazdy nad morze, nad Miedwie, zabawy na piasku, prywatki, wycieczki, akademie... Wszystko. Nie, nie szkoda mi. Najgorsze w tych zdjęciach było to, że najczęściej fotografowano nas razem. A to jak wierszyki jakieś mówimy albo nagrody na koniec roku szkolnego odbieramy. Potem gdzieś na lekcji religii choinkę ubieramy. Zabawy, tańce, klub studencki, koncert, zawody sportowe. Wszystko to usunęłam z pamięci. To, jak byłam ubrana... Szczególnie tę pomarańczową bluzkę, której on tak nie lubił. Niech mi pan wierzy – nic już nie pamiętam. Zmazane. Nawet deseń obrusu w pokoju sublokatorskim i kolor sukienki ślubnej. Bukiet ślubny? O! Pan uwierzy? Był kwiecisty. Napracowałam się, aby zapomnieć każdy kwiatek, a nazw wszystkich nie znałam. Ale udało się. Na dowód, mogłabym go panu narysować włącznie z ułożeniem kokardy. Przekonałby się pan, że nie ukryłam w pamięci ani jednego szczegółu.

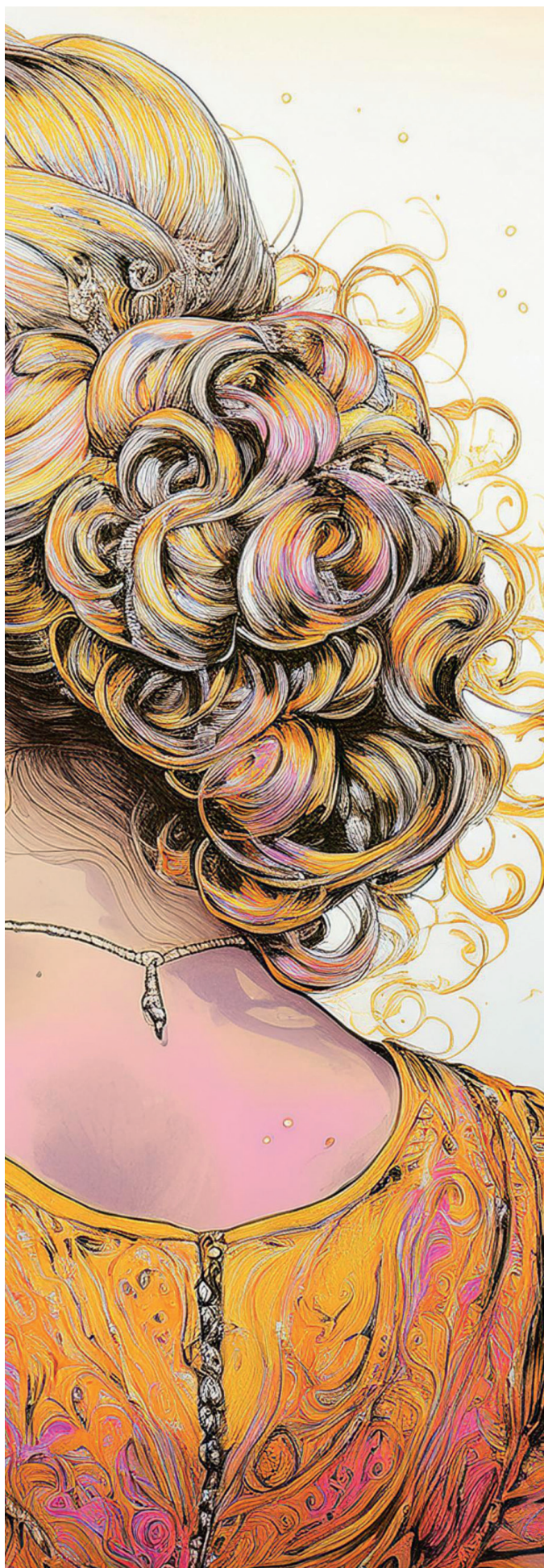
Barwny robi się ten zapomniany przez nią film. Opowiada spokojnie, nie akcentuje żadnego momentu.

- Od zawsze byliśmy razem. Bo mieszkaliśmy po sąsiedzku, ja nie miałam koleżanek, on – też nie należał do tych uliczników, co nieustannie piłkę kopią. Więc jak trzeba było coś razem, to wiadomo, że ja z nim albo on ze mną. To wszystko było takie naturalne. Lata 60. Nasi rodzice doskonale się znali. Ale zawsze mówili do siebie: proszę pana, proszę pani. Zaczęli zapraszać się na przyjęcia, organizowali prywatki, imieniny, potańcówki. No i te niedzielne wyjazdy na plażę...

Ciekawe, czy miała wtedy warkocze? Widać, lubi długie włosy. To, jak ocierają się o jej szyję. Już chyba trzeci raz skrzyła głowę w bok, pozwalając im potrzeć kark. Może dlatego, że pokrył się lekką mgiełką ekscytacji?

- Że będziemy ze sobą chodzić, umawialiśmy się kilka razy. Z miłości? A pan wiedział, co to jest miłość wtedy, w tamtych latach, gdy się miało siedemnaście, osiemnaście lat? Tak, jesteśmy równolatkami. A wtedy, jak pan wie, mężczyzna mógł założyć rodzinę, jeśli ukończył 21 lat. Dla dziewczyny ten wiek to już prawie staropanieństwo. Czy myślałam wtedy o tym? Wie pan, nie chcę do tego wracać. Jak powiedziałam – wszystko wyparłam, zapomniałam. Także i to, że studiowaliśmy na tej samej uczelni, ale na różnych kierunkach. On szkołę średnią ukończył rok później. Ja już byłam studentką. Jeździłam na obozy. Na praktyki robotnicze. Byłam w innym świecie. On tkwił w swoim. Co mogło nas wtedy łączyć? Listy? Pisałam, niebyt obszerne, ale zapewniałam go, że go... Pan rozumie, takie młodzieńcze ekscytacje. Tak, rzeczywiście, przyzwyczajenie. No i nienawiść do domów rodzinnych. Czy procedura wymaga abym udowodniła, że nawet te sprawy już zapomniałam? Mam tego dowieść?





Pierwszy raz złamała rytm swojej opowieści. Wszystkie poprzednie obrazy umykały, jak słupy za oknem pędzącego pociągu. Pozostawało w oczach migniecie podszyte pewnym niepokojem.

- Potrafilismy godzinami narzekać i złorzeczyć. On chciał się wyrwać z domu tak pokraccie zdeformowanego relacjami między rodzicami i ja miałam dość własnej sytuacji. Nie chcę mówić o łóżku, w którym spało dorosłe rodzeństwo. Miednica była wanną. Wychodek dla całej kamienicy chwiał się za długim budynkiem gospodarczym. Okropne. Lato, zima, późna noc, mroźny świt... Wszystko to zapomniałam. Wyrwałam z korzeniami. Te rozmowy przy drewnianych sławojkach, to przydreptywanie z nogi na nogę wśród sąsiadek i ich podchmielonych mężów, którzy zawsze z papierosem w ustach mamrotali coś pod nosem. Marzyliśmy o mieszkanku tak małym, że nie moglibyśmy się od siebie na pół palca odsunąć. Całowaliśmy się godzinami. Nie wiedzieliśmy, dlaczego i po co? Wytrwałam. W przeciwnym razie nie mogłabym do ślubu założyć welonu. To dopiero byłaby sensacją. A co po ślubie? Nie wiedzieliśmy, co mamy ze sobą zrobić, jak, kiedy? Nic! On kiedyś przyniósł jakąś książkę, którą znalazł w bibliotece ojca. Ale nie odważyliśmy się wspólnie jej oglądać, choć były tam tylko rysunki. Jakiś podręcznik anatomii. W dodatku – po rosyjsku.

Włosy znowu omiotły kark. To tam tkwi zapach kobiety. Nie da się go zapomnieć. Nie ma też możliwości, aby wyparł go zapach innej kobiety.

Spojrzała w głębię Korytarza. Patrzyła tam w obawie, czy nie zagubił się gdzieś jakiś obraz, najmniejsze wspomnienie z listy wszystkich zapomnianych.

- On umawiał się z moim koleżankami. Z jedną czy drugą był nawet w kinie. Bardzo się z tego faktu ucieszyłam. Przekonywałam siebie, że nie jesteśmy parą. A więc możemy spokojnie, jak trzeba, po koleżeńsku razem iść do kina albo teatru, na prywatkę do B. czy tej W. Przecież nie byliśmy parą! I nagle ten ślub... To wesele... A za kogo, pana zdaniem, miałabym wyjść, jeśli nie za niego? A on? Z kim miałby się ożenić jak nie ze mną? Ja nawet chętnie to zrobiłam, żeby moim koleżankom pokazać, że on z nimi się umawiał, ale mężem będzie moim.

Dłoń położyła na blacie biurka. Nie wiem, dlaczego, ale w notatce do raportu zapisałam: mnóstwo białych, poziomych kresek na paznokciach. Dziwne... Skąd mógłbym o tym wiedzieć? Teraz, przecież miała dobry manicure. Zrobiłem dopisek: kiedyś... mnóstwo białych, poziomych kresek.

- O, nie namówi mnie pan na szczegóły rozpadu naszego małżeństwa. To jest... to był... koszmar.

Odniosłem wrażenie, że widzę kobietę, która z niewiadomych względów znalazła się w gęstym lesie. Ciemnym i pozbawionym ścieżek. Dokąd pójść? To wybawienie, jakim było wyjście z rodzinnych domów okazało się jeszcze większym nieszczęściem? Czekałem na jakąś wskazówkę, wyjaśnienie, na trop i przyczynę ich dramatu.

- Chciałam żyć, jeździć, cieszyć się życiem. Byłam młoda, podobałam się, świat mnie fascynował. Występy, koncerty, piękne stroje. On musiał skończyć studia, pisać pracę, ja

wiedziała, że to nie jest mi do niczego potrzebne. Chciałam rwać życie zębami, a nie pracować na jakąś stabilizację. Życie mnie wołało. Nie zatrzymał mnie. Nie byłby w stanie.

Pierwszy raz dumnie, wysoko podniesioną głowę pochyliła w bok. W tę najciemniejszą część Korytarza.

- No pewnie, że rozmawialiśmy o dzieciach. Ale mówiłem: nie teraz! Postawiłam na swoim. Pan daruje, nawet panu nie opowiem o wszystkim. Mówiłam już – zapomniałam. Nawet tamto zdarzenie, gdy wrócił z pracy, a łazienka była biała od gorącej pary. Koniec.

Z jakiegoś powodu ten prawie krzyk odebrałam bardzo osobście. A przecież nie wolno mi, na moim tutaj w Korytarzu stanowisku, angażować się w reakcje przychodzących tu ludzi.

- Tkwiłiśmy w tym związku, w przekonaniu, że w dowolnej chwili każde z nas może zabrać swoje zabawki i pójść do mamy. On to zrobił. On dwa razy to zrobił! On bardzo był związany z Matką. Pewnie chciał jej imponować, być twardym, nieustępliwym, może nawet lekceważąco się na mój temat wypowiadał? W końcu jego ojciec nie zgodził się na nasz ślub. Postawił twardy warunek: ukończyć szkoły, dostać pracę, zacząć zarabiać, bo nasi rodzice nie mogliby nas dalej utrzymywać. Byliśmy szalenie zdesperowani. On wystąpił do sądu o zgodę na zawarcie małżeństwa na trzydzieści dni przed swoimi urodzinami. Nie byliśmy w stanie wytrzymać jeszcze tych trzydziestu dni! Pan rozumie jak bardzo ten ślub był dla nas ważny? Jak chcieliśmy być ze sobą? Czy chciałby pan takie udręczone wspomnienia nosić w sobie? Ja – nie. Dlatego wyparłam je, zapomniałam o każdym detalu. Uwolniłam się na zawsze.

Zawsze... To słowo ją prześladowało. Wypowiedziała je - ile już razy? Odpędzała je od siebie, jak natrętą ćmę, a ono wracało.

- Kilka lat po rozwodzie, przypadkiem spotkaliśmy się na pustej ulicy. On biegł, chyba w wojskowym mundurze, no tak, oczywiście, że tak... - a ja byłam już matką. Minęliśmy się bez słowa, jak dwie komety, których ogony do dziś się wzdłuż siebie przesuwają.... Bardzo tu mało światła u pana...

Spojrzała na blat mojego biurka. Pusty jak jej pamięć. Może i chciałaby uciec wzrokiem dokądkolwiek, ale wtedy straciłaby z oczu te wszystkie zapomniane wspomnienia, które spędzają jej sen z powiek w obawie, że mogłyby się uwolnić. A już nie daj Boże – zgubić! I co wtedy?

- Nie, nie mamy dzieci. Wiem, że on jest innego zdania. To zbyt skomplikowane by teraz o tym mówić. Nie uwierzy pan, ale on nawet w zaświatach interweniował w tej sprawie. On mi nie wierzy. Ma dziwną pamięć. Bardzo detaliczną. Ostatnio zaskoczył mnie mówiąc, że pamięta to moje futro, w którym przyszedłam na sprawę rozwodową. Jak mężczyzna może pamiętać takie szczegóły?

Drugi raz w czasie tego zwierzenia wyraźnie, jakby to był od dawna zapomniany odruch, ściągnęła nozdrza. Ot, żeby zrobić cokolwiek, co zamaskuje przedłużającą się ciszę. Musiała w tym czasie selekcjonować wspomnienia, odsuwając je jesz-

cze bardziej od siebie. Nie można w końcu obcemu, nawet tutaj, w Korytarzu, powiedzieć o wszystkim. Bo komu potrzebna jest prawda? W jakim celu ją można wykorzystać? Teraz? Po tylu latach? Nawet, gdyby była prawdziwa, nie zmieni niczego, a może narobić tyle... tyle... Nie zdołała wypowiedzieć słowa, które tak cisnęło się jej na usta. Bo wiedziała, że dłużej samej siebie nie może już okłamywać. Wiedziała, że nie ma słowa na usprawiedliwienie losu, jaki spotkał ją i jego. Przecież nie mieli wobec siebie złych zamiarów. Kochali się? Zapewne, choć zabrakło im może jakiejś jednej jeszcze, pieczętującej owo przekonanie próby. Całe życie ta ich osierocona miłość, jedyna prawdziwa, błędzi w przekonaniu, że któregoś dnia, że na pewno, że tak musi być... Żadna inna prawda nie ma już znaczenia.

- Tak przypadkiem i nie przypadkiem – spotykaliśmy się, powiedzmy, okolicznościowo. A to ja dałam jakąś wiadomość, ale częściej on. Czekałam na te sygnały. Ale unikałam ich jak gromu z jasnego nieba. A co pan myśli, że jak z żelaza jestem? Nie wiem, czy mówiliśmy sobie, że się kochamy. Nie pamiętam, czy on mi wyznał miłość. Czy był romantyczny? Nie pamiętam, bo to nie było ważne. Byliśmy sobie przeznaczeni. Tak trudno to panu zrozumieć?

Widziałem przed sobą kobietę, która gołymi rękoma zaczerpnęłaby rozżarzone żelazo. Musiała się gdzieś tej sztuki, chyba w młodości nauczyć. **Sztuki życia wbrew sobie.**

- Znając jego charakter, docieklivość – a ma pewne cechy nadprzyrodzonej intuicji – wiem, że robi wszystko, aby... aby... Ale to nie ma sensu. To jest jeszcze bardziej niewyobrażalne jak to, co się nam już przydarzyło. Oboje przeszliśmy przez różne związki, ale... ciągle jesteśmy, formalnie, małżeństwem. No tak, ślub kościelny... To oczywiście, jak wszystko inne, nie ma najmniejszego znaczenia. Proszę pana, żyjemy w XXI wieku.

Ciszę korytarza zakłócił sygnał jej telefonu.

- O, przepraszam pana. Muszę odebrać. Tak się rozgadałam... To wnuczka... Tak, kochanie, tak, oczywiście, tak, już do ciebie jadę...

Tak jak w pierwszej chwili nie umiała znaleźć telefonu w torebce i odebrać połączenia, tak teraz nie wiedziała, czy się już rozłączyła i gdzie ma odłożyć aparat? Była tak spokojnie roztrzęsiona, jak przez ostatnie pół wieku...

- Pan wybacz, muszę, byłam przecież umówiona... Nawet o tym zapomniałam.

Spojrzała w lewo, w prawo, przyciągnęła do ciała połę kurtki, ujęła torebkę, ale widziałem, że coraz bardziej się denerwuje. Czyżby coś zgubiła? Nagle spojrzała na wierzch prawej dłoni. Na te swoje długie, wodorostowe palce. Wpatrywała się w nie a drugą ręką dotknęła palca serdecznego. Lekko, jakby, coś przekręciła? Znów się rozejrzała, nawet na podłogę, której oczywiście w tym mroku dostrzec nie mogła.

Czegoś szukała? Nie... Niemożliwe. Przecież wszystko zapomniała. Chyba, że tylko o tym jednym - nie. Gdzie ona mogła się podziać?





Ilya Efimovich Repin Burlaki na Volge 1870-1873

Krytyka?

Jedno z najbardziej pustych znaczeniowo i całkowicie wyzbytych już skuteczności pojęć. O krytycznych postawach nawet nie wspominam. Chyba, że w dziale poświęconym paleozoologii, a więc w odniesieniu do epoki dinozaurów. Ale jest w człowieku coś, co nazwać można **niezgoda**, by nie odwoływać się już do sformułowań innych, tyleż pięknych i emocjonalnych, co równie jak krytyka - całkowicie bezzębnych.

Krytyka jest przywilejem stanów wyższych. Mówi się o niektórych z przedstawicieli tego segmentu – opozycja. To oni, niestety, ciągle „chodzą do kawiarni, piją kawę i szydzą” – jak wołał z trybuny Władysław Gomułka, jeśli dobrze pamiętam jego słowa.

Oni, czyli krytycy to najbardziej naiwni spośród nas. Ich Bogiem jest prawda i uczciwość. Tych, jak Boga wcielonego nikt jeszcze nie widział. Ale ludzie w ideały wierzą. Za prawdę płacą życiem, umierają w więzieniach. Jakby nie wiedzieli, nie czytali filozofów, choćby tylko tych, z racji historii i miejsca na mapie przez lata najlepiej nam znanych.

Friedrich Engels i Karl Marx w „Ideologii niemieckiej” (1846) wskazywali, że: „Myśli klasy panującej są w każdej epoce myślami panującymi”. Czyż trzeba coś więcej tutaj dodać? Nie lubię, ale chyba muszę odwołać się do mniej wzniosłej wersji tego stwierdzenia: szef ma zawsze rację, a jeśli w to wątpisz, do przeczytaj początek tego zdania jeszcze raz: szef zawsze ma rację. Szef może cię zawsze zwolnić. Nawet, jeśli wygrasz w sądzie, to krzywdy nikt ci nie zrekompensuje. Nic dodać. Nic ująć. A to oznacza, że nic im nie zrobisz. Bo komu się na nich poskarżysz? Przed jaki sąd ich wezwiesz? Oni ten sąd kontrolują. Są bezkarni. Masz prawo zapytać, a oni mają tyle w sobie bezczelności, że ci nie odpowiedzą. Choć twierdzą, że odpowiedź ci się należy. Bezkarność. Kolumna z panią premier i małe prywatne autko. Jak zagmatwano proces? A przed chwilą (2 lutego 2025) radio podało:



Ilya Repin Żebraczka (dziewczyna rybaczka)

wiceminister, katastrofa, czerwone światło na skrzyżowaniu, wymusił pierwszeństwo przejazdu. Da capo? Oczywiście.

Tak wyśmiewane ciągle uniwersytety marksistowskie indoktrynowały słuchaczy słowami Karla Marxa, który w „Tezach o Feuerbachu” (1845) pisał: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat, idzie jednak o to, aby go zmienić”. To nie jest idealizm? To jest naiwność, Herr Marx?

Obecne uniwersytety tak zajęte są walką o granty i profesury, że nikomu tam w głowie się żadne rewolucje nie rodzą. Kasa, kasa, kasa...

Szkoła frankfurcka (Adorno, Horkheimer, Marcuse) oraz myśliciele jak Antonio Gramsci rozwijali krytykę kultury masowej, hegemonii ideologicznej i przemysłu kulturalnego. W ich ujęciu sztuka i media nie są neutralne – reprodukują hierarchię społeczną i stanowią narzędzie kontroli świadomości społecznej.

Gramsci wprowadził pojęcie hegemonii kulturowej, czyli dominacji jednej klasy nad innymi poprzez kształtowanie norm, wartości i przekonań.

Zapamiętajmy – **hegemonia kulturalna...**

Krytyka marksistowska ma na celu demaskowanie tych mechanizmów i wskazywanie alternatyw. Czy jest inna, stosowana dziś w praktyce, tu i teraz, w Szczecinie, krytyka skuteczna wobec poczynań władzy demokratycznie wybranej? Powyższe konstatacje zrodziły się podczas przeglądania notatek, które robiłem ponad pół wieku temu, tłumacząc artykuł z radzieckiej prasy o malarstwie Ilji Repina. Burłaków na Wołdze artysta namalował w latach 1870-73, w okresie caratu. Ta totalna – powiedzielibyśmy dziś – krytyka nieludzkiego traktowania robotników została dostrzeżona. Artysta ocalił głowę, został nawet spostonowany za nadmierny, może lepiej będzie powiedzieć – przesadny realizm w portretowaniu ludzi pracy. Nic i aż tyle. Dlaczego? Bo był za słaby, za mały, nie tworzył rewolucyjnej opozycji. Ot, namalował coś tam, panie, i po co to, komu i na co to? Czy inaczej jest dzisiaj? Nasi wybrańcy trwonią setki tysięcy złotych na np. koncerty na pieszo-rowerowym moście z udziałem gwiazd wymiaru światowego i nikt im nic za to nie robi. Wręcz odwrotnie – artyści będą im się w pas kłaniać. Dzięki Panu, dobrodzieju, zarobiliśmy taką kasę!

Obrazy Repina... Czy w polskiej tradycji mamy tej klasy przedstawienia? A w literaturze i poezji?

Repin napiętnował biedę w świecie, nie tylko w Rosji. No i cóż, panie, takiemu zrobisz, a i czy cokolwiek robić z nim trzeba, panie, toż to dziwności jakie tylko, panie, nie wiadomo i po co powstające...

Świat podzielony jest na dwie grupy. Wyborców i tych, których wyborcy dobrowolnie, z pełnym przekonaniem spośród siebie wybiorą na swoich... prześladowców. Szeroko rozumiem to pojęcie. Jeszcze szerzej niż ktokolwiek z Państwa próbował ów krąg semantyczny w tej chwili nakreślić.

Dochodzę do wniosku, że my, ludzie, **kochamy być na pozycji przegranych**. Zrobimy wszystko, by znaleźć się na samym dnie. Nawet jeśli oszustom, przestępcom, kłamcom i łobuzom nikt żadnej kary nie wymierzy (upiecze im się), to nie jest to dowód na fałszywość mojej tezy. Jak każde prawo, także i to ma swój statystyczny margines przewidywanego błędu, czytaj: skuteczności rozliczenia.

Każde bezceństwo z jakim się stykamy – podnosi poziom naszej odporności i obojętności na łotrostwa. Doskonalimy się w sztuce lekceważenia prawa i prawdy. W żadnej dziedzinie życia nie mamy tylu i aż takich sukcesów.

Te cztery okładki niech pełnią tu rolę memento.

Nasze dzieje układają się w cykl nieustannych upadków i powstań. Najchętniej... złamałbym koło Historii. Żeby obrazy z naszych okładek nigdy nie otwierały kolejnego cyklu naszych dziejów.



Beata Gugnacka, akwarela, 2025

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik niesformatowany

Redakcja: Marek Koszur

Skład i opracowanie graficzne: Malgorzata Wowczak

Wydawca: MK NET - TV Siódemka, Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin, Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl

Reklama i dystrybucja: Marta Jarecka